

# STEVEN BURST

Yendi

Drugi tom serii Vlad Taltos

**ILLUMINATION**

\* \* \*

Kolejny tom cyklu „Vlad Taltos” autorstwa Stevena Brust, opowiadającego o przygodach dragaeriańskiego baroneta Vlada Taltosa — uczciwego zawodowego zabójcy i czarnoksiężnika z Adrilankhi. Vlad Taltos zmuszony jest walczyć w obronie swego terenu. Zostaje zabity, wskrzeszony i poznaje swoją przyszłą żonę, parającą się zresztą tym samym fachim.

Pomagają mu — nieoficjalnie, ma się rozumieć — przyjaciele z Domu Smoka, w końcu jednak wkraczają otwarcie, okazuje się bowiem, że „wojna gangów” jest jedynie przykrywką dla intrygi godzącej właśnie w Dom Smoka.

\* \* \*

*Dla Reen i Corwina,  
Aliery i Carolyn  
oraz mojego teścia Billa*

## Wstęp

Kiedy byłem młody, uczono mnie, że każdy obywatel Imperium rodzi się w jednym z siedemnastu wielkich Domów biorących swe nazwy od zwierząt. Uczono mnie, że ludzie tacy jak ja, „pochodzący ze Wschodu”, to nic niewarte śmiecie. Uczono mnie, że mamy tylko dwie możliwości zostania obywatelami Imperium i dojścia do czegoś — albo złożyć przysięgę lenną któremuś lordowi i dołączyć do chłopstwa w Domu Teckli, albo — tak jak mój ojciec — kupić sobie tytuł szlachecki w Domu Jherega.

Potem dorobiłem się jherega, wyszkoliłem go i zająłem się odciskaniem własnego śladu na ciele dragaeriańskiego społeczeństwa.

Kiedy przybyło mi lat i doświadczenia, przekonałem się, że większość tego, czego mnie uczono, to kłamstwa.

## Cykl

*Feniks ponownie rozpada się w kurz,  
Smok groźny na łów wyrusza już.  
Lyorn dziś warczy, opuszcza róg,  
Przed tiassy snami umyka wróg  
Sokoła na niebie znak wartownika,  
Dzur cieniem przez noc przenika.  
Issola uderza zdradziecko i cicho,  
Tsalmoth jak żyje, wie tylko lichy.  
Valista na zmianę niszczy i stwarza,  
Cichy iorich zna, nie powtarza,  
Jhereg tym żyje, co ma po innych,  
Chreotha plecie sieć na niewinnych.  
Yendi wystrzela zabójczym splotem,  
Jhegaala co robi, dowiesz się potem.  
Athyra w myśli milczkiem się wkrada,  
Strachliwa teckla w trawach jak zjawia.  
Orka przemierza podmorskie gaje,  
A szary Feniks z popiołów wstaje.*

## Rozdział pierwszy

*„Nie pokazuj się,  
na wypadek gdyby zrobiło się naprawdę niemiło”*

Kragar twierdzi, że życie jest jak cebula, z czym się zgadzam, ale obaj rozumiemy przez to co innego. Jemu chodzi o to, że przechodzi się kolejno przez wszystkie warstwy, jakby obierając je, aż dociera się w końcu do samego środka — i tam nic nie ma. Nie mówię, że nie ma w tej kwestii racji, ale przez te wszystkie lata, kiedy mój ojciec miał restaurację, nigdy nie obierałem cebuli, zawsze ją kroilem. Dlatego analogia Kragara średnio do mnie trafia.

Kiedy porównuję życie do cebuli, mam na myśli to, że jeśli się z nim nic nie robi, to się po prostu zepsuje. W tym sensie można je porównać z każdym warzywem. Cebula ma jednak pewną specyficzną cechę — może zacząć się psuć od zewnątrz i od wewnątrz. Dlatego spotyka się takie, które wyglądają normalnie, a są od wewnątrz zepsute, albo takie, na których widać plamkę, ale jeśli się ją wytnie, okazuje się, że reszta jest zdrowa. Może cebula nie ma najlepszego smaku i podczas jedzenia łzy stają w oczach, ale taka już jej uroda.

Lordowie z Domu Dzura uważają się za kucharzy wycinających zepsute części cebul, tyle że nader rzadko potrafią rozróżnić dobrą cebulę od zepsutej. Lordowie z Domu Smoka są dobrzy w wyszukiwaniu zepsutych miejsc, ale kiedy takie znajdują, mają skłonność do wyrzucania całego koszyka. Lord z Domu Sokoła zawsze znajdzie zepsute miejsca i będzie się przyglądał, jak cebulę z taką plamką się gotuje i zjada, po czym pokiwa głową z miną mówiącą „to było do przewidzenia”, widząc, jak jedzący krzywi się i pluje. Jeśliby go zapytać, dlaczego nic nie powiedział, bardzo się zdziwi i wyjaśni, że nikt go o to nie pytał.

Można tak przeanalizować wszystkie domy, tylko po co? W Domu Jherega nikogo nie obchodzi takie plamki — my nie zajmujemy się kuchnią, my sprzedajemy cebule.

Mnie natomiast od czasu do czasu rozmaite osoby płacą za usunięcie takiej właśnie plamki. Dzięki tej działalności zarobiłem właśnie trzy tysiące dwieście imperiali w złocie i dla odprężenia udałem się w odwiedzinę do Czarnego Zamku, gdzie trwa praktycznie nieustające przyjęcie. Ponieważ znajduję się na liście

płac właściciela — lorda Morrolana — jako konsultant do spraw bezpieczeństwa zamku, mam otwarte stałe zaproszenie.

Kiedy mój żołądek uspokoił się po teleportacji i wkroczyłem do zamku, podszła do mnie lady Teldra występująca w roli komitetu powitalnego. Drogę do sali bankietowej odnalazłem już samodzielnie i stanąłem w drzwiach, przyglądając się tłumowi gości w poszukiwaniu znajomej twarzy. Nie musiałem długo szukać, by zauważyć wysoką postać Morrolana. Ruszyłem ku niemu.

Gośćmi byli wyłącznie Dragaerianie — byłem tu jedynym człowiekiem, to też przyciągałem uwagę. Ci, którzy mnie nie znali, komentowali to rozmaicie — rozsądni po cichu, głupi głośno. A powodów mieli sporo — nie dość, że byłem jedynym człowiekiem, to również jedynym przedstawicielem Domu Jherega, a na dodatek właścicielem żywego Jherega imieniem Loioosh, który siedział mi na ramieniu i z właściwą gadom obojętnością przyglądał się obcym.

— Miłe przyjęcie — powitałem Morrolana.

„Tak?” — wtrącił telepatycznie Loioosh. „To gdzie półmisek zdechłych teckli?”

„Zamknij się z łaski swojej.”

— Dzięki za uznanie, Vlad. Miło mi, że wpadłeś — odparł uprzejmie Morrolan.

On już taki jest. I mam mocne podejrzenia, że nic na to nie może poradzić.

Podeszliśmy do stołu, przy którym jeden z jego służących nalewał do niewielkich szklaneczek odrobinę rozmaitych win, jednocześnie komentując ich zalety i zastosowanie. Wziąłem naczynie z czerwonym darloschańskim i spróbowałem. Było mile cierpkie, ale znacznie lepsze byłoby schłodzone. To naturalnie nikomu tu nawet do głowy nie przyszło, ale cóż: Dragaerianie nie znajdują się na winach. . .

— Dobry wieczór wam obu — usłyszałem za plecami i pospiesznie odwróciłem się, kłaniając równocześnie.

Nie było sensu być nieuprzejmym wobec Aliery e’Kieron, kuzynki Morrolana i aktualnego następcy tronu z ramienia Domu Smoka, ponieważ zawsze była wobec mnie uprzejma i miła, choć dotąd nie miałem pojęcia dlaczego. Morrolan także się uklonił i z uśmiechem ujął jej dłoń. Ja też się uśmiechnąłem i spytałem:

— Dobry wieczór. Miałaś już jakiś pojedynek?

— Skąd wiesz?

— Nie wiem, żartowałem. Rzeczywiście pojedynkowałaś się dziś?

— Dziś nie, ale jestem już umówiona na jutro. Jakiś cham niemyty z Domu Dzura bezczelnie komentował to, jak chodzę.

— Jak się nazywa ten pechowiec? — spytałem, robiąc zboląłą minę.

— Pojęcia nie mam. — Aliera wzruszyła pogardliwie ramionami. — Jutro się dowiem. Morrolan, widziałeś może Sethrę?

— Nie. Podejrzewam, że jest w Górze Dzur. Może zjawi się później. To coś ważnego?

— Niespecjalnie. Wydaje mi się, że wyizolowałam nowy gen recesyjny w e'Mondaar. To może poczekać.

— Ciekawe — zainteresował się Morrolan. — Będziesz uprzejma mi o tym opowiedzieć?

— Nie jestem pewna, czy... — zaczęła Alera i oboje odeszli.

To jest Morrolan odszedł, a Alera odlewitowała. Była najniższą Dragaerianką, jaką znałem — można było ją nawet wziąć za wyjątkowo wysoką przedstawicielkę mojego gatunku. Ponieważ takie pomyłki nieodmiennie ją irytowały, nosiła dłuższe suknie i zamiast chodzić, lewitowała nad podłogą, co ukrywała ciągnąca się po niej suknia. Miała też złote włosy i zielone oczy — z zasady zielone. Oraz miecz dłuższy od niej samej, którego tym razem nie zabrała ze sobą.

Kiedy oddalili się wystarczająco, połączyłem się z Imperialną Kulą i ściągnąłem trochę energii, przy użyciu której magicznie ochłodziłem swoje wino. Smakowało znacznie lepiej.

Rozejrzałem się i stwierdziłem, że zrobiło się nudno. Popatrzyłem na Loiosha i poinformowałem go telepatycznie:

„Loiosh, mamy problem. Problem jest następujący: jak by tu się z kimś prześpać tej nocy.”

„Stary zboreźnik.”

„Nie proszę o komentarze, tylko o radę!”

„Cóż, nie wiem, co dla właściciela czterech burdeli...”

„Stwierdziłem, że nie lubię bywać w burdelach.”

„O?! A co się stało?”

„Nie zrozumiesz.”

„Na pewno. Jak mi nie powiesz...”

„Proszę bardzo. Seks z Dragaerianką to prawie zoofilia. A z dziwkami... płacenie za to to już czysta perwersja.”

„Przecież nie płacisz.”

„Nie o to chodzi... mówiłem, że nie zrozumiesz.”

„Pewnie. Tak jak nie zauważam, że kiedy kogoś zabijesz, robisz się strasznie napalony, tak?”

„Ano robię się” — przyznałem samokrytycznie.

„Na to jest prosty sposób: szefie, potrzebujesz żony.”

„Wypchaj się. Albo jeszcze lepiej idź se do Bramy Umarłych.”

„Już raz tam byliśmy. Pamiętasz?”

„Pamiętam. I pamiętam też, jak próbowałeś się przystawiać do tej wielkiej samicy.”

„Szefie! Tylko znowu nie zaczynaj!”

„To przestań mi dawać głupie rady w kwestii pożycia seksualnego.”

„Sam zacząłeś! I to ma być wdzięczność!”



Ponieważ nie było sensu tego komentować, dałem spokój i zająłem się winem. Po chwili poczułem owo specyficzne wrażenie, jakby coś natarczywie chciało mi się przypomnieć, co oznaczało po prostu, że ktoś próbuje nawiązać ze mną kontakt telepatyczny. Poszukałem czym prędzej spokojnego kąta i pozwoliłem, by nawiązał.

„Jak impreza, szefie?”

„Średnia, Kragar. Co się porobiło, że nie może poczekać do rana?”

„Gwardia przysłała umyślnego z pytaniem, czy szef nie chce się zaciągnąć.”

„Cholernie śmieszne. Pytałem poważnie.”

„Poważnie to jest tak: czy otworzyliśmy nowy salon gier na Malak Circle?”

„Oczywiście że nie, inaczej dawno bym o tym wiedział.”

„Tak mi się wydawało. No to mamy problem.”

„Rozumiem. Jakiś cwaniaczek liczył na to, że nie zauważymy? Czy ktoś próbuje się wepchnąć?”

„Wygląda profesjonalnie, szefie. I ma ochronę.”

„Ilu?”

„Trzech. Znam jednego: chodził na „robotę”.”

„Aha.”

„I co?”

„Wiesz, co się robi w nocniku, którego parę dni się nie opróżnia?”

„Nie wiem. Bo co?”

„Jak go opróżnisz, na dnie zostaje taki gówniany osad.”

„No... I co?”

„No to ja właśnie mam takie samo odczucie, jak patrzę na takie pozostałości i słyszę o takich próbach.”

„Aha, rozumiem!”

„Zaraz się zjawię.”

Morrolana znalazłem w kącie pogrążonego w rozmowie z Alierą i wysoką Dragaerianką o rysach wskazujących na pochodzenie z Domu Athyry, ubraną w leśną zieleni. Od pierwszego momentu spoglądała na mnie z góry: dosłownie i w przenośni. Czasami bycie człowiekiem i należenie do Domu Jherega bywa frustrujące — Dragaerianie gardzą tobą jak nie z obu powodów, to na pewno z jednego z nich.

— Vlad — przedstawił nas Morrolan. — To Adeptka w Zieleni. Adeptko, oto baronet Vladimir Taltos.

Kiwnęła mi głową ledwie zauważalnie, więc wykonałem dworski ukłon aż do przeciągnięcia wierzchem dłoni po podłodze i oznajmiłem uprzejmie:

— Pani, jestem równie zachwycony poznaniem pani co pani poznaniem mnie. Prychnęła dystyngowanie i odwróciła wzrok.

W oczach Aliery błysnęły radosne ogniki.

Morrolan wyglądał na zmartwionego, lecz po sekundzie wzruszył ramionami.

— Adeptka w Zieleni. . . — powiedziałem z namysłem. — Cóż, to wiele mówiące. . . nigdy nie spotkałem żadnej przedstawicielki Domu Athyry, która nie byłaby adeptką, zaś co do zieleni, ciśnie mi się na usta stary dowcip w formie pytania: jakie są dwa najstarsze zawody i dlaczego ich przedstawicielki ubierają się na zielono. . .

— To chyba wystarczy, Vlad — wtrącił się Morrolan. — A ona nie jest. . .

— Przepraszam. Tak w ogóle to chciałem ci tylko powiedzieć, że w związku z nieoczekiwanymi wypadkami jestem zmuszony cię opuścić — przerwałem mu i dodałem pod adresem Adeptki: — Jest mi niewypowiedzianie przykro, moja droga, że muszę ci zrobić coś takiego, ale mam nadzieję, że nie zrujnuje ci to całkowicie reszty wieczoru.

Zaszczyciła mnie spojrzeniem, uśmiechnęła się słodko i spytała:

— Nie chciałbyś zostać żabą?

Loiosh syknął.

A ja przygotowałem niepostrzeżenie Spellbreakera i odparłem:

— W równym stopniu co ty. . .

— Prosiłem, abyś przestał, Vlad — przerwał mi ostro Morrolan.

No to przerwałem.

— W takim razie państwo wybaczą, że ich pożegnam — powiedziałem z lekkim ukłonem.

— Skoro musisz. . . — Morrolan jak zwykle zachował się na poziomie. — Daj mi znać, gdybym mógł ci jakoś pomóc.

Skinałem głową i odszedłem.

Pechowo dla niego mam dobrą pamięć i zapamiętałem tę propozycję.

\* \* \*

Największą, wręcz podstawową różnicą między Dragaerianami a ludźmi bynajmniej nie jest to, że oni są wyżsi czy silniejsi — jestem żywym dowodem na to, że wzrost i siła nie są aż takie istotne. Ani też to, że żyją średnio dwa do trzech tysięcy lat, a my — pięćdziesiąt do sześćdziesięciu — w kręgach, w których się obracam, i tak nikt nie spodziewa się umrzeć ze starości. I nawet nie to, że oni mają wrodzone połączenie z Imperialną Kulą, dzięki czemu mogą używać magii. Ludzie (tacy jak mój zmarły a nie oplakiwany tatuś) mogą kupić sobie tytuł w Domu Jherega albo złożyć przysięgę jakiemuś arystokracie, przenieść się na wieś i zostać członkiem Domu Teckli. Oba sposoby zapewniają zostanie obywatelem Imperium i uzyskanie połączenia. Z tym że pierwszy jest znacznie przyjemniejszy.

Najważniejszą różnicą (przynajmniej dla mnie) jest to, że Dragaerianin może teleportować się bez żadnych sensacji żołądkowych i to dowolną liczbę razy w krótkim czasie. I jest to jedyne, czego im zawsze zazdrościłem.

Zjawiłem się na ulicy przed biurem prawie gotów zwymiotować i to mimo że samego teleportu dokonał jeden z magów Morrolana. Wiem, że mam wybitnie czuły żołądek i nie jestem zbyt dobrym magiem, dlatego jeśli mogę, staram się nie teleportować samodzielnie. Twarde lądowanie z zasady nie pomaga przy kłopotach z żołądkiem. Poczekalem, aż ochota na zwrot ostatniego posiłku mi przejdzie, i by się głupio nie gapić w ścianę, rozejrzałem się po znajomej okolicy.

Moje biuro mieściło się przy Copper Lane, na tyłach niewielkiego salonu gry działającego na zapleczu psychodelicznej zielarni. Składało się z trzech pomieszczeń: sekretariatu, w którym urzędował Melestav, mój sekretarz-recepcjonista-ochroniarz w jednej osobie, gabinetu Kragara i mojego. Każdy wchodzący trafiał do sekretariatu; gabinet Kragara i archiwum znajdowały się na prawo, mój na wprost. W sekretariacie stało duże biurko i cztery wygodne krzesła, w pokoju Kragara biurczko i jedno niewygodne krzesło (na więcej miejsca nie było), w moim zaś biurko średniej wielkości, obrotowy fotel i dwa normalne fotele, z czego jeden przy samych drzwiach. Było to zwyczajowe siedzisko Kragara, ilekroć się u mnie zjawiał.

Wszedłem, powiedziałem Melestavowi, żeby poinformował Kragara o moim powrocie, i z ulgą klapnąłem w swój fotel. I czekałem.

— Szefie? — rozległo się po paru minutach.

— Co?... Aha! — westchnąłem, widząc go w fotelu: znów wśliznął się nie zauważony.

Co prawda Kragar twierdził, że nigdzie się nie wślizguje i nie robi tego z premedytacją, tylko ma w sobie coś takiego, że nikt go nie zauważa, ale nie jestem do końca pewien, czy mu w tej kwestii wierzyć.

— Czego się dowiedziałeś? — od razu przeszedłem do rzeczy.

— Niczego ponad to, co już ci powiedziałem telepatycznie.

— Dobrze. No to idziemy przysporzyć komuś strat.

— Obaj?

— Nie. Nie pokazuj się, na wypadek gdyby zrobiło się naprawdę niemiło.

— Jasne.

Wychodząc, przeczesalem dłonią włosy, dzięki czemu przesunąłem lewą ręką po skraju peleryny, sprawdzając, czy rozmaite elementy uzbrojenia są na miejscu, po czym poprawiłem kołnierz, robiąc to samo. Zadowolony skierowałem się do drzwi.

Po wyjściu na ulicę rozejrzałem się szybko — wszędzie spokój i nic podejrzanego, toteż spokojnie skręciłem w lewo i powędrowałem ku oddalonemu o półtorej przecznicy Malak Circle. Copper Lane jest dość szeroką ulicą — taką na półtora wozu — ale budynki stoją przy niej ciasno upakowane, a większość ma

okna tylko na piętrze. Malak Circle to rondo z fontanną w środku — nie działającą, odkąd sięgam pamięcią. Na rondo wychodzi Copper Lane, z lewej Lower Kieron Road, a z prawej najszersza ze wszystkich Kieron Road.

— Dobra, Kragar — oświadczyłem — gdzie... Kragar?

— Prosto przed tobą.

— Ty nie rób takich numerów, bo cię kiedyś stratuja. Gdzie to jest?

— Pierwsze drzwi na lewo od tawerny Fountain. W górę schodami i na prawo.

— Dobra. Uważaj na wszystko.

— Jasne.

„Loiosh, spróbuj znaleźć jakieś okno. Jeśli ci się nie uda, bądź w pobliżu.”

„Już się robi, szefie.”

Loiosh odleciał, ja zaś wspiałem się po wąskich, pozbawionych poręczy schodach na piętro, wziąłem głęboki oddech i zaklaskałem.

Drzwi otworzyły się natychmiast. Stał w nich szeroki w barach i mierzący prawie siedem i pół stopy olbrzym z długim rapierem przy boku, ubrany w czerń i szarość — barwy Domu Jherega. Spojrzał na mnie z góry i oznajmił średnio uprzejmie:

— Przykro mi, Wąsaty. Tylko dla ludzi.

Niektórzy Dragaerianie mają dziwne kłopoty z rozróżnieniem, kto tu rzeczywiście należy do gatunku ludzkiego, zwłaszcza jeśli chodzi o użycie liczby mnogiej.

Wzywanie od „Wąsatego” mało mnie wzruszało — ponieważ Dragaerianie nie mogą nosić bród czy wąsów z powodu braku owłosienia w tych rejonach twarzy, nazywają tak często wszystkich ludzi płci męskiej. Dlatego specjalnie zapuściłem i pielęgnowałem wąsa — w ten sposób wyzwisko stało się przezwiskiem. Wkurzyło mnie co innego — to, że nie zostałem wpuszczony do spelunki, której w ogóle nie miało prawa tu być bez mojej zgody.

Sprawdziłem drzwi: tak jak się spodziewałem, były magicznie zablokowane, więc krótkim, wprawnym ruchem prawego nadgarstka rozwinąłem Spellbreakera i mając w dłoni dwie stopy złotego łańcuszka, chlasnąłem nim po drzwiach, łamiąc zabezpieczenie. Ledwie zdążyłem go zwinąć na nadgarstku, gdy drzwi się otwały. Tym razem znacznie energiczniej.

Ochroniarz zmrużył oczy, widząc, że robię krok ku niemu.

Uśmiechnąłem się.

— Chciałbym rozmawiać z właścicielem. A poza tym to do ludzi należę ja, nie ty, elfie.

Użycie tego ostatniego określenia dawało gwarancję, że się wścieknie.

— Cwaniak — warknął przez zaciśnięte zęby. — Widzę, że trzeba pomóc ci zejść.

I ruszył na mnie.

Potrząsałem głową ze smutkiem.

— Taki duży, a nie potrafi spełnić prostej prośby. Już się niczego nie nauczysz, truposzu.

W prawej dłoni miałem już sztylet, tyle że on tego nie widział. Zanurkowałem pod jego ramieniem i mijając go, pchnąłem w górę. Sześć cali uczciwej stali znalazło się między jego czwartym a piątym żebrzem skierowane ku górze i nieco ku kręgosłupowi. Wszedłem do pokoju, słysząc za plecami cichy charkot, po którym nastąpił głośny łomot walącego się bezwładnie ciała. Wbrew powszechnemu przekonaniu nie było martwe — jeszcze nie. Po takim ciosie ugodzony żyje z zasady kilkanaście minut, ale jest w zbyt wielkim szoku, by móc zrobić cokolwiek, aby przy życiu pozostać.

Pokój był nieduży i miał tylko jedno okno. Wewnątrz stały trzy stoły do gry w s'yang — przy jednym siedziało pięciu graczy, przy dwóch pozostałych po czterech. Większość wyglądała na członków Domu Teckli, a jeden na Tsalthotha. Oprócz nich było jeszcze dwóch ochroniarzy z Domu Jherega, tak jak powiedział Kragar. Obaj szli na mnie, a jeden nawet już wyciągał rapier.

Zapowiadała się niezła zabawa.

Uskoczyłem za stół i w odpowiednim momencie kopnąłem go, rozsypując monety, kamienie i klientów. Ten z rapierem w garści zatrzymał się na stole i zaczął dziko wywijać bronią, więc ciąłem go w nadgarstek, żeby komuś krzywdy nie zrobił.

W tym momencie okno rozleciało się z trzaskiem i do środka wpadł Loiosh, zajmując się natychmiast drugim. Mogłem przez parę minut nie brać tego przeciwnika pod uwagę.

Cięty przeze mnie wypuścił rapier, nim zdążyłem obejść stół. Mimo to dostał zdrowego kopa w podbrzusze. Jęknął i zgiął się ładnie, więc trzasnąłem go w nadstawiony łeb gałką znajdującą się na końcu rękojeści mojego rapiera. Jak to się poetycko określa, „padł jak rażony gromem”.

I ruszyłem na drugiego, polecając równocześnie Loioshowi:

„Wystarczy. Zostaw go i pilnuj moich pleców.”

„Się robi, szefie.”

Kiedy Loiosh przestał go atakować, próbował wyciągnąć broń, ale ja już miałem rapier w dłoni — dotknąłem końcem głowni jego gardła i uśmiechnąłem się.

— Chciałbym rozmawiać z właścicielem — powtórzyłem.

Przestał się ruszać, ale przyglądał mi się zimno, bez cienia strachu.

— Nie ma go.

— Opowiadasz?! — zdziwiłem się uprzejmie. — Mów kto on, a przeżyjesz. Nie powiesz, umrzesz.

Ponieważ milczał, przesunąłem koniec ostrza tak, iż mierzyłem w jego lewe oko. Jeśli pchnę, a cios będzie szedł z dołu, zniszczę mu mózg, a wtedy żadna siła go nie wskrzesi. Nadal w jego oczach nie było śladu strachu, ale powiedział:

— Laris.

— Serdeczne dzięki. A teraz kładź się na podłodze.

Grzecznie wykonał polecenie. Skierowałem się ku drzwiom i oznajmiłem pozostałym:

— Lokal zamknięty do odwołania.

Przy drzwiach zrobił się tłok.

W tym momencie poczułem całkiem silny ruch powietrza i w pomieszczeniu znalazło się następnych pięciu ochroniarzy w barwach Domu Jherega. Wszyscy mieli dobytą broń. Loiosh wylądował na moim ramieniu.

Skończyły się żarty, zaczęły się schody, jak to ktoś ładnie ujął.

„Kragar, pryskaj” — poleciłem telepatycznie.

„Już.”

Spróbowałem teleportu, ale nie wyszło — ktoś założył blok teleportacyjny wokół budynku. W takich wypadkach zawsze żałuję, że nie jest to zakazana praktyka. Zamarkowałem atak na najbliższego, rozsypałem na podłodze garść kolców lewą ręką i skoczyłem przez wybite okno. Za plecami usłyszałem wrzask bólu i wiązanek — któryś musiał wleźć na kolce, a były one przemyślne, jakkolwiek bowiem by upadły, zawsze jeden ostry koniec sterczał w górę.

Spróbowałem lewitacji i musiało mi się udać, bo nie rąbnąłem o ziemię jak worek kartofli. Zamortyzowałem uderzenie o grunt zgiętymi nogami i natychmiast puściłem się biegiem, na wypadek gdyby któryś z nich umiał rzucać nożem, shurikenem czy czymś podobnym. Po paru krokach ponownie spróbowałem teleportacji i tym razem mi się udało.

I wylądowałem na tyłku przed drzwiami zielarni. Wstałem, zwymiotowałem i wszedłem. Zielarz spojrzał na mnie dziwnie.

— Narzygali ci na wycieraczkę — poinformowałem go w rewanżu. — Posprzątaj z łaski swojej.

\* \* \*

— Laris, tak? — powtórzył Kragar. — Czyli jeden z naszych sąsiadów. Kontroluje z dziesięć kwartałów, ale tylko kilka jego lokali jest w pobliżu naszego terenu. A raczej było.

Położyłem nogi na biurku.

— Ma dwukrotnie większy teren niż ja — oceniłem.

— I wygląda na to, że spodziewał się kłopotów — dodał Kragar.

Przytaknąłem ruchem głowy i spytałem:

— Testuje nas czy naprawdę próbuje zająć mój teren?

Kragar wzruszył ramionami i odparł po chwili:

— Trudno powiedzieć, ale sądzę, że próbuje opanować twój teren.  
— No dobrze — powiedziałem, siląc się na spokój, którego nie czułem. —  
Próbujemy z nim rozmawiać czy od razu idziemy na wojnę?  
— A jesteśmy gotowi na wojnę?  
— Oczywiście że nie i doskonale o tym wiesz! Mam swój teren ledwie od pół  
roku i, cholera, nie spodziewałem się czegoś takiego, a powinienem.  
Pokiwał głową, ale rozsądnie milczał.  
Wzięłem głęboki oddech, wypuściłem powoli powietrze i spytałem spokojnie:  
— Dobra. Ilu silnoręcznych dla nas pracuje?  
— Sześciu, nie licząc tych, którzy są na stałe przydzieleni jako ochrona do  
różnych lokali.  
— A jak wyglądają nasze finanse?  
— Doskonale.  
— Choć jedna miła wiadomość. Masz jakieś sugestie?  
Pytanie go nie uszczęśliwiło i nie ukrywał tego.  
— Nie wiem... — odparł w końcu. — Czy rozmowa z nim coś da?  
— Skąd mam wiedzieć? Nigdy go nie widziałem i prawie nic o nim nie wiem.  
— No to od tego powinniśmy zacząć — ocenił. — Należy dowiedzieć się  
o nim wszystkiego, czego tylko zdołamy.  
— Jeżeli da nam na to czas.  
Kragar pokiwał smętnie głową.  
„Mamy też inny problem, szefie” — wtrącił się Loiosh.  
„Jaki?”  
„Teraz to dopiero jesteś napalony.”  
„Zamknij się.”

## Rozdział drugi

*„Będę potrzebował ochrony”*

Kiedy jakieś trzy lata temu wstąpiłem do organizacji, zacząłem od pracy dla jegomości imieniem Nielar jako inkasent opornych dłużników. Nielar miał salon gry przy North Garshos Street, położony na terenie należącym do Weloka zwanego Klingą. Teren Weloka rozciągał się od Potter’s Market Street na północy do Millennial Street na południu i od France Street na zachodzie do One Claw Street na wschodzie, przy czym należy pamiętać, że granice te były raczej umowne i płynne.

Kiedy rozpocząłem pracę dla Nielara, najbardziej płynna była północna granica biegnąca wzdłuż Potter’s Market Street. Moja pierwsza „robota”, podobnie jak trzecia, została zlecona przez Klingę pragnącego ustabilizować tę granicę. Jego północnym sąsiadem był niejaki Rolaan, jednostka pokojowo nastawiona. Chciał on Potter’s Market Street, ale nie chciał wojny, więc spróbował negocjować z Welokiem. Stał się jeszcze bardziej pokojowy, kiedy wypadł pewnego pięknego dnia z okna swego znajdującego się na trzecim piętrze biura. Jego następcą, a dotychczasowy zastępca Feet Charno był jeszcze bardziej pokojowo nastawiony, bo nie chciał Potter’s Market Street — i w ten sposób problem sam się rozwiązał. Zawsze podejrzewałem, że to on zorganizował śmierć Rolaana, ale nigdy się tego nie dowiedziałem.

Mniej więcej w tym czasie przestałem pracować dla Nielara, a zacząłem bezpośrednio dla Weloka. Jego szefem był Toronnan, rządzący terenem od doków na wschodzie do Małej Bramy Śmierci na zachodzie i od rzeki na południu do Issola Street na północy.

Jakieś półtora roku po locie Rolaana Welok wdał się w dysputę z kimś z Lewej Ręki Jherega. Wydaje mi się, że ów ktoś działał na tym samym co on terenie, co akurat nie musiało być powodem konfliktu, gdyż interesy obu części organizacji z zasady nie kolidują ze sobą. Tym razem musiało być inaczej, ale nie wiem dokładnie, o co poszło. Wiem, że pewnego dnia Welok po prostu zniknął, a jego miejsce zajął jeden z dotychczasowych zastępców — niejaki Tagichatn, którego imienia do tej pory nie potrafię poprawnie wymówić.



Welok był ze mnie zadowolony, ale wiedziałem, że nowy szef nie ma zbyt dobrej opinii o ludziach, dlatego od razu pierwszego dnia poszedłem do jego biura. Mieściło się przy Copper Lane między Malak Circle a Garshos Street. Wyjaśniłem mu, czym się zajmowałem, i zapytałem, czy mam mu mówić „szefie”, „lordzie” czy też kombinować, jak się wymawia jego imię. Powiedział, że mogę mu mówić „Boże”, a najlepiej per „szefie” — i zaczęliśmy współpracę.

Po tygodniu go znienawidziłem. Po miesiącu inny z zastępców Weloka odłączył się i zaczął działać samodzielnie w samym środku jego terenu. Nazywał się Laris.

Dwa miesiące były granicą mojej wytrzymałości. Tagichatn nawet nie spróbował spacyfikować Larisa, co wszyscy uznali za oznakę słabości. Wiadomym było, że w końcu ktoś albo z jego podwładnych, albo sąsiadów wykorzysta to, że jest słaby, i prawdę mówiąc, nie wiem, co by się stało, gdyby nie zdecydował się popełnić samobójstwa. Dźgając się sztyletem w lewe oko i mózg.

Zrobił to późną nocą. Tej samej nocy skontaktowałem się z Kragarem, z którym zaczynałem, gdy pracowałem dla Nielara i czasami, gdy pracowałem dla Weloka. W tym czasie Kragar zatrudniał się jako wykidajło w tawernie na Pier Street.

Zapytałem go:

— Właśnie odziedziczyłem kawałek terenu. Nie chciałbyś mi pomóc go zatrzymać.

Zapytał:

— To niebezpieczne?

Odpowiedziałem:

— Jak cholera.

Odpowiedział:

— To serdeczne dzięki za pamięć, Vlad. Nie.

Powiedziałem:

— Zaczyniesz od pięćdziesięciu sztuk złota tygodniowo. Jeśli będziemy żyli po dwóch tygodniach, dostaniesz siedemdziesiąt pięć plus dziesięć procent z tego, co zarobię.

— Sto po dwóch tygodniach plus piętnaście procent dochodu.

— Siedemdziesiąt pięć i piętnaście procent mojego zysku.

— Dziewięćdziesiąt i piętnaście procent z tego co przed podziałem z górą.

— Siedemdziesiąt pięć i dziesięć procent przed podziałem.

— Zgoda.

Następnego dnia sekretarz Tagichatna przybył do pracy i zastał nas prawie blokujących wewnątrz.

Zaproponowałem mu:

— Jeśli chcesz, możesz pracować dla mnie. Powiesz „tak” i dostajesz dziesięć procent podwyżki. Powiesz „nie” i wychodzisz stąd żywy. Powiesz „tak” i spróbujesz mnie zdradzić — nikt nigdy nie zdoła cię ożywić.

Powiedział „nie”.

No to ja mu powiedziałem „do widzenia”.

A potem poszedłem do silnorękiego, który także serdecznie nienawidził naszego byłego szefa, a z którym kilkakrotnie pracowałem. Słyszałem, że Melestav, bo tak mu było na imię, wykonywał już „robotę”, a z własnego doświadczenia wiedziałem, że jest dokładny. Powiedziałem mu:

— Szef chce, żebyś został jego sekretarzem i ochroną osobistą.

— Szef zidiociał.

— Szef to ja.

— To ja wchodzę.

Potem wziąłem plan miasta i zaznaczyłem na nim teren nieboszczyka, pomyślałem trochę i wyrysowałem w jego wnętrzu mniejszy prostokąt. Z jakiegoś nie znanego mi powodu w tym rejonie miasta granice terenów przebiegają środkiem ulic i dlatego w rozmowach nie słyszy się na przykład: „Ja mam Daylond Street, a ty Nebbit”, tylko „Mój teren kończy się na zachodniej stronie Daylond Street, a twój zaczyna się od wschodniej strony Daylond Street”. Dlatego prostokąt, który narysowałem, przebiegał od połowy Pier Street, gdzie kończył się teren Larisa, do Daylond Street, potem wzdłuż Glendon Street, dalej wzdłuż Undauntra Street aż do Solom Street i wreszcie Solom Street do Kieron Road i wzdłuż Kieron Road do Pier Street.

Poleciłem Melestavowi skontaktować się z zastępcami Tagichatna i przekazać im, by spotkali się ze mną o przecznice od biura Toronnana — szefa Tagichatna. Tam poleciłem, by poczekali, i poprosiłem, by Toronnan mnie przyjął.

Przyjął mnie. Miał krótko obcięte jasne włosy i ubrany był w kaftan w barwach Domu Jherega. Tak fryzura, jak i ubranie były starannie wykonane i doskonale utrzymane. Jak na Dragaerianina nie był wysoki — nie miał siedmiu stóp — i był drobnej budowy. Ogólnie sprawiał wrażenie archiwisty z Domu Lyorna. Reputację zyskał dzięki doskonałemu opanowaniu topora bojowego.

Przedstawiłem się, wyjąłem plan i pokazałem mu większy zaznaczony przez siebie obszar, mówiąc:

— Za pańskim pozwoleniem chwilowo zarządzam tym terenem, ale sądę, że na stałe poradziłbym sobie z tamtym — i pokazałem mu mniejszy. — Pano wie czekający za drzwiami z pewnością będą szczęśliwi, mogą podzielić resztę między siebie tak, jak uzna pan to za stosowne. Nie rozmawiałem z nimi na ten temat.

I ukloniłem się ładnie, ale bez przesady.

Przyjrzał mi się uważnie, potem obejrzał plan, a na końcu skupił wzrok na Loioshu, który cały czas siedział na moim ramieniu.

— Jeśli utrzymasz go, Wąsaczu — powiedział w końcu — teren jest twój.

Podziękowałem i wyszedłem, pozostawiając mu wyjaśnienie reszcie nowego układu sił.

Wróciłem do biura, zabrałem się do ksiąg i odkryłem, że jesteście prawie bankrutami. Swoich miałem pięćset sztuk złota, co rodzinie zapewniłoby utrzymanie i jedzenie przez rok, ale poza tym było kiepsko. Na moim terenie znajdowały się: cztery burdele, dwa salony gry, dwóch lichwiarzy i jeden paser. Miałem jednego zastępcę — Kragara — i sześciu silnorekch na pełnych etatach. Znałem też kilku innych, pracujących dotąd niezależnie.

Odwiedziłem każde z wyżej wymienionych miejsc i złożyłem taką samą propozycję, kładąc na stole sakiewkę z pięćdziesięcioma złotymi imperiałami.

— Jestem nowym szefem, a to jest premia albo odprawa. Wybór należy do ciebie. Jeśli potraktujesz to jako premię i spróbujesz mnie oszukać, sporządź listę żałobników. Będzie potrzebna.

Gest ładny i potrzebny, tyle że zostałem prawie bez pieniędzy.

Zostali wszyscy, więc wstrzymałem oddech i czekałem na koniec tygodnia.

W ostatni dzień tygodnia — zwyczajowy termin tego rodzaju płatności — pojawił się tylko Nielar, działający teraz na moim terenie. Reszta, jak sądzę, czekała, co zrobię. Załatwiłem sprawę własnoręcznie, ponieważ nie miałem gotówki, by wynająć wykonawców, a żadnego ze swoich silnorekch nie chciałem użyć — no bo i niby co bym mu zrobił, gdyby nie wykonał polecenia? Mogłem go tylko zabić, przez co poniósłbym jeszcze większe straty.

Przespacerowałem się do biura najbliższego przybytku, a był nim burdel, i odszukałem właściciela. Zanim zdążył się odezwać, przybiłem mu pelerynę do ściany dwoma nożami i umieściłem po shurikenie przy każdym uchu tak, by wbijając się w ścianę, nieco go drasnęły. Potem Loioosh zabrał się do jego gęby, ale bez trucizny. Kiedy skończył, poczęstowałem gościa porządnym ciosem w splot słoneczny, a gdy się uprzejmie zgiął, kolaniem w nos. Zaczął rozumieć, że nie jestem zachwycony.

— Masz minutę według wskazań Imperialnego Zegara na danie mi do ręki moich pieniędzy — oznajmiłem. — Potem Kragar zajmie się twoimi księgami i pogada z twoimi panienkami. Jeśli dasz mi o miedziaka za mało, jesteś trupem.

Tak się spieszył, że zostawił na ścianie pelerynę. Kiedy liczył pieniądze, skontaktowałem się telepatycznie z Kragarem i powiedziałem mu, by się zjawił. Dostałem sakiewkę i czekaliśmy na Kragara w spokoju, ale gospodarzowi zaczęły puszczać nerwy i zaczął coś mamrotać, że właśnie się do mnie wybierał, więc mu powiedziałem, żeby się zamknął, bo mu wytnę struny głosowe i będzie się musiał uczyć języka migowego.

Zamknął się.

Kiedy Kragar się zjawił, poszedłem do biura i nadal czekałem, tyle że w ciszy i spokoju. Kragar wrócił po dwóch godzinach. Księgi zgadzały się z faktycznymi obrotami. W burdelu było dziesięć „panienek” — sześć żeńskich, cztery męskie. Każda z reguły miała dziennie pięciu klientów po trzy imperiale od głowy i zarabiała cztery sztuki złota dziówki. Plus wyżywienie za jakieś pół imperiała. Pełno-

etatowy wykidajło dostawał osiem sztuk złota, a na rozmaite drobne wydatki szedł jeszcze jeden imperiał. Każda „panienka” miała jeden dzień w tygodniu wolny, więc łącznie interes przynosił sto trzydzieści pięć imperiali dziennie przy kosztach wynoszących pięćdziesiąt jeden. Dzienny zarobek w związku z tym kształtował się nieco powyżej osiemdziesięciu sztuk złota. Ponieważ tydzień miał pięć dni (na Wschodzie siedem, choć do tej pory nie mam pojęcia dlaczego), dawało to razem jakieś czterysta dwadzieścia sztuk złota. Czwarta część z tego należała do właściciela, reszta do mnie. Czyli powinienem dostać jakieś trzysta piętnaście imperiali. Dostałem trzysta osiemnaście oraz trochę srebra i miedziaków.

Byłem usatysfakcjonowany.

Moje zadowolenie znacznie wzrosło, gdy w ciągu najbliższej godziny zjawili się wszyscy pozostali. Każdy się mętnie tłumaczył i przeproszał za opóźnienie, ale każdy przyniósł kasę. Żadnemu nic nie zrobiłem, ale wszystkim zapowiedziałem, że nie lubię spóźnialskich.

Pod koniec dnia zebrałem ponad dwa i pół tysiąca imperiali. Po zapłaceniu Kragarowi, Melestawowi, silnorękim i innych kosztach zostało mi trochę ponad dwa tysiące. Połowę przekazałem Toronnanowi, a połowa była moja.

Przyznaję, że byłem z siebie zadowolony. Jak na człowieka, który za młodu urabiał sobie ręce po łokcie w restauracji dającej na czysto osiem sztuk złota tygodniowo, była to niezła sumka. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego nie zająłem się tym wcześniej.

Następnych parę miesięcy upłynęło mi na zadomawianiu się i gromadzeniu gotówki. Kupiłem zielarnię handlującą narkotykami i psychodelikami, żeby mieć jakiś oficjalny front swojej działalności i dochodów. Wynająłem księgowego, żeby dbał o porządek w papierach, i kilku silnorękich, którzy nie dostali stałego przydziału. Na wypadek kłopotów z właścicielami albo z cwaniakami próbującymi wepchnąć się na mój teren.

No i po to, żeby posprzątać okolicę. Tak się bowiem złożyło, że była ona nader popularna wśród młodocianych opryszków — głównie z Domu Orki — którzy pałętali się po ulicach i wymuszali od mieszkańców drobne na wydatki. Kto nie chciał dawać, zostawał pobity, więc dawali wszyscy. A mieszkali tu przede wszystkim niezbyt zamożni członkowie Domu Teckli, gdyż było blisko do doków, no i żyła tu spora społeczność Teckli. Sprzątanie okolicy polegało na pałętaniu się po ulicach i solidnym obijaniu każdego obiecującego młodzieńca przyłapanego na tym procederze. Oraz na wykopaniu go z terenu z zapowiedzią, że jak wróci, to nie dość, że mu gębę obiją, to jeszcze ręce i nogi połamią. Kiedy dorastałem, obrywałem od podobnych im, tyle że polujących na ludzi dla rozrywki. Większość należała do Domu Orki. I dlatego moi pracownicy otrzymali takie a nie inne polecenia co do tego, jak postępować ze złapanymi na recydywie. Wykonywali je tak sumiennie, że efekty zaczęły być widoczne po trzech tygodniach. A po trzech miesiącach mój teren należał do najbezpieczniejszych w całym mieście. Także po

zapadnięciu zmroku. Doszło do tego, że prawie uwierzyłem we własną propagandę — rozgłaszaliśmy bowiem także stosowną reklamę w stylu, że o północy może się tu przechadzać dziewica z workiem złota i nie stracić ani cnoty, ani gotówki.

Według moich obliczeń na czwarty miesiąc zwiększone wpływy pokryły koszty związane z wynajęciem dodatkowych silnorek.

W tym czasie parokrotnie chodziłem „na robotę”, by zwiększyć zapas gotówki i pokazać światu, że nadal działam, co dodatnio wpływało na moją reputację. Poza tym nic specjalnego się nie działo.

A potem mój dobry sąsiad Laris pokazał mi, dlaczego nie zająłem się tym wcześniej.

\* \* \*

Następnego dnia po próbie zamknięcia nielegalnej jaskini hazardu zakończonej zarzyganiem wycieraczki wysłałem Kragara, by poszukał kogoś, kto pracował dla Larisa albo go znał. Sam zabijałem czas, siedząc w biurze, rzucając nożami do celu i opowiadając sobie z Melestavem dowcipy w stylu: „Ilu ludzi trzeba, by naostrzyć rapier? Czterech: jeden trzyma rapier, trzech przesuwają osetkę”.

Kragar wrócił tuż przed dwunastą.

— I czego się dowiedziałeś? — powitałem go ciepło.

Siadł, otworzył notes i posiłkując się tym, co zapisał, zabrał się do referowania.

— Laris zaczął jako inkasent u lichwiarza, jeszcze kiedy istniała stara stolica. Zajmował się tym ze trzydzieści czy czterdzieści lat, zanim nie wyrobił sobie dostatecznych układów, by otworzyć własny interes. W tym czasie również raz lub dwa wykonał „robotę” w ramach obowiązków inkasenta. Przez około sześćdziesiąt lat zajmował się lichwiarstwem i wiodło mu się niezgorzej. Potem wydarzyła się Katastrofa Adrona i nastąpiło Bezkrólowie, toteż słuch o nim zaginął, podobnie jak o wielu innych. Pojawił się w Adrilance jakieś sto pięćdziesiąt lat temu i zarabiał, sprzedając ludziom tytuły w Domu Jherega.

— Czy to od niego...

— Nie wiem, Vlad. Przyszło mi do głowy, że twój ojciec kupił tytuł właśnie od niego, ale nie byłem w stanie tego sprawdzić.

— Nie szkodzi. To w sumie nie jest takie ważne. Mów dalej.

— Jakieś sto pięćdziesiąt lat temu zaczął pracować dla Weloka jako silnorek. Wszystko wskazuje na to, że w tym czasie wykonał też kilka „robót” i dwadzieścia lat temu rozpoczął kierowanie własnym terenem podległym bezpośrednio Welokowi, gdy ten przejął interesy K'tanga zwanego Hakiem. Kiedy Welok zniknął...

— To już znam z autopsji.  
— Dobra. I co teraz?  
Zastanawiałem się przez chwilę.  
— Jak rozumiem, nigdy dotąd nie spotkało go żadne poważne niepowodzenie?  
— spytałem.  
— Nie.  
— I nigdy nie prowadził wojny.  
— To niezupełnie prawda. Powiedziano mi, że praktycznie to on kierował wojną z Hakiem i za to Klinga dał mu teren.  
— Skoro był wówczas tylko silnorekim, to...  
— Nie wiem — przerwał mi Kragar. — Mam przeczucie, że tam było coś więcej, ale nie wiem co.  
— Hmm... Czyżby już wtedy kierował nieoficjalnie jakimś terenem? Albo zajmował się czymś innym dla Weloka, a oficjalne zajęcie było tylko przykrywką?  
— Może. A może miał coś na Weloka — zasugerował Kragar.  
— W to akurat trudno mi uwierzyć: Welok był twardy kawał sukinsyna.  
Kragar wzruszył ramionami.  
— Słyszałem, że to Laris zaproponował mu przejęcie terenu Haka, pod warunkiem że Welok uzna, że da sobie radę z jego zarządzaniem. Próbowałem to zweryfikować, ale mi się nie udało.  
— Od kogo to słyszałeś?  
— Od niezależnego silnorekiego, który w czasie tej wojny pracował dla Larisa. Nazywa się Ishtvan.  
— Ishtvan? To człowiek?!  
— Nie, tylko ma takie imię. Podobnie jak Mario.  
— Jeżeli jest podobny do Maria, to chcę go mieć u siebie!  
— Nie jest — zapewnił mnie Kragar. — Wiesz, o co mi chodziło.  
— Wiem. No dobra, wyślij kogoś do Larisa i przekaż mu, że chciałbym się z nim spotkać.  
— Będzie chciał wiedzieć gdzie.  
— Fakt. Sprawdź, która dobra restauracja należy do niego, i umów tam spotkanie na jutrzejsze południe.  
— Dobrze.  
— I wyślij tam paru naszych. Będę potrzebował ochrony.  
— Jasne.  
— No to bierz się do roboty — zakończyłem.  
Wziął się.  
„Szefie, o co chodzi z tą ochroną?” — Zaciekawiał się Loiosh.  
„Właśnie. O co ci chodzi?”  
„Przecież masz mnie, nie? To po co ci te błazny?”  
„Żeby mieć spokojne sumienie. Zdrzemnij się póki co.”

\* \* \*

Jednym z silnorękich, którzy byli ze mną od chwili objęcia terenu, był N'aal zwany Uzdrowicielem. Swój przydomek zawdzięczał, jak wieść niosła, pewnej sytuacji, gdy to wraz z innym silnorękim został wysłany, by zainkasować spóźnioną należność od pewnego lorda z Domu Chreothy. Dotarli pod wskazany adres, zaklaskali pod drzwiami, a kiedy znaleźli się wewnątrz, poprosili o pieniądze. Gospodarz prychnął i spytał beczelnie, dlaczego niby i za co ma im płacić. N'aal pokazał mu całkiem spory młotek i oznajmił:

— Widzę, że masz pan poważne problemy z pamięcią i cały łeb. No to ja jestem uzdrowiciel i zaraz się zajmę tą dolegliwością.

Słowa te wywarły właściwy skutek — gospodarz zachował całą głowę, oni odzyskali złoto, a partner N'aala był pod takim wrażeniem, że rozpowiedział całą historię, i tak N'aal został Uzdrowicielem.

To właśnie on zjawił się w moim biurze jakieś dwie godziny po tym, jak poleciłem Kragarowi skontaktować się z Larisem. Widząc go w progu, zapytałem uprzejmie, czego chce.

— Kragar kazał mi dostarczyć wiadomość.

— Dostarczyłeś.

— Ano. Znalazłem jednego z pracowników Larisa i powtórzyłem mu, co kazał Kragar.

— Dostałeś może jakąś odpowiedź?

— No. Że się zgadza na czas i miejsce.

— Doskonale. Jakby się jeszcze Kragar pokazał, to może bym się i ja dowiedział, gdzie...

— Przecież tu jestem, szefie!

— Co...?! O szlag... Dobra, N'aal, sprawdź, czy cię nie ma w sekretariacie.

— Przecież wiem że nie — burknął i wyszedł.

Kragar zamknął za nim drzwi delikatnym kopniakiem i przeciągnął się.

— I gdzie ustaliłeś spotkanie? — spytałem.

— W restauracji zwanej „The Terrace”. Dobra i niezbyt tania: posiłek przynajmniej za imperiała od głowy.

— Stać mnie.

„Mają naprawdę ostre parówki pieprzowe. Dobre” — wtrącił niespodziewanie Loiosh.

„A ty skąd wiesz?”

„Bo regularnie odwiedzam ich śmietnik.”

Jak się zadaje głupie pytania...

— Dobra — zwróciłem się do Kragara. — Kogo wybrałeś mi na obstawę?

— Varga i Temeka.  
— Mogą być.  
— No i ja tam będę. Wątpię, żeby mnie zauważyli — dodał z krzywym uśmiechem.  
— Racja. Chcesz mi coś poradzić albo podpowiedzieć?  
Potrząsnął przecząco głową i dodał nieco bezradnie:  
— Jestem równie nowy w tym interesie co ty...  
— Zgadza się. Cóż, będę improwizował. Coś jeszcze?  
— Nie. Wszystko działa tak doskonale jak zwykle.  
— I oby tak zostało — mruknałem z przekonaniem i postukałem w spód blatu.  
Kragar spojrział na mnie zaskoczony.  
— Taki ludzki zwyczaj, żeby nie zapeszać — wyjaśniłem.  
Nadal wyglądał na zdziwionego, ale nic nie powiedział.  
Wyciągnąłem nóż i zacząłem go podrzucać.

\* \* \*

Varg był z groźniejszej szkoły niż ja. Należał do tych osób, które roztaczają wokół siebie atmosferę zagrożenia, i to z uzasadnionych powodów: równie łatwo mógł zabić, jak się uśmiechnąć. Był nieco niski jak na Dragaerianina i miał lekko skośne oczy, co wskazywało, że wśród jego przodków musiał być przynajmniej jeden Dzur. Ciemne włosy nosił ścięte krócej niż większość i zaczesane do tyłu. Kiedy się do niego mówiło, stał zupełnie nieruchomo i przyglądał się rozmówcy błękitnymi oczyma zupełnie pozbawionymi wyrazu. Jego twarz była równie nieodgadniona — tylko jeśli kogoś bił, zmieniała wyraz. Pojawiał się na niej najlepszy grymas jherega, jaki w życiu widziałem. Emanował też wtedy tak skondensowaną nienawiścią, że skłoniłaby do błyskawicznej ucieczki armię Teccli.

No i absolutnie nie miał poczucia humoru.

Temek był wysoki i tak chudy, że patrząc z boku, można go było nie zauważyć. Miał brązowe, przyjazne oczy o głębokim spojrzeniu. I był mistrzem w posługiwaniu się bronią. Topór, pałka, sztylet, nóż do rzucania, rapier, szpada, miecz, shuriken, strzałki, lina, trucizny czy nawet jakiś przedmiot codziennego użytku — wszystko w jego dłoniach stawało się śmiertelnie groźną bronią i wszystkim posługiwał się z równą łatwością. Był też całkiem dobrym magiem jak na kogoś nie należącego do Kurwiego Patrolu, jak popularnie zwano Lewą Rękę Jherega. I wiem, że na pewno chodził na „robotę”, bo Kragar mu ją zlecał z mojego rozkazu.



Miesiąc przed początkiem kłopotów z Larisem pewien Dzur-bohater pożyczył sporą kwotę od kogoś, kto dla mnie pracował. Ów Dzur-bohater zdobył ten tytuł parokrotnie i był też dobrym magiem i bardziej niż dobrym szermierzem. Więc wymyślił sobie, że nic mu nie zrobimy, jeśli nie odda nam pieniędzy. Posłałem do niego dwóch pracowników, by po dobroci doszli z nim do porozumienia, a cham niemyty ich zabił. Kosztowało mnie to tysiąc pięćset sztuk złota — połowę kosztów wskrzeszenia jednego (drugą pokrył, ma się rozumieć, lichwiarz) i pięć tysięcy imperiali odszkodowania dla rodziny drugiego, bo nie dało się go ożywić.

Nie są to drobne kwoty (przynajmniej dla mnie), poza tym lubiłem zabitego, więc poleciłem Kragarowi zająć się Dzurem szybko i skutecznie. Kragar wynajął Temeka za trzy tysiące sześćset sztuk złota, co nie było wygórowaną ceną, biorąc pod uwagę umiejętności celu. Cztery dni później — nie cztery tygodnie, a cztery dni — znaleziono owego cwaniaka przyszpilonego oszczepem do ściany. Ktoś wbił mu go w tył głowy tak, że przeszedł przez mózg i wyszedł czołem. Martwy Dzur-bohater nie miał także lewej dłoni.

Śledztwo przeprowadzone przez władze wykazało, że dłoń urwała mu eksplozja jego własnej różdżki magicznej, co spowodowało także zanik całej magii obronnej, jaką gość się posługiwał. Śledczy uznał, że to robota Mario. Temek nawet nie był przesłuchiwany. . .

\* \* \*

Następnego ranka zaprosiłem Temeka i Varga do swego gabinetu, kazałem im zamknąć drzwi i usiąść.

— Panowie, udaję się za kilka minut do restauracji zwanej „The Terrace”, gdzie zjem coś i porozmawiam z pewnym jegomościem — wyjaśniłem. — Istnieje duża szansa, że nic się nie wydarzy, ale istnieje też druga, że on lub jego pracownicy będą chcieli mnie cieleśnie uszkodzić. Wy pójdziecie ze mną i dopilnujecie, by ta druga możliwość się nie udała. Rozumiecie?

— Tak — odparł Varg.

— Żaden problem, szefie — zapewnił Temek. — Spróbuje czegoś, zostanie po nim wspomnienie.

— I o to chodzi! — ucieszyłem się. — Będziecie mi towarzyszyli w drodze do i z restauracji.

— Tak — przytaknął Varg.

— I to bez dodatkowej opłaty — zgodził się Temek.

— Wyjdziemy stąd za kwadrans dwunasta — dodałem.

— Będziemy na czas — zapewnił Temek i spytał Varga. — Chcesz wcześniej

obejrzyć lokal?

— Tak.

— Szefie, gdybyśmy przypadkiem nie zjawili się na czas, to moja kobieta mieszka nad „Caroon & Sons” i ma słabość do ludzi — dodał Temek.

Temek wyszedł natychmiast. Varg wbił wzrok w podłogę, co u niego zastępowało ukłon, i podążył jego śladem. Odliczyłem wolno do trzydziestu i wyszedłem na ulicę. Obaj maszerowali we właściwym kierunku, ale to mnie nie powstrzymało.

„Leć za nimi, Loiosh. Sprawdź, czy zrobią to, co powiedzieli, że zrobią.”

„Coś się ostatnio zrobiłeś podejrzliwy, szefie.”

„To nie podejrzliwość. To paranoja. Leć.”

Poleciał.

Obserwowałem go chwilę i wróciłem do biura. Usiadłem w fotelu, wyjąłem z szuflady zestaw dyżurny noży do rzucania, obróciłem fotel przodem do tarczy i zacząłem rzucać.

Jeden... Drugi... Trzeci...

## Rozdział trzeci

*„Ten teckla Laris to wcale nie teckla!”*

„Szefie! Wpuść mnie.”

„Już otwieram, Loioosh.”

Przeszedłem przez sekretariat i sklep i otworzyłem drzwi. Loioosh wylądował na moim ramieniu.

„I co?”

„Zrobili, jak powiedzieli, szefie. Weszli do środka, ale nie zamknęli drzwi, więc wszystko widziałem. Varg tylko stał i się rozglądał. Temek wypił szklanekę wody. Z nikim nie rozmawiali i nie wyglądało na to, żeby kontaktowali się telepatycznie.”

„Doskonale. Dobra robota, Loioosh.”

Wróciłem do siebie, sprawdziłem, która godzina na Imperialnym Zegarze, i okazało się, że mam jeszcze z pięćdziesiąt minut do zabicia. W tej pracy czekanie zaprawdę czasami działa na nerwy!

Usiadłem wygodnie, położyłem nogi na stół i wgapilem się w sufit. Był drewniany i kiedyś pomalowany. Wystarczy zaraz po pomalowaniu dołożyć magii utrwalającej, co kosztowałoby góra trzydzieści imperiali, i przez następne dwadzieścia lat wszystko wygląda świeżo i czysto. Tyle że poprzednik, czyli mój były szef, nie uznał tego za stosowne i teraz farba zżółkła i łuszczyła się płatami. Jeszcze nie zaczęła odpadać, ale w najbliższym czasie z pewnością zacznie. Ktoś z Domu Athyry uznałby to pewnie za omen. Ja nie należałem do tego domu... niestety ludzie zawsze byli przesądnymi durniami...

\* \* \*

„Szefie? Przyszli Varg i Temek” — zameldował telepatycznie Melestav.

„Wpuść ich.”

Po sekundzie drzwi otworzyły się, wpuszczając zapowiedzianą parkę.

— Dokładnie o czasie, szefie — oznajmił Temek.

Varg tylko mi się przyjrzał.

— Dobra — wstałem. — W takim razie w drogę.

We trójkę przeszliśmy przez sekretariat i sklep i doszliśmy do drzwi. Złapałem za klamkę, gdy usłyszałem w umyśle kategoryczne:

„Moment, szefie!”

„Co się stało, Loiosh?”

„Najpierw ja.”

„W porządku.”

Odsunąłem się od drzwi i już miałem powiedzieć Vargowi, żeby je otworzył, gdy podszedł i zrobił to z własnej inicjatywy. Loiosh wyleciał i po sekundzie zameldował:

„Czysto, szefie.”

„W porządku.”

Skinąłem głową. Varg wyszedł pierwszy, ja za nim, na końcu Temek. Skręciliśmy w lewo, poszliśmy Copper Lane spokojnym krokiem, nie przyciągając niczyjej uwagi.

Mój dziadek, ucząc mnie fechtunku „ludzką modą”, czyli tak jak ludzie, ostrzegł mnie, żebym nie dał się zdekoncentrować ceniom. Protestowałem, że w Imperium nie ma cieni, na co nieodmiennie słyszałem: „Wiem, Vladimir, wiem. Nie pozwól się zdekoncentrować ceniom. Skupiaj się na celu”.

Sam nie wiem, dlaczego przypomniało mi się to akurat w tym momencie.

Doszliśmy do Malak Circle i skierowaliśmy się w prawo, aż wyszliśmy na Kieron Road. Po kilkudziesięciu krokach znaleźliśmy się na terenie wroga. A wyglądało zupełnie jak w domu.

Tuż za Kieron Road w pewnym miejscu odbija pod kątem biegnąca na południe Stipple Road, a zaraz za tym odbiciem, po lewej stronie znajduje się niski murowany budynek wciśnięty między gospodę i sklep z obuwem. Po przeciwnej stronie stoi trzypiętrowa kamienica podzielona na sześć mieszkań.

Niski budynek jest cofnięty o jakieś czterdzieści stóp od ulicy. Powierzchnię tę zajmuje nieco podwyższony w stosunku do chodnika taras z tuzinem stolików, na który prowadzą dwa niskie stopnie. Cztery stoliki były zajęte. Trzy zignorowaliśmy, gdyż siedziały przy nich także dzieci. Przy czwartym, stojącym w pobliżu wejścia do restauracji, siedział tylko jeden mężczyzna w barwach Domu Jherega. Mógł mieć na plecach napisane „Ochrona”, tak ładnie rzucał się w oczy.

Nie zwolniliśmy kroku. Varg wszedł pierwszy do lokalu, a my stanęliśmy przy drzwiach. Temek rozglądał się nachalnie niczym wieśniak w cesarskim pałacu.

Varg wyszedł i skinął głową. Loiosh wleciał, przeszukał stojący z tyłu przy ścianie stolik i przysiadł na oparciu wysokiego krzesła.

„Wygląda w porządku” — odmeldował.

Wszedłem i zatrzymałem się kilka kroków za progiem, by oczy przyzwyczyły się do półmroku, wziąłem kilka głębokich oddechów i podszedłem do stolika wybranego przez Loiosha — jako zapraszający miałem prawo i obowiązek wybrać miejsce. Stolik był dobrze usytuowany — ściana osłaniała tyły, a siedząc plecami do niej, miałem doskonały widok na całą salę. Przy okazji zauważyłem jeszcze paru ochroniarzy Larisa. Varg i Temek uprzejmie zajęli stolik o jakieś piętnaście stóp od mojego; w ten sposób byli blisko, ale zarazem na tyle daleko, by nie słyszeć rozmowy.

Dokładnie w południe do sali wszedł Dragaerianin w średnim wieku (czyli miał około tysiąca lat). Był średniego wzrostu i wagi, o nie rzucającej się w oczy twarzy. Przy boku nosił rozsądnych rozmiarów, wygodny w użyciu rapier i pelerynę pozbawioną widocznych śladów wskazujących na ukrytą broń. Nie zachowywał się jak zabójca — nie omiatał wzrokiem otoczenia i nie był w stanie ciągłej gotowości. Tego ostatniego nie zauważyłby nikt postronny, ale dla zawodowca z tej samej branży istniały drobne, a świadczące o takiej gotowości oznaki. A mimo to...

Emanował władzą. Jego oczy były nieruchome, ale zimne, ręce zwisały wzdłuż ciała, a dłonie wyglądały zwyczajnie, ale wzbudzały szacunek i obawę.

Ja byłem zabójcą próbującym być szefem, on był parę razy na „robocie”, ale był szefem. Był stworzony, by rządzić własnym terenem i prowadzić interesy. Od ruchowo wymuszał lojalność u podwładnych i mogłem się założyć, że traktuje ich dobrze i uczciwie, wyciskając równocześnie ostatniego miedziaka ze wszystkiego, czego się dotknie. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, mógłbym pracować dla niego i stosunki między nami byłyby dobre. Cóż, wyszło inaczej...

Usiadł naprzeciw mnie, skłonił na powitanie głowę i uśmiechnął się ciepło.

— Baronet Taltos... — odezwał się uprzejmie. — Dziękuję za zaproszenie. Choć to dobry lokal, przyznam, że nie zaglądam tu wystarczająco często.

Równie uprzejmie skłoniłem głowę i odparłem:

— Cała przyjemność po mojej stronie, panie. Słyszałem o tym lokalu same superlatywy. Powiedziano mi, że jest doskonale zarządzany.

Skinął głową, kwitując komplement, i dodał:

— Powiedziano mi, że zna się pan na branży restauratorskiej, baronecie...

— Proszę mówić mi Vlad — zaproponowałem mu grzecznie, acz stanowczo.

— Co nieco się znam. Mój ojciec...

Przerwał nam kelner.

— Pieprzowe parówki są godne polecenia — podsunął Laris.

„Szefie, te pa...”

„Zamknij się, Loiosh.”

— Też tak słyszałem — przytaknąłem i poleciłem kelnerowi. — Dwie porcje.

Po czym spojrzałem na Larisa i zaproponowałem:

— Do tego powinno pasować czerwone wino, panie. Mo...

— Laris — poprawił mnie tak samo jak ja jego.

— Laris. Może Kaavren?

— Doskonały wybór.

Kiwnąłem głową ochroniarzowi, to jest tego... kelnerowi. Ten ukłonił się i odszedł, a ja uśmiechnąłem się do Larisa tak ciepło, jak potrafiłem.

— To byłoby nader miłe miejsce do prowadzenia — powiedziałem.

— Tak sądzisz?

— Jest ciche, gustowne, ma stałą klientelę, a to bardzo ważne w tej branży. Regularni klienci są podstawą. Ten lokal istnieje od dawna, prawda?

— Z tego co wiem, otwarto go jeszcze przed Bezkrólewem.

Pokiwałem głową, jakbym się spodziewał takiej właśnie odpowiedzi.

— Nie myślący perspektywicznie właściciel chciałby powiększyć to miejsce — dodałem. — Wiesz, dobudować piętro albo balkon. Dlaczego? Przecież takie, jakie jest, przynosi całkiem ładny dochód. Klienci je lubią, a założę się, że gdyby zostało rozbudowane, za pięć lat wypadłoby z interesu. Ale są tacy, którzy tego nie rozumieją. Brak zmian i zdrowy rozsądek: to właśnie podziwiam u właściciela tego lokalu.

Laris słuchał mego monologu z lekkim uśmiechem, potakując od czasu do czasu. Doskonale wiedział, o czym mówię, ale nim zdążył odpowiedzieć, zjawił się kelner z butelką wina. Podał mi ją, bym otworzył, co też zrobiłem i nalałem trochę Larisowi, by wyraził swą opinię. Spróbował i skinął głową z aprobatą, więc napełniłem najpierw jego kielich, potem swój.

— Cóż mogę ci odrzec, Vlad? Ktoś pracował dla mnie długo i dobrze. Pomógł mi zorganizować mój teren. Dobry pracownik. Przyszedł do mnie i zapytał, czy może otworzyć salon gry. Co miałem mu powiedzieć? Nie mogłem powiedzieć nie, prawda? Ale jeśli dałbym mu na to zgodę na swoim terenie, zmniejszyłbym dochody tych, którzy już tam działali i byli ze mną od lat. To nie byłoby uczciwe. Więc się rozejrzałem i stwierdziłem, że masz u siebie niewiele salonów, a ruchu sporo, więc pomyślałem, że nawet tego nie zauważysz. Wiem, że powinienem to najpierw z tobą uzgodnić, i przepraszam, że tego nie zrobiłem.

Kiwnąłem głową, starając się ukryć zaskoczenie. Nie wiedziałem dokładnie, czego się spodziewać po tej rozmowie, ale na pewno nie spodziewałem się tego, co usłyszałem. Kiedy mu powiedziałem, że popełnił błąd, włączając na mój teren, usłyszałem, że niczego takiego nie zrobił, a była to jedynie jednorazowa uprzejmość wobec kogoś. Problem polegał na tym, czy mogłem mu uwierzyć, a jeśli tak, to czy powinienem pozwolić mu się z tego wykrcić.

— Rozumiem, Laris — powiedziałem w końcu. — I zadam ci pytanie, jeśli nie masz nic przeciwko temu: a jeśli sytuacja się powtórzy?

Pokiwałem głową, jakby spodziewał się tego pytania.

— Kiedy mój przyjaciel powiedział mi o twojej wizycie i o tym, że nie wyglądałeś na uszczęśliwionego, zrozumiałem, że zrobiłem błąd. Właśnie zastanawia-

łem się, jak sformułować przeprosiny, gdy dostałem twoje zaproszenie. Jeśli zaś chodzi o przyszłość... cóż, Vlad, gdyby kiedykolwiek miało się to powtórzyć, obiecuję najpierw z tobą porozmawiać. Jestem pewien, że tym razem uda nam się znaleźć sensowne rozwiązanie.

Teraz ja pokiwałem głową, robiąc zamyśloną minę.

„Pieprzy, szefie” — ocenił Loiosh

„Mógłbyś nieco jaśniej...?”

„Ta teckla Laris to nie teckla, szefie. On doskonale wiedział, co robi, umieszczając tę szulernię na twoim terenie.”

„Aha...”

Dalszą rozmowę przerwało podanie posiłku. Loiosh i Laris mieli rację — parówki były wyśmienite. Serwowano je z zielonym ryżem polanym sosem serowym. Ozdobiono to pietruszką jak w porządnej ludzkiej restauracji, ale zapieczoną w maśle i soku z cytryny, co dało ciekawy efekt. W skład parówki wchodziły zaś: mięso z owcy, hethny i jakichś, jak sądzę, dwóch ptaków oraz wołowina i czarny pieprz, czerwony pieprz, biały pieprz i wschodni czerwony pieprz, co dowodziło dobrego smaku kucharza. Całość paliła żywym ogniem i choć sos serowy do ryżu był zbyt łagodny, doskonale neutralizował część pieprzu. Do tak ostrego zestawu przydałoby się też mocniejsze wino, ale ogólnie danie było naprawdę dobre.

Nie rozmawialiśmy w trakcie jedzenia, toteż miałem sporo czasu do namysłu. Możliwości też miałem wiele — jeśli zostawię ten lokal na swoim terenie, Laris najprawdopodobniej spróbuje kolejny raz. Jeśli nie — oznacza to wojnę, a nie byłem pewien, czy jestem na nią przygotowany. Najlepiej byłoby powiedzieć, że się godzę na działanie tego salonu gry, by zyskać czas na przygotowanie się, a do niego zabrać się, jak tylko spróbuje drugiego takiego numeru... Istniał tylko jeden problem: zwlekając, dawałem także Larisowi czas na przygotowania. Za to ostatnie prawie natychmiast skłamałem się w duchu od naiwnych durniów — Laris był przygotowany, inaczej nigdy nie otworzyłby tego salonu gry na moim terenie.

Obaj odsunęliśmy talerze prawie równocześnie i przyjrzeliśmy się sobie uważnie. Ja widziałem przed sobą uosobienie szefa z Domu Jherega — sprytnego, odważnego i całkowicie bezwzględного. On zaś człowieka — niskiego, krótko żyjącego i delikatnego. No i będącego zabójcą o nie najgorszej reputacji. Jeśli choć trochę się mnie nie bał, był durniem.

A mimo to...

Nagle zrozumiałem, że niezależnie od tego, jak postąpię, Laris był już zdecydowany przejąć mój teren i wykopać mnie z interesu. Miałem tylko dwa wyjścia: poddać się lub walczyć. Poddawanie się jakoś nigdy nie leżało w mojej naturze. I to rozwiązywało dylemat.

Natomiast nadal nie wiedziałem, czy grać na zwłokę, pozwalając, by salon istniał, czy też zamknąć go od ręki, udowadniając tym, którzy dla mnie pracowali,

że nie pozwolę, by ktoś sobie ze mną pogrywał i że nie dam ruszyć swego. Nie do końca wiedziałem, co jest ważniejsze.

— Tak sobie myślę — powiedziałem wolno. — Jeszcze wina?... Należę ci. Otóż tak sobie myślę, że wytrzymam obecność twego przyjaciela na swoim terenie w zamian za dziesięć procent całkowitego dochodu.

Lekko rozszerzyły mu się oczy i to był jedyny objaw zaskoczenia.

— Dziesięć procent? Nie pomyślałem o takim rozwiązaniu... — uśmiechnął się i uderzył dłonią w stół. — Zgoda, Wład. Załatwione!

Uniosłem kielich w milczącym toaście i dodałem:

— Jeśli to zda egzamin, nic nie stoi na przeszkodzie, byśmy rozszerzyli ten eksperyment, prawda?

— Oczywiście.

— Doskonale. W takim razie w każdy ostatni dzień tygodnia oczekuję pieniędzy w swoim biurze. Powiedzmy w ciągu dwóch godzin od południa. Wiesz, gdzie jest moje biuro, prawda?

Przytaknął.

— To dobrze. Naturalnie ufam twoim rozliczeniom.

— Dziękuję.

Ponownie uniosłem kielich, ale tym razem wygłosiłem toast:

— Za długą i obustronnie korzystną współpracę.

Uniół swój i trąciliśmy się szkłem. Rozległ się głęboki, czysty dźwięk uczciwego kryształu. Pijąc, zastanawiałem się, który z nas przeżyje rok. Wino było wytrawne, aromatyczne i naprawdę doskonale smakowało.

\* \* \*

Z prawdziwą ulgą zapadłem się w swój fotel.

„Kragar, rusz tyłek do mnie.”

„Już idę, szefie.”

— Temek.

— Słucham, szefie?

— Odszukaj Narvane, Świetlika, Wyrna i Miraf’na. I ściągnij ich tu. Na wczoraj.

— Lecę! — potwierdził.

I teleportował się, nie wychodząc nawet na korytarz.

— Varg, chcę dwóch z nich jako stałą obstawę. Których?

— Wyrna i Miraf’na.



— Dobrze. Teraz tak... a, jesteś, Kragar. Skontaktuj się z Kurwim Patrolem, chcę, żeby założyły blok teleportacyjny na cały ten budynek. Dobrą blokadę.

— W obie strony?

— Nie. Tylko żeby nikt nie był w stanie teleportować się do wnętrza budynku.

— Dobra. Coś się dzieje?

— A jak ci się, cholera, wydaje?

— Aha. Kiedy?

— W najlepszym układzie mamy czas do końca tygodnia — poinformowałem go ponuro.

— Dwa dni?

— Może. A teraz zajmij się tą blokadą.

Wyszedł niezbyt uszczęśliwiony.

\* \* \*

Krótko potem wrócił Temek. Razem z nim zjawił się Świetlik. Pojęcia nie mam, jak się nazywał czy jak miał na imię, bo wszyscy mówili o nim Świetlik. Miał jasnoblękitne, lśniące oczy i kochał używać maczugi z długim uchwytem. W sumie był sympatycznym, prawie że jowialnym jegomościem, ale kiedy ruszał na klienta z maczugą w garści, jego oczy rozświeślał jakiś wewnętrzny blask niczym u loricha-fanatyka. To najczęściej wystarczało, by klient odzyskiwał pamięć i pospiesznie wypłacał „zapomnianą” należność.

Żeby nie było nieporozumień — to nie jest tak, że jeśli ktoś pożycza ode mnie pieniądze i spóźnia się o minutę z ich oddaniem, to razem z drzwiami pakuje mu się do mieszkania kilkunastu oprychów lubiących łamać kości rozmałą bronią. Nic bardziej błędnego — gdybyśmy w ten sposób działali, to po pierwsze odstraszylibyśmy wszystkich potencjalnych klientów, po drugie koszty wynajęcia niezależnych speców czy utrzymywania zatrudnionych na stałe byłyby wyższe niż profity z pożyczek.

Jak to wygląda w praktyce, najlepiej pokazać na przykładzie. Jakieś półtora miesiąca wcześniej... może z osiem miesięcy, przyszedł do mnie jeden z lichwiarzy z informacją, że klient zalega pięćdziesiąt sztuk złota i nie będzie w stanie ich spłacić. Był gotów odzalaować pieniądze, ale chciał najpierw to ze mną uzgodnić.

— Na jakich zasadach dostał? — spytałem.

— Pięć i jeden — oznaczało to, że tygodniowo spłaca pięć imperiali z pożyczki i jeden procentów, dopóki nie spłaci kwoty pożyczki.

— To pierwsza rata?

— Nie, spłacił cztery i procent za trzy następne tygodnie.

— To co mu się przytrafiło?

— Ma warsztat krawiecki i sklep przy Sołom Street. Postanowił wprowadzić na rynek nowe modele i żeby zrobić to szybko oraz mieć wyłączność, pożyczył pieniądze. Szycie mu się przeciągnęło...

— Rozumiem, jeszcze nie zaczął sprzedawać, bo nie całkiem ma co. Ile wart jest jego interes?

— Ze trzy, może cztery tysiące.

— Dobra — zdecydowałem. — Daj mu sześć tygodni wolnego nawet od procentów. I powiedz, że jak po tym czasie nie zacznie płacić choćby procentów, to ma nowego współnika do chwili, w której nie spłaci nas całkowicie.

Jak widać, wcale nie jesteśmy tacy źli. Jeśli ktoś chce płacić i ma kłopoty, prolongujemy spłatę, zmieniamy raty, słowem, dogadujemy się. Chcemy, żeby rozkręcił to, na co wziął pożyczkę, bo wtedy może przyjść po drugą, a na robieniu komuś krzywdy nie zarabia się nawet miedziaka. Zupełnie inaczej jednak wygląda sytuacja z cwaniaczkami, którym się wydaje, że mogą wziąć, nie oddać i wyłgać się sianem, albo pyskaczami chcącymi wszystkim pokazać, jacy są twardzi, czy też idiotami, którym się wydaje, że odpuścimy im spłatę, kiedy zaczną grozić, że polecą z pyskiem do władz i doniosą, co wiedzą. Tacy właśnie od trzech lat kosztowali mnie pieniądze i czas.

Kilka minut po nich zjawił się Narvane. Był specjalistą, jednym z niewielu magów należących do Domu Jherega, a nie należących do Lewej Ręki. Był cichy, zamknięty w sobie i miał rysy zbliżone do rysów członków Domu Smoka — pociągłą twarz, wystające kości policzkowe, długi, prosty nos i ciemne oczy oraz włosy. Jego specjalnością było likwidowanie osobistej magii obronnej i jasnowidztwo. Był w tym lepszy od wszystkich magów z Domu Dzura, których spotkałem, a nawet większości z Domu Athyry.

Cała trójka oparła się wygodnie o ścianę. Temek gwizdał, fałszując niemiłosiernie, „Słyszając o tobie” i gapił się w sufit. Narvane wbił wzrok w podłogę. A Świetlik rozglądał się ciekawie, jakby sprawdzając, jakie właściwości obronne ma pomieszczenie. Varg jako jedyny nie podpierał ściany — stał zupełnie nieruchomo i wyglądał na coś pośredniego między posągiem a uzbrojoną bombą.

Kragar pojawił się, kiedy cisza zaczynała stawać się męcząca.

— Jutro, godzinę po dwunastej — oznajmił.

— Doskonale.

Wyrn i Miraf'n zjawili się razem. Stanowili zespół już wtedy, kiedy zaczęli pracować dla Weloka, i pozostali nim, przechodząc do mnie. Z tego co wiedziałem, żaden nigdy nie wykonał „roboty”, ale cieszyli się znakomitą reputacją. Wyrn przypominał z wyglądu przedstawiciela Domu Athyry — miał bladoniebieskie oczy i wyglądał tak, jakby stale był o krok od epokowego odkrycia. Kiedy stał, kołysał się lekko na boki, a ponieważ miał przy tym opuszczone ręce, przypominał stare drzewo. Miał też jasne, nieco kudłate włosy i przyglądał się każdemu,

przekrzywiając głowę i uśmiechając się półgębkiem z rozmarzeniem, które przyparowało o dreszcze.

Miraf'n zaś był po prostu wielki — miał ponad osiem stóp wzrostu i nawet Morrolan wyglądał przy nim na chuchro. W przeciwieństwie do większości Draaerian miał nawet całkiem wyraźnie widoczne mięśnie. Lubił też grać durnia, w czym pomagał mu śliczny, tępy uśmiech. Jego ulubionym pytaniem w trakcie pobytu u klienta było:

— Chcesz się założyć, Wyrn, że rzucę nim dalej niż poprzednim?

Na co Wyrn odpowiadał:

— Postaw go, osiłku. Ten pan tylko żartował, że będzie zeznawał przeciwko naszemu przyjacielowi. Prawda, że żartowałeś?

Zapytany czym prędzej i nader energicznie potwierdzał, że rzeczywiście tylko tak sobie głupio żartował, i zapewniał, że jest mu niewypowiedzianie przykro, iż fatygował obu panów. . .

— Melestav! — zawołałem. — Zamknij drzwi i chodź tu na chwilę.

Zjawił się po paru sekundach i dołączył do pozostałych. Przyjrzałem im się uważnie i oznajmiłem:

— Panowie, zostaniemy zaatakowani. Jeśli będziemy mieli szczęście, mamy dwa dni na przygotowania, jeśli nie — mamy mniej. Od tej chwili żaden z was nigdzie nie pójdzie sam, bo wszyscy jesteście potencjalnymi celami. Każdy dostanie ode mnie konkretne polecenia, ale chcę, byście jak najszybciej dowiedzieli się, że zacznie się wojna. Stąd to zebranie. Zasady bezpieczeństwa znacie: poruszać się parami i jak najwięcej siedzieć w domu. Jeśli strona przeciwna złoży któremukolwiek z was propozycję, chcę o tym usłyszeć. Nie chodzi tylko o mnie; jeśli oferta zostanie odrzucona, ten, kto to zrobi, stanie się ważniejszym celem, niż był. Tak na marginesie, jeśli któryś z was nie odrzuci takiej oferty, będzie jeszcze istotniejszym celem. . . dla mnie. Pamiętajcie: możecie się wycofać i nie będę miał do nikogo żalu, ale zdrajców będę niszczył bez litości. Są pytania?

Przez moment panowała cisza. Przerwał ją Temek:

— Co on ma?

— Dobre pytanie — przyznałem. — Sprawdź to z pomocą Narvane'a.

— Wiedziałem, że nie powinienem się odzywać! — burknął ponuro.

— Jeszcze jedno — dodałem. — Wasze pensje właśnie uległy podwojeniu, ale żeby móc wam płacić, muszę mieć dochody, a żeby je mieć, nie możemy zamknąć interesu i przeczekać. Laris może wybrać za cel któregoś z was, mnie albo któryś z moich lokali. Nie wiem, co wybierze, zakładam, że wszystko po kolei. Jeszcze jakieś pytania?

Tym razem nikt się nie odezwał.

— Doskonale — ucieszyłem się. — Ostatnia sprawa: od tej chwili płacę za głowę Larisa pięć tysięcy sztuk złota. Sądzę, że każdemu z was przydałaby się ta kwota, ale nie oczekuję cudów. Wiem, że nie będzie łatwo ją zarobić, i nie chcę, by

któryś z was głupio ryzykował i dał się zabić. Ale jeśli będziecie mieć okazję, nie chcę również, by któryś z was się wahał. To wszystko. Wyrn i Miraf'n, zostańcie w sekretariacie, reszta jest wolna.

Wyszli, zostawiając mnie z Kragarem.

— Szefie. . .

— O co chodzi, Kragar?

— Czy to podwojenie pensji dotyczy. . .

— Nie! — uciałem, nim zdążył skończyć.

Westchnął rozdzierająco.

— Tego się właśnie obawiałem. A tak w ogóle to jaki mamy plan?

— Po pierwsze znajdź jeszcze czterech silnorękich. Masz czas do jutrzejszego południa. Po drugie zobaczymy, czego się dowiemy o dochodach Larisa i źródłach tych dochodów. Wtedy się zastanowimy, jak mu się dobrać do kieszeni.

— Dobra. Stać nas na tych dodatkowych czterech?

— Przez pewien czas tak. Jeśli to za długo potrwa, będziemy musieli wymyślić coś innego.

— Myślisz, że da nam te dwa dni?

— Nie wiem — przyznałem. — Może. . .

Urwałem, bo w drzwiach stanął Melestav.

— Właśnie dostałem wiadomość, szefie: kłopoty u Nielara — oznajmił.

— Jakie kłopoty?

— Nie wiem. Odebrałem wezwanie o pomoc, a potem kontakt został przerwany.

Wstałem i ruszyłem do drzwi. Przechodząc przez sekretariat, zgarnąłem Wyrna i Miraf'na.

— Szefie, osobisty udział to nie najszcześniejszy pomysł — zaniepokoił się Kragar. — To może być. . .

— Wiem. Zjaw się za parę sekund i miej na wszystko oko.

— Jasne.

„Loioosh, ty też uważaj” — przypomniałem.

„Ja zawsze uważam, szefie.”

## Rozdział czwarty

*„Spodziewasz się być nieosiągalny?”*

Adrilankha położona jest na południowym wybrzeżu Imperium Dragaeriańskiego. Przez większość swego istnienia była średniej wielkości miastem portowym i dopiero kiedy stara stolica — Dragaera — zmieniona została w Morze Chaosu, awansowała na nową stolicę. Katastrofa owa miała miejsce około czterysta lat temu, kiedy Adronowi prawie udało się zostać uzurpatorem.

Adrilankha jest równie stara jak Imperium, ale tak naprawdę zaistniała dopiero niedawno (według pojęć dragaeriańskich). Konkretnie parę tysięcy pokoleń temu, gdy Kieron Zdobywca spotkał się z szamanami i oznajmił im, że mogą uciekać, gdzie ich wola, ale on i jego Armia Wszystkich Plemion poczekają tu na „Wschodnich Diabłów”. Po czym powędrował na stromy klif nadmorski, gdzie stał, nie ruszając się, przez pięć dni (stąd pięciodniowy tydzień). Czekał na przybycie plemienia Orki, które obiecało przysłać posiłki. A tymczasem ludzkie wojska zbliżały się...

Miejsce to znane jako Wartownia Kierona istniało do Bezkrólewia, kiedy to przestała działać magia wiążąca klif z resztą zbrocza i pamiątkowe miejsce runęło do morza. Zawsze mi się podobało symboliczne znaczenie tego epizodu.

Plemię Orki w końcu przybyło i wzięło udział w bitwie. Okazało się beznaziejne w walce na suchym lądzie, ale Kieron i tak wygrał, co stanowiło podstawę powstania Imperium.

Szkoda, że mu się udało.

Trasa jego wędrówki nazwana została Kieron Road i stała się szeroką ulicą prowadzącą z cesarskiego pałacu przez środek miasta aż do wzgórz po jego zachodniej stronie. Od miejsca zwanego Malak Circle nazywa się Lower Kieron Road, jest znacznie węższa i prowadzi przez niezbyt reprezentacyjne sąsiedztwo. Niedaleko niej znajdowała się restauracja ojca, w której zarobił małą fortunę, zmarnowaną następnie na kupno tytułu w Domu Jherega. W rezultacie tej korzystnej transakcji jestem obywatelem Imperium i w każdej chwili mogę sprawdzić, jaka jest dokładnie godzina.

Kiedy osiągnąłem wiek, w którym człowiek zaczyna myśleć, zdecydowałem się zarabiać na tym, co robiłem dotąd dla przyjemności, czyli na biciu Dragarian. Mój pierwszy szef, Nielar, miał sklep przy Lower Kieron Road. Oficjalnie sprzedawał narkotyki, halucynogeny i inne artykuły magiczne. W rzeczywistości sklep stanowił parawan dla salonu gry, gdzie prawie przez całą dobę grano w sharebę, o czym ciągle jakoś zapominał poinformować imperialnych poborców podatkowych. Nielar nauczył mnie systemu opłacania się Gwardii. Ponieważ Gwardia Feniksa składała się w większości z członków Domu Smoka, przekupić jej w kwestii czegoś istotnego, jak na przykład zabójstwo, nie dało się w żaden sposób, ale hazard lubili jak wszyscy, a poborców podatkowych nie cierpieli (też jak wszyscy). Nauczył mnie też, jak dogadać się z organizacją, ukrywać dochody przed poborcami i setek innych niezbędnych przy prowadzeniu własnego interesu drobiazgów.

Pół roku temu Nielar nagle znalazł się na moim terenie. I był jedynym, który zjawił się z pieniędzmi w terminie za pierwszym razem. Potem rozbudował salon, dodając do niego kamienie s'yong, a na piętrze otworzył burdel. Krótko mówiąc, było to moje największe pojedyncze źródło dochodów i to na dodatek takie, w którym nie musiałem nigdy kontrolować kasy... z tego co wiem, nigdy nawet nie przyszło mu do głowy, by mnie oszukać.

\* \* \*

Teraz stałem wraz z Kragarem w spalonej ruinie, a przede mną leżało ciało Nielara. Nie nadawał się do wskrzeszenia — ktoś rozbił mu głowę czymś tępym i wgniół część czaszki w mózg. Loioosh co parę sekund trącał mnie delikatnie łebkiem w ucho.

Po naprawdę długim czasie powiedziałem:

- Zorganizuj dziesięć tysięcy dla rodziny po nim.
- Kogo wysłać, żeby im powiedziec, co się stało? — spytał Kragar.
- Nikogo — westchnąłem. — Sam to zrobię.

\* \* \*

Jakiś czas później, już w moim pokoju, Kragar powiedział:

- Obaj jego ochroniarze też byli wewnątrz. Jednego da się wskrzesić.

— Zrób to — poleciłem. — I odszukaj rodzinę drugiego. Wypłać im odszkodowanie.

— Dobra. Co teraz?

— Szlag by to, cholera, trafił! Skąd mam wiedzieć, co teraz? Gotówka praktycznie się skończyła, największe źródło dochodów spalone, gdyby mi ktoś teraz dostarczył głowę Larisa, nie byłbym w stanie zapłacić nagrody! Jeśli nie uda się go wskrzesić i będziemy musieli wypłacić rodzinie odszkodowanie, jesteśmy bankrutami.

— Za parę dni będziemy mieli pieniądze.

— Ślicznie. Na ile wystarczą?

Wzruszył wymownie ramionami.

Określiłem się z fotelem i umieściłem sztylet w tarczy na ścianie.

— Laris jest cholernie dobry, żeby go nagła krew zalała — przyznałem. — Jednym posunięciem — i to zanim byłem w stanie zrobić mu cokolwiek — przeciął mi kręgosłup. A wiesz, dlaczego mógł to zrobić? Ano dlatego, że wie, ile zarabiam, gdzie zarabiam i na co wydaję. Założę się, że ma listę wszystkich, którzy dla mnie pracują, i zna ich słabe i mocne strony. Jeżeli wyjdziemy z tego, to mam zamiar stworzyć najlepszą sieć wywiadowczą w dziejach organizacji. I gówno mnie obchodzi, ile mnie to będzie kosztowało!

Kragar popatrzył na mnie wymownie i powiedział:

— Jeśli wyjdziemy z tego.

— Właśnie.

— Myślisz, że mógłbyś go załatwić? — spytał niespodziewanie. — Jako cel „roboty”?

— Prawdopodobnie tak, ale na to potrzebny jest czas i informacje, a nie mamy ani tego, ani tego. Mając informacje, mogę przygotować wszystko w ciągu tygodnia, góra trzech. Za długo. . .

Pokiwał głową ze zrozumieniem i dodał:

— Tym bardziej, że w międzyczasie musimy coś zarobić.

Przemyślałem parę spraw i podjąłem decyzję.

— No dobrze — oświadczyłem. — Jest sposób, który może dać trochę grosza. Chciałem go zostawić w rezerwie, ale wygląda na to, że nie możemy dłużej czekać.

— Jaki to sposób?

Potrząsnąłem przecząco głową.

— Pilnuj interesu — poleciłem. — Gdyby coś się stało, skontaktuj się ze mną telepatycznie.

— Dobra.

Otworzyłem najniższą szufladę w lewym rzędzie, pogmerałem w niej i wyciągnąłem średniej jakości, ale jeszcze nadający się do użytku zaczarowany sztylet.

Wstałem, wydrapałem nim na podłodze trochę koślawe koło i dodałem odpowiednie symbole. A potem stanąłem w środku koła.

— Po cholere niszczyłeś podłogę? — zdziwił się Kragar. — Nie potrzeba niczego rysować, żeby...

— Mnie to pomaga, Kragar — przerwałem mu. — Na razie!

Zaczerpnąłem z Kuli energię i znalazłem się na dziedzińcu Czarnego Zamku, czując mdłości. Żeby nie pogarszać swego stanu, starannie unikałem patrzenia w dół — widok pustki pod nogami i ziemi oddalonej o dobrą milę na pewno by nie pomógł w uspokojeniu żołądka. Wbiłem spojrzenie w wielkie dwuskrzydłowe wrota, które miałem o dobre czterdzieści jardów przed sobą, i stałem nieruchomo, dopóki żołądek nie skapitulował.

Dopiero wtedy podszedłem do nich. Marsz po dziedzińcu Czarnego Zamku to swoista ciekawostka — pod nogami czuje się kamień, a kroków nie słyszeć, bo idzie się w powietrzu. Dopóki się człowiek do tego nie przyzwyczai, daje to niesamowity efekt. Wrota otworzyły się jak zwykle, gdy znalazłem się o pięć kroków od nich. I jak zwykle powitała mnie w nich promiennie uśmiechnięta lady Teldra.

— Lord Taltos, jak to miło pana widzieć. Mam nadzieję, że tym razem zostanie pan z nami choć kilka dni. Tak rzadko się widzimy.

Skłoniłem się uprzejmie.

— Dziękuję za dobre słowo, lady Teldro — odparłem. — Niestety, obawiam się, że jestem tylko na krótko. Gdzie znajdę Morrolana?

— Lord Morrolan jest w bibliotece. Jestem pewna, że będzie równie zachwycony pańskim widokiem jak my wszyscy.

— Wątpię — mruknąłem pod nosem i dodałem głośniejszym głosem: — Znam drogę, proszę się nie fatygować.

— Jak pan sobie życzy, lordzie Taltos.

Powitania w wydaniu lady Teldry zawsze wyglądały w ten sposób. Co ciekawsze, każdy wierzył w trakcie rozmowy, że jego widok naprawdę sprawia jej radość.

\* \* \*

Morrolana znalazłem w bibliotece. Siedział przy stole nad otwartą księgą i trzymał szklaną fiolkę zawieszoną na nitce nad czerwoną świecą. Na mój widok odłożył ją.

— Parasz się czarami — oznajmiłem potępiająco. — Wstyd. Czary są dobre dla ludzi, Dragaerianie używają magii...



Pociągnąłem nosem podejrzliwie i dodałem:  
 — Poza tym użyłeś bazylii, a powinieneś użyć rozmarynu!  
 — Vlad, byłem niezłym czarnoksiężnikiem już trzysta lat przed twoim przyjściem na świat — zwrócił mi delikatnie uwagę.  
 Prychnąłem.  
 — To niczego nie zmienia: powinieneś użyć rozmarynu.  
 — Nie mogłem się doczytać — przyznał. — Tekst jest mocno nadpalony.  
 Pokiwałem głową ze zrozumieniem i spytałem:  
 — A gdzie próbowałaś zajrzeć?  
 — Za róg. To był tylko eksperyment. Proszę, usiądź. Jak mogę ci pomóc i w czym problem?  
 Usiadłem w wielkim i jak na mój gust zbyt miękkim fotelu z czarnej skóry i poszukałem na stojącym obok stoliku kawałka kartki i ołówka. Podczas gdy pisałem, Loiosh przeleciał na ramię Morrolana. Ten obowiązkowo podrapał go pod gardłem, co Loiosh przyjął niczym należyty hołd i wrócił na moje ramię. Wręczyłem Morrolanowi kartkę.  
 — Trzy nazwiska — skomentował. — Jakoś nie rozpoznaję żadnego.  
 — Wszyscy należą do Domu Jherega — wyjaśniłem. — Kragar powinien być w stanie skontaktować cię z którymś z nich.  
 — Dlaczego?  
 — Są naprawdę dobrzy w zapewnianiu bezpieczeństwa, zwłaszcza miejsc, choć osób także.  
 — Chcesz, żebym najął ci asystenta?  
 — Niezupełnie. Możesz chcieć nająć któregoś z nich na moje miejsce.  
 — Spodziewasz się być nieosiągalny?  
 — Można to i tak ująć. Spodziewam się być martwy.  
 — Co?!  
 Westchnąłem i sprecyzowałem:  
 — Spodziewam się być wkrótce martwy.  
 — Dlaczego?  
 — Bo nie mam szans. Ktoś chce zająć mój teren, a ja mu na to nie pozwolę. Sądzę, że uda mu się to wkrótce, a to oznacza, że będę martwy.  
 Morrolan zmarszczył brwi i przyglądał mi się z namysłem.  
 — Dlaczego sądzisz, że mu się to uda? — spytał po chwili.  
 — Ma więcej środków niż ja.  
 — Środków?  
 — Pieniądzy. A to oznacza lepsze informacje, więcej sił. Mówiąc w skrócie: „środków”.  
 — Hmm... Bądź tak miły i oświeć mnie, Vlad. Ile „środków” kosztuje taka wojna?

— Co?... Około pięciu tysięcy sztuk złota tygodniowo przez cały czas trwania.

— Rozumiem. A jak długo może potrwać?

— Cóż... zwykle trzy do czterech miesięcy. Czasami pół roku. Słyszałem o kilku trwających dziewięć miesięcy i jednej rekordowej, która trwała rok.

— Rozumiem... Wybacz insynuację, ale zakładam, że ta wizyta nie jest nieortodoksyjnym sposobem na wyrównanie dysproporcji tychże „środków”.

Udałem święte oburzenie:

— Morrolan! Co ci przyszło do głowy?! Prosić Smoka o pomoc w wojnie z Jheregiem? Nawet by mi to przez myśl nie przeszło.

— Tak sobie tylko głośno myślałem...

— Cóż, skoro załatwiłem to, co miałem, będę wracał do siebie — wstałem z fotela.

— Tak... Cóż, powodzenia. Może się jeszcze zobaczymy.

— Może — zgodziłem się uprzejmie.

Po czym ukloniłem się i wyszedłem.

Nie spiesząc się zbyt, zszedłem na parter, przemierzyłem korytarz i dotarłem do masywnych wrót wejściowych, mijając po drodze uśmiechniętą lady Teldrę.

— Proszę wybaczyć, lordzie Taltos... — usłyszałem za plecami jej głos.

Stałem i odwróciłem się.

— Tak?

— Chyba pan czegoś zapomniał — powiedziała, podając mi solidnie wypchaną sakwę.

Uśmiechnąłem się.

— Dziękuję stokrotnie. Ta skleroza mnie kiedyś wykończy — przyznałem.

— Mam nadzieję, że wkrótce ujrzemy pana ponownie.

— Jestem prawie pewien, że tak będzie — pożegnałem ją uklonem i ruszyłem ku drzwiom.

\* \* \*

Ledwie znalazłem się przed biurem, wpadłem do środka, ignorując żołądek, i wrzasnąłem na Kragara. Potem wysypałem złoto na blat biurka i przeliczyłem.

— Jasne z modrym, Vlad! Obrobiłeś skarbiec Domu Smoka? — spytał z podziwem Kragar.

— Tylko częściowo. Na jakieś drobne dwadzieścia tysięcy imperiali — uśmiechnąłem się szeroko.

Kragar nadal nie mógł wyjść z podziwu.  
— Pojęcia nie mam, jak to zrobiłeś — przyznał. — Ale to mi się podoba.  
Cholernie mi się podoba!  
— Cieszę się. Teraz pomóż mi wymyślić, jak najrozsądniej je wydać.

\* \* \*

Do wieczora Kragar skontaktował się z siedmioma niezależnymi silnorękami i przekonał pięciu z nich, by do zakończenia kłopotów pracowali dla mnie. Ja w tym czasie skontaktowałem się z Temekiem.

„O co chodzi, szefie? Dopiero zaczęliśmy się orien...”

„Co macie w tej chwili?”

„Niewiele.”

„Konkrety! Masz choć jedno pewne miejsce? Albo jedno nazwisko?”

„Miejsce tak. Raczej popularny burdel u zbiegu Pier i Silversmith.”

„Dokładnie gdzie?”

„Północny narożnik nad gospodą „Jungle Hawk”.”

„Gospoda też jest jego?”

„Nie wiem.”

„Dobra. To mi na razie wystarczy. Szukajcie dalej.”

\* \* \*

Kiedy Kragar skontaktował się ze mną, by zameldować o postępach, poleciłem mu:

„Zrób sobie chwilę przerwy i skontaktuj się z Narvane'em. Niech przestanie pomagać Temekowi na tyle, żeby posprzątało piętro nad gospodą „Jungle Hawk” na rogu Silversmith i Pier Street. Ale tylko piętro, jasne?”

„Jasne. Znaczą się: zaczynamy!”

„Właśnie. Więc bierz się do roboty.”

Wziąłem kartkę i zabrałem się do obliczania. Żeby ochronić wszystkie lokale przed bezpośrednim atakiem magicznym przez dwa miesiące, potrzeba... a figę!... A przez miesiąc... Tak. No to przez miesiąc. Czyli zostanie mi... mhm... Teraz dalej. Potrzebuję...

Rachunki przerwał mi energiczny protest Loiosha:

„Przestań, szefie!”  
„Co...? Co mam przestać, Loioosh?”  
„Gwizdać! Uszy puchną i zęby bołą, jak się tego słucha!”  
„Dobrze, już dobrze, ty melomanie łuskowaty.”

\* \* \*

Palenie interesu konkurencji nie jest normalną metodą prowadzenia wojny w Domu Jherega. Metoda ta jest bowiem kosztowna i zwraca uwagę, a żadna z tych cech nie jest pożądana. Laris miał nadzieję wykończyć mnie jednym posunięciem i dlatego się do niej uciekł. Ja zastosowałem ją, by mu pokazać, że nie tylko mnie nie wykończył, ale nawet niespecjalnie mi dokuczył. Było to kłamstwo, ale powinno go zniechęcić do podobnych posunięć.

Następnego ranka zjawił się Narvane z meldunkiem, że zadanie wykonał. Dostał premię i polecenie, by chwilowo nie rzucał się w oczy. Spotkałem się też z nowymi pracownikami i przydzieliłem im zadania. Wszystkie miały charakter obronny, czyli dotyczyły, ochrony tego lub tamtego lokalu. Nadal nie miałem dość informacji o Larisie, by wiedzieć, gdzie mogę mu skutecznie zaszkodzić, więc atak chwilowo nie wchodził w grę.

Laris, jak podejrzewałem, oceniał straty i swoją nową sytuację po wydarzeniach z ostatniej nocy, więc panował spokój. Mógł nawet żałować całej sprawy, ale zaszedł już za daleko, by móc się wycofać.

Ja natomiast zastanawiałem się, jakie będzie jego następne posunięcie.

\* \* \*

Dokładnie godzinę po dwunastej zjawiła się adeptka Lewej Ręki. Wręczyłem jej pięćset sztuk złota, a ona wyszła na ulicę, uniosła dłonie, skoncentrowała się, po czym kiwnęła głową i teleportowała się. Pięćset imperiali za pięć sekund pracy. Prawie pożałowałem, że wybrałem swój fach. Prawie.

\* \* \*

Godzinę później wyszedłem z Wyrnem i Miraf'nem i odwiedziłem każdy z interesów znajdujących się na moim terenie. Wyglądało na to, że nie zwróciło to niczyjej uwagi, a przynajmniej nikt niczego nie okazał na mój widok. Bardzo dobrze. Miałem nadzieję, że spokój będzie panował wystarczająco długo, by Temek zdążył zebrać potrzebne informacje. Działanie na oślepie i beczynność były wysoce frustrujące.

\* \* \*

Popołudnie i wieczór upłynęły nam nerwowo, ale nic się nie wydarzyło.

\* \* \*

Kolejny dzień także był nerwowy i także nic się nie wydarzyło, poza tym, że rozmaite adeptki Lewej Ręki zjawiły się w moich lokalach i założyły na każdy blok chroniący przed magią. Choć właściwiej byłoby go nazwać chroniącym przed bezpośrednim użyciem magii. Bo nie istniał sposób ochrony przed, powiedzmy, lewitowaniem pięćdziesięciogalonowej beczki ropy nad budynkiem, zapaleniem jej tam i spuszczeniem dokładnie na cel. Natomiast coś takiego powinni zauważyć ochroniarze, zwłaszcza że teraz było ich więcej niż trzeba do utrzymania porządku. Być może zdążyliby nawet podjąć jakieś przeciwdziałania.

W efekcie tych rozmyślań wyrzuciłem jeszcze trochę złota, ale miałem adeptkę na całodobowym dyżurze tylko dla siebie. Użycie jej kosztowałoby naturalnie dodatkowo, ale wystarczyło ją wezwać i zjawiała się natychmiast.

Temek informował, że Laris zastosował podobne środki bezpieczeństwa. Poza tym niewiele zdołał się dowiedzieć — wszyscy nagle stali się dziwnie małomówni. Wysłałem Miraf'na, by dostarczył mu sakiewkę z tysiącem imperiali. Złoto zawsze miało zbawienny wpływ na małomówność.

\* \* \*

Następnego dnia wypadał koniec tygodnia. Południe minęło spokojnie i właśnie dowiedziałem się, że udało się wskrzesić ochroniarza Nielara, gdy Temek skontaktował się ze mną telepatycznie.

„Szefie!”

„Co się stało, Temek?”

„Mamy lichwiarza, który pracuje przy North Garshos?”

„Mamy.”

„Dorwali go, kiedy szedł z kasą do pana. Ktoś rozwalił mu łeb toporem. Zaraz będę z pieniędzmi.”

„Cholera!”

„Właśnie, szefie.”

Poinformowałem Kragara, klnąc sam siebie za głupotę na sześć sposobów. Nie przyszło mi do głowy, że Laris zaatakuje dostarczających mi pieniądze w trakcie ich niesienia. Naturalnie wiedział, kim są i kiedy to następuje, ale jednym z podstawowych, niepisanych, ale przestrzeganych praw Domu Jherega było to, że nie okrada się swoich. Coś podobnego nigdy się nie wydarzyło i wątpiłem, by mogło się kiedykolwiek wydarzyć.

Tyle że zasada ta nie obejmowała życia posłańców. Nie zabraniała ich zabić, jeśli złoto pozostawiono przy zwłokach. Pięknie — tylko dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej?

W pewnym momencie przestałem kłać, bo zaświtało mi w głowie, że są znacznie produktywniejsze rzeczy do zrobienia. Nie znałem co prawda żadnego z właścicieli wystarczająco dobrze, by skontaktować się z nim telepatycznie, ale...

— Kragar! Melestav! Wyrn! Miraf'n! Do mnie! Piorunem! — ryknąłem.

Zadudniło w całym biurze — zjawili się natychmiast.

— Zamknę drzwi i nigdzie się nie ruszę, a wy podzielcie między siebie wszystkie interesy na naszym terenie i teleportujcie się natychmiast do każdego. Jeżeli z któregoś nie wyszedł jeszcze właściciel z pieniędzmi, nie pozwólcie mu tego zrobić. Potem zorganizuję dla nich ochronę w czasie drogi!

— Tego... szefie...

— O co chodzi, Melestav?

— Nie umiem się teleportować...

— Cholera! Kragar, załatw to za niego.

— Dobra, szefie.

Powietrze zaświstało — gdybym miał na biurku jakieś papiery, ani chybi wiatr by je porzrzucał, tak się spieszyli. I zostaliśmy sami z Melestavem.

— Sądzę, że musimy się jeszcze sporo nauczyć o prowadzeniu tego interesu, prawda? — spytałem go.

Uśmiechnął się słabo.

— Myślę, że tak, szefie.

Złapali wszystkich poza jednym, ale jego dało się ożywić — złoto, które miał przy sobie, prawie pokryło koszty tej magicznej operacji.

Nie tracąc czasu, skontaktowałem się telepatycznie z Wyrnem i Miraf'nem i poleciłem im natychmiast wracać. Wrócili.

— Siadajcie. Ta sakiewka zawiera trzy tysiące sztuk złota. Chcę, żebyście obaj domyślili się, jak i gdzie zaplanowano zamach na H'noca, właściciela burdelu prawie naprzeciwko. Znajdźcie zabójcę i załatwcie go. Nie obchodzi mnie, czy któryś z was był dotąd na „robocie”, czy nie. Uważam, że się nadajecie; jeśli któryś z was jest innego zdania, niech mówi. . . Miło, że jesteście jednomyślni. Zabójca będzie najprawdopodobniej sam. Jeśli będzie ich więcej, załatwcie jednego. Możecie użyć H'noca jako przynęty, ale nic mu się nie może stać. I pospieszcie się: została jeszcze tylko godzina zwyczajnego okresu przynoszenia kasy. Potem zabójca zrobi się podejrzliwy albo zniknie. Podejmujecie się?

Spojrzeni na siebie i jak sądzę, odbyli błyskawiczną naradę telepatyczną. Po czym Wyrn odwrócił się do mnie i kiwnął potakująco głową. Podałem mu sakiewkę.

— W takim razie bierzcie się do roboty.

Obaj wstali i teleportowali się. Wtedy zauważyłem, że Kragar wrócił.

— I co? — spytałem zwięźle.

— Umówiłem się z wszystkimi, że kasę przyniosą jutro i pojutrze. Varn potrafi się teleportować, więc powinien być lada chwila.

— No i dobrze. Znowu jesteście splekani.

— Co?!

Wyjaśniłem mu spokojnie, co zrobiłem. Przez chwilę nie wyglądał na przekonanego, ale potem przyznał mi rację:

— To faktycznie najlepsze, co można było zrobić. Ale. . . Będiesz w stanie dostać z tego źródła więcej?

— Nie wiem — przyznałem uczciwie.

Potrząsnął głową z niechęcią.

— Uczymy się za wolno — burknął. — Laris cały czas ma inicjatywę, a my nie możemy jej przejąć.

— Wiem, do nagłej i ciężkiej. . . ! To co powinienem zrobić?

Odpowiedziała mi cisza — Kragar też nie wiedział.

„Bez obawy, szefie” — pocieszył mnie Loioosh. „Na pewno coś wymyślisz.”

Miłe było, że choć ktoś tu był optymistą.

## Rozdział piąty

*„Jak na zabójcę, jesteś kochany”*

Kiedyś przyszła mi do głowy podtrzymująca na duchu myśl — wyglądało na to, że każdy mój obecny przyjaciel wcześniej przynajmniej raz próbował mnie zabić. Ot, choćby Morrolan.

Miałem swój teren niespełna trzy tygodnie, kiedy zdecydował się wynająć mnie do wykonania „roboty”. No i narodził się pewien problem, bo nie mam zwyczaju wykonywać takich zleceń dla kogoś spoza organizacji. No bo i niby czemu miałbym to robić? Jeśli zostanę złapany, nikt z takich klientów mi nie pomoże w żaden sposób — nie opłaci prawnika, nie przekupi albo nie postraszy świadków, a przede wszystkim nie będzie milczał.

Morrolan był jednak uparty, a znalazł tak unikalny sposób wynajęcia mnie, że byłem pełen podziwu. Wyraziłem go w tak jednoznaczny i entuzjastyczny sposób, że omal nie skrócił mnie o głowę Blackwandem. Blackwand to jedna z Wielkich Broni, a mówiąc bardziej obrazowo, batalion piechoty zamaskowany jako ciężki rapier.

Na szczęście do niczego drastycznego nie doszło, a nawet lepiej: zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi. Na tyle dobrymi, że on — lord z Domu Smoka — pożyczył mi pieniądze na wojnę z innym członkiem Domu Jherega. Natomiast nie sądziłem, abyśmy byli tak dobrymi przyjaciółmi, by zrobił to dwa razy w ciągu trzech dni.

Z własnego doświadczenia wiem, że gdy coś zaczyna się sypać, to działa prawo serii.

Po dojściu do tego budującego wniosku stwierdziłem, że chyba nie jestem zbyt optymistycznie nastawiony do życia.

Loiosh też tak uważał.

Teleportowałem się z mieszkania na chodnik przed wejściem do sklepu i natychmiast wszedłem do środka pomimo protestów żołądka. Na zewnątrz dołączył do mnie Wyrn, w drzwiach Miraf’n.

— I jak wam poszło? — zainteresowałem się.

— Załatwiony — odparł Wyrn. — Był sam.



— Pięknie. W takim razie lepiej byłoby, jakbyście na parę dni zniknęli, ale to wasza decyzja.

Miraf'n przytaknął, Wyrn wzruszył ramionami. Dotarliśmy do sekretariatu.

— Dzień dobry, Melestav — powitałem sekretarza. — Kragar jest?

— Nie widziałem go, ale zna szef Kragara. . .

— Znam. Kragar!

Wszedłem do mojego pokoju. Żadne wiadomości na mnie nie czekały, czyli nie było żadnych nowych katastrof.

— Szefie? — dobiegł mnie nieśmiały głos z fotela przy drzwiach.

— Cze. . . ? A, dzień dobry, Kragar. Jak widzę, nic nowego się nie wydarzyło?

— Zgadza się.

— Coś nowego u Temeka?

— Narwane znowu z nim pracuje. To wszystko.

— Dobra. W takim. . .

Przerwało mi telepatyczne wezwanie:

„Szefie!”

„Temek! Właśnie o tobie rozmawialiśmy. Masz coś ciekawego?”

— Nie bardzo, ale jest tak: weszylem właśnie wokół Potter's Market i Stipple Road i wszedłem do tej dziury na kawę oraz posłuchać plotek, gdy podszedł do mnie ten stary Teckla. Nigdy go na oczy nie widziałem, a ten powiada: „Powiedz swojemu szefowi, że Kiera ma coś dla niego. Będzie za godzinę na zapleczu „Blue Flame”. Tylko zaraz mu powiedz”. I poszedł. No to poszedłem za nim. Byłem nie więcej jak dziesięć kroków za nim, kiedy wychodził, ale zniknął. I to wszystko, szefie. Po mojemu to może być zasadzka, ale. . .”

„Kiedy to się wydarzyło?”

„Ze dwie minuty temu. Próbowałem go znaleźć, a zaraz potem skontaktowałem się z panem, szefie.”

„Doskonale. Dziękuję i wracaj do pracy.”

Podrapałem się w ciemność i zacząłem myśleć.

— O co chodzi, Vlad? — zainteresował się Kragar.

Streściłem mu rozmowę.

— Kiera? — zdziwił się. — Myślisz, że chodzi o Kierę Złodziejkę?

Kiwnąłem głową.

— To to musi być zasadzka! Dlaczego. . .

— Kiera i ja przyjaźnimy się od lat, Kragar.

Na moment go zatkało.

— Nie wiedziałem. . . — bąknął.

— I bardzo dobrze. Tym mniejsza szansa, że Laris wie. A to oznacza, że najprawdopodobniej jest to autentyczne zaproszenie od Kiery.

— Ja tam bym był ostrożny.

— Zamierzam być ostrożny. Możesz tam wysłać paru naszych, żeby się rozejrzeli? I założyć blok na teleportację do budynku, na wypadek gdybym się mylił?

— Jasne. Gdzie mówisz?

— „Blue Flame”, to...

— Wiem. Hmm... to nie tam finalizowałaś kontrakt z półtora roku temu?

— A ty skąd o tym wiesz?!

Uśmiechnął się zagadkowo i nic nie powiedział.

— Jest jeszcze coś — dodał za to po chwili.

— No?

— Właściciel wisi nam sto pięćdziesiąt sztuk złota. Założę się, że jeśli byśmy do niego właściwie podeszli, byłby nader skłonny do współpracy.

— Ciekawe, czy Kiera o tym wie...

— Całkiem możliwe, szefie. Jak to mówią: jest dobrze zorientowana.

— A jest — zgodziłem się. — Dobra, mamy pięćdziesiąt minut, więc nie marnuj czasu.

Wyszedł.

A ja przygryzłem wąsa.

„I co o tym sądzisz, Loiosh?” — spytałem po chwili.

„Myślę, że to nie pułapka, szefie.”

„Dlaczego?”

„Mam przeczucie.”

„Hmm... Skoro przeczucia to twoja specjalność, to chyba ci zaufam. Ale jeżeli się pomyliłeś i zabiją mnie, to będę z ciebie bardzo niezadowolony. Mogę mieć nawet poważne pretensje.”

„Tylko nie dramatyzuj.”

\* \* \*

Miraf'n wyszedł pierwszy na zewnątrz. Za nim wyleciał Loiosh. A jako trzeci wyszedł Wyrn. Następny byłem ja. A za mną Varg i Światlik. Loiosh krążył w pierw nad nami, zataczając wysoko kręgi, a potem przed nami, sprawdzając drogę.

„Czysto, szefie” — zameldował telepatycznie.

„I bardzo dobrze.”

I wszystko to po to, by przejść jedną przecnicę.

\* \* \*

Kiedy dotarliśmy do restauracji „Blue Flame”, wciśniętej między dwa magazyny tak, jakby próbowała się ukryć, do środka pierwszy wszedł Świetlik. Wyszedł prawie natychmiast, skinął głową i do środka wleciał Loioosh, w ślad za nim wszedł Varg, a zaraz po nim ja. Wewnątrz było trochę zbyt ciemno jak na mój gust, choć dostrzec dało się wszystko. Pod każdą ze ścian znajdowały się cztery alkozy, na środku stały dwa stoły czteroosobowe i trzy dwuosobowe. W najdalszej od drzwi alkowie, twarzą ku wejściu, siedział Shoen — członek Domu Jherega wynajęty przez Kragara.

Shoen należał do tych nielicznych niezależnych, którzy mogą robić prawie wszystko i to robić dobrze. Nie był wysoki — miał sześć stóp i sześć cali wzrostu. Czarne włosy zaczesywał do tyłu tak jak Varg. Był silnorękiem, ochroniarzem, parał się trochę lichwą, prowadził salon gry, zajmował się sprzątaniami — słowem, próbował rozmaitych zajęć. Przez jakiś czas pracował nawet dla organizacji w pałacu. Był też jednym z godniejszych zaufania zabójców, jakich znałem. Gdyby nie skłonność do hazardu połączona z brakiem talentu do niego, lata temu miałby dość, by przejść na emeryturę. Byłem zadowolony, że tak się nie stało, skoro miałem go po swojej stronie.

Przy jednym z mniejszych stolików siedział samotnie podrostek (ledwie trzysetletni smarkacz). Nazywał się Chimov i należał do organizacji zaledwie od dziesięciu lat, a w tym czasie już dwa razy był na „robocie”. Taka energiczność należała do prawdziwych rzadkości (ja byłem energiczniejszy, ale jestem człowiekiem). Miał proste, czarne, krótko ścięte włosy i twarz o ostrych rysach kojarzących się z Domem Sokoła. Nie mówił wiele, co w Domu Jherega uważa się za dużą zaletę u kogoś w jego wieku. Też należał do mojej ochrony.

W sumie czułem się naprawdę dobrze chroniony. Wraz z Wyrnem, Miraf’nem i Loiooshem spokojnie przeszedłem na zaplecze, gdzie stał długi stół i dziesięć krzeseł. Nie było tam nikogo.

— Dobra — oceniłem. — Wyjdźcie.

Wyrn po prostu kiwnął głową.

Miraf’n miał pewne wątpliwości:

— Jest pan pewien, szefie?

— Jestem.

Obaj wyszli, a ja usiadłem na jednym z krzeseł tak, by widzieć drzwi, i czekałem. Drzwi były tylko jedne i do tego zamknięte. Sala nie miała okien, a na budynek nałożony został blok teleportacyjny. Zastanawiałem się, jak Kiera się tu dostanie.

Dwie minuty później także się nad tym zastanawiałem, choć były to już czysto

akademickie rozważania. I to na temat: „jak się tu dostała”.

— Dzień dobry, Vlad.

— Szlag! Widziałbym, jak weszłaś, ale akurat mrugnąłem.

Zachichotała, dygnęła elegancko i pocałowała mnie czule. Potem siadła po mojej prawej. Loiosh natychmiast wylądował na jej ramieniu i polizał ją po uchu. Podrapała go pod brodą. Poczekalem, aż skończą się witać, i spytałem:

— Dlaczego chciałaś się ze mną zobaczyć?

Sięgnęła do jednej z wewnętrznych kieszeni peleryny i wyjęła niewielki woreczek. Rozwiązała go i poczekala, aż wyciągnę rękę. Po czym na moją dłoń wypadł błękitno-biały kamień średnicy jednej trzeciej cala. Obróciłem go w palcach i obejrzałem w świetle lampy.

— Ładny — oceniłem. — Topaz?

— Diament.

Sprawdziłem, czy nie żartuje. Nie żartowała.

— Naturalny? — spytałem.

— Tak.

— Kolor też?

— Tak.

— Wielkość?

— Również.

— Gwarantowane?

— Tak.

— Mhm. . . — Przyglądałem się klejnotowi jeszcze przez chwilę.

Nie jestem specjalistą, ale znam się co nieco na szlachetnych kamieniach. Ten był bez skazy.

— Jak sądzę, dałaś go już do wyceny — odezwałem się w końcu. — Ile jest wart?

— Na rynku? Trzydzieści pięć tysięcy, jeśli poszukać kupca. Dwadzieścia osiem do trzydziestu, jeśli chce się go szybko pozbyć. Każdy paser dałby co najmniej piętnaście, naturalnie gdyby mu go ktoś zaoferował.

Pokiwałem głową.

— Dam ci dwadzieścia sześć — zaproponowałem.

Potrząsnęła przecząco głową, co mnie mocno zdumiało — nigdy dotąd się nie targowaliśmy. Jeśli Kiera proponowała mi coś, dawałem jej najwyższą cenę, jaką mogłem, i interes był ubity. Zanim zdążyłem wyjść ze zdumienia, Kiera powiedziała:

— Nie próbuję ci sprzedać tego diamentu. Jest twój — a po chwili dodała: — I zamknij z łaski swojej usta, bo się przeciąg robi.

— Kiera. . .

— Cała przyjemność po mojej stronie.

— Ale. . . dlaczego?!

— Durne pytanie. Dają ci fortunę, a ty koniecznie musisz wiedzieć dlaczego?  
„Właśnie. Zamknij się, szefie” — poparł ją Loioosh.  
I polizał ją po uchu.  
— Bo mam taką fanaberię — dodała Kiera.  
Nagle przyszło mi coś do głowy... widziałem już ten diament... albo jego brata bliźniaka. Spojrzałem uważnie na Kierę i spytałem:  
— Skąd go masz?  
— A co cię to obchodzi, że się grzecznie zapytam?  
— Ciekawość. Powiedz mi proszę.  
Wzruszyła wymownie ramionami i wyjaśniła:  
— Miałam ostatnio okazję być wewnątrz Góry Dzur.  
Westchnąłem: tak mi się właśnie wydawało. Potrząsnąłem smętnie głową i podałem jej kamień:  
— Nie mogę. Sethra też jest moim przyjacielem.  
Teraz Kiera westchnęła.  
— Vlad, jesteś beznadziejnym przypadkiem! Trudniej ci pomóc, niż okraść Maria. Zaczynaj myśleć i mieć zaufanie do swoich przyjaciół. Bo twoja lojalność wobec nich jest budująca. Sethra nie może otwarcie finansować twojej wojny, podobnie jak Morrolan nie może tego zrobić. I co, uniemożliwiło mu to znalezienie sposobu?  
— Skąd to...  
— Sethra wie, jakie jest przeznaczenie tego kamyka, choć nigdy tego głośno nie powie — przerwała mi. — Usatysfakcjonowany?!  
Ponownie odebrało mi mowę. Zanim ją odzyskałem, Kiera wręczyła mi woreczek. Umieściłem w nim odruchowo klejnot i schowałem do kieszeni.  
— No, tak już lepiej — oceniła. — Jak na zabójcę, jesteś kochany.  
I zniknęła.

\* \* \*

Po południu zjawił się Temek z listą pięciu lokali należących do Larisa.  
Wynająłem czterech speców, by udali się parami do dwóch z nich, gdy zacznie tam napływać klientela. W Domu Jherega mianem „specy” określa się kogoś, kto specjalizuje się w jednym określonym zajęciu i robi to naprawdę doskonale.  
Kragar w tym czasie poczynił inne przygotowania, byśmy byli gotowi na wieczór.

\* \* \*

Wieczorem uderzyliśmy na jeden z lokali. Dwóch ochroniarzy nie miało szans przeciwko dziewięciu osiłkom z Domu Orki wynajętym po dwa imperiale od głowy i uzbrojonym w pałki i noże. Każdy zdążył załatwić jednego, nim pozostali nie utłukli go na posterunku. Wśród klientów nie było wprawdzie ofiar śmiertelnych, ale przez kilka dni nikt nie będzie miał ochoty na podobne potraktowanie, więc nie odwiedzi tego lokalu.

Tym razem byłem przewidujący i wynająłem drugą grupę osiłków do ochrony swoich lokali przed podobną wizytą.

\* \* \*

Dwa dni później przyszła kolej na następne miejsce. Rezultat był równie dobry. Zaraz po ataku Temek poinformował mnie, że Laris zniknął; zapewne przeniół się do bezpiecznej kryjówki, skąd będzie kierował dalszymi działaniami.

\* \* \*

Następnego dnia Narvane, zaalarmowany plotkami, udał się w alejkę za pierwszym zaatakowanym przez nas przybytkiem. Znalazł tam ciało Temeka.

Temek nie nadawał się do ożywienia.

\* \* \*

Trzy dni później Varg poinformował mnie, że jeden z silnoręcznych Larisa złożył mu propozycję, by pomógł im w koordynacji ataku na moją skromną osobę.

\* \* \*

Po kolejnych dwóch dniach Shoen odnalazł tego, który złożył Vargowi propozycję. Samego, bo wracał od kochanki.

\* \* \*

Po tygodniu dwóch speców infiltrujących lokal Larisa zostało wysadzonych przy użyciu magii, gdy jedli spokojnie obiad w neutralnym lokalu. Adept, który to zrobił, siedział przy sąsiednim stoliku.

\* \* \*

Tydzień później zaatakowaliśmy następny lokal Larisa. Wynająłem dwudziestu pięciu osiłków i dobrze zrobiłem — Laris zwiększył ochronę. Kosztowało mnie to sześciu zabitych, ale po lokalu zostało wspomnienie.

\* \* \*

Następnego dnia Laris musiał stracić cierpliwość. Zapłacił jak za zboże (pojęcia nie mam, dlaczego używa się tego określenia na przepłacenie czegoś, ale się używa) i udało mu się znaleźć adepta na tyle dobrego, że zdołał się przebić przez magiczną ochronę moich lokali założoną przez adeptki Lewej Ręki. Trochę czasu mu to zajęło, ale dokładnie tydzień po lokalu Larisa spłonął mój paser wraz z domem, magazynem i większością fantów.

Zleciłem ochronę wszystkich pozostałych miejsc.

\* \* \*

Po kolejnych dwóch dniach Narvane i Chimov zostali zaatakowani, gdy ochraniali H'noca niosącego mi pieniądze. Chimov nadawał się do wskrzeszenia. Narvane miał więcej szczęścia — zdołał teleportować się do uzdrowiacza. Napastnicy uciekli.

\* \* \*

Osiem dni później, wieczorem, prawie w tym samym czasie wydarzyły się dwie rzeczy.

Wynajęty przeze mnie spec dostał się do burdelu Larisa. Rozlał tam ponad czterdzieści galonów ropy i podpalił. Budynek spłonął do fundamentów, ale ponieważ ogień podkładał fachowiec, nikt nie zginął ani nawet nie został poparzony.

A u mnie zjawił się Varg z jakąś niecierpiącą zwłoki sprawą — tak przynajmniej powiedział Melestavowi. Gdy otwierał drzwi, Melestav zauważył coś podejrzanego (sam do tej pory zresztą nie wie co), więc głośno kazał mu się zatrzymać. Varg nie posłuchał, więc zatrzymał go sztylet Melestava w plecach. Padł dosłownie u moich stóp. Kiedy go odwróciliśmy, okazało się, że to wcale nie jest Varg. Dałem Melestavowi premię, zamknąłem się w pokoju i przeczekałem napad dreszczy zwany też czasami telepką. Mojej normalnej reakcji, kiedy ktoś próbuje mnie zabić.

\* \* \*

Dwa dni po tych wydarzeniach Laris zaatakował wszystkimi siłami budynek mieszczący moje biuro. Napastnicy zdołali spalić sklep. Dalej nie weszli i odparliśmy ich w końcu, ale straty były ciężkie po obu stronach. Na szczęście nie straciłem nikogo permanentnie, natomiast była to kosztowna operacja.



\* \* \*

Narvane, który przejął zadanie Temeka, znalazł jeszcze jedno źródło dochodów Larisa. Zaatakowaliśmy je cztery dni później. Klienci zostali poturbowani, personel pobity, a lokal spalony.

\* \* \*

Następnego dnia okazało się, że przynajmniej dwie wpływowe osobistości mają tego dość!

Stałem sobie w pogorzelniku stanowiącym przedsiónek biura i dojrzywałem do zmiany adresu, gdy usłyszałem głos Świetlika:

— Kłopoty, szefie.

Otaczali mnie: Wyrn, Miraf'n, Świetlik, Chimov, Kragar i Melestav.

Nim Miraf'n mnie zasłonił, zobaczyłem czterech mężczyzn w czarno-szarych bluzach Domu Jherega zbliżających się do nas. Wydawało mi się, że w środku czworoboku jest jeszcze ktoś, ale nie byłem pewien.

Doszli do nas i stanęli. Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie w milczeniu, po czym pomiędzy nich rozległ się znajomy głos:

— Taltos!

Przełknąłem ślinę i wyszedłem przed ochroniarzy, po czym skłoniłem się uprzejmie.

— Witam, lordzie Toronnan.

— Oni zostają. Ty idziesz ze mną.

— Dokąd?

— Zamknij się!

— Jak pan sobie życzy.

Zaczynałem podejrzewać, że któregoś dnia mogę zdecydować się na „robotę” dla własnej przyjemności.

Odwrócił się i ruszył przed siebie, więc poszedłem za nim. Po kilku krokach Toronnan spojrzął przez ramię i rzucił:

— To to też zostaje.

Chwilę mi zajęło, by domyślić się, że „to to” oznaczało Loiosha.

„Przygotujcie się, Kragar” — poleciłem.

„Jesteśmy gotowi, szefie.”

Głośno oświadczyłem:

— Jhereg zostaje ze mną.

Zmrużył oczy i wbił we mnie spojrzenie. No to zrobiłem to samo, tylko niczego nie mrużąc.

— Niech będzie — burknął po paru sekundach.

Odpreżyłem się.

Poszliśmy na północ — najpierw do Malak Circle, potem do Pier Street, a w końcu dotarliśmy do budynku, który musiał być gospodą, ale teraz ział pustką. I weszliśmy do środka. Dwóch ochroniarzy zostało przy drzwiach, za to wewnątrz czekał na nas adept z różdżką. Stanęliśmy przed nim i Toronnan polecił:

— Już!

Coś mi wykręciło wnętrzności i znalazłem się, a raczej znaleźliśmy się wraz z Toronnanem i jego dwoma ochroniarzami w rejonie stanowiącym północno-zachodnią część miasta. Tu, wśród wzgórz, domy przypominały zamki albo pałace. Jakieś dwieście jardów przed nami znajdowało się wejście do jednego z nich. Był cały biały, za to podwójne odrzwia miał suto złożone. Coś pięknego, właśnie coś, a nie coś: takie było piękne.

— Do środka — polecił Toronnan.

No to weszliśmy.

Drzwi otworzył służący. Zaraz za drzwiami czekało dwóch ochroniarzy w nowych, modnych strojach w barwach Domu Jherega. Jeden z nich wskazał obstawę Toronnana i powiedział:

— Mogą tu poczekać.

Toronnan skinął potakująco i pomaszzerowaliśmy dalej już tylko we trójkę, ze służącym. Korytarz był większy od mieszkania, które wynajmowałem po sprzedaży restauracji. Salon, do którego nas doprowadził, był większy od mojego obecnego apartamentu. W zdobieniach, bibelotach, meblach i innych duperelach było więcej złota, niż zarobiłem w ciągu ostatniego roku, toteż nic dziwnego, że nie byłem w radosnym nastroju. Prawdę mówiąc, nim służący zaprowadził nas do gabinetu, byłem już bardziej wkurzony niż przestraszony. Dziesięciominutowe oczekiwanie na gospodarza jedynie pogłębiło irytację.

A potem wszedł gospodarz w zwyczajowej czerni i szarości, tyle że lamowanej złotem. Był szpakowaty i stary — miał spokojnie dwa tysiące lat — i dobrze odżywiony, jako że Dragaerianie nie tyją do tego etapu, kiedy zasługuje się na miano „grubego”. Nos miał mały i płaski, oczy głęboko osadzone i bladobłękitne.

— To on? — spytał Toronnana gardłowym, chrypliwym basem.

Pytanie lekko mnie zdziwiło — nie wiedział, kogo zaprasza do domu czy jak?!

Toronnan skinął głową potakująco.

— W porządku — zdecydował gospodarz. — Możesz odejść.

Toronnan odszedł.

A stary wgapił się we mnie. W tym momencie powinienem zrobić się nerwowy i zacząć się bać. Zrobiłem się zły i ziewnąłem.

Spojrzał na mnie bykiem.

— Nudzi ci się? — spytał uprzejmie.

Wzruszyłem ramionami. Mógł mnie zabić albo zniszczyć, albo jedno i drugie jednym pstryknięciem. Tyle że w tej chwili ja też mogłem go zabić i nic by mi w tym nie przeszkodziło. A i tak nie miałem zamiaru włączyć mu w dupę — moje życie nie było tyle warte.

Przyciągnął sobie nogą krzesło i ocenił:

— Uparta jednostka. No dobrze, przekonałeś mnie. Jestem pod wrażeniem. A teraz tak: chcesz żyć?

— Nie miałbym nic przeciwko temu — przyznałem.

— To dobrze. Jestem Terion.

Wstałem, skłoniłem się ile trzeba i usiadłem.

Słyszałem o nim — należał do pięcioosobowej rady kierującej organizacją w stolicy. A w stolicy skupiało się około dziewięćdziesięciu procent aktywności Domu Jherega. Ja też byłem pod wrażeniem, więc spytałem:

— Co mogę dla pana zrobić, lordzie Terion?

„Szefie, bez takich” — obruszył się Loiosh. „- Każ mu się wypchać pakułami i ryczeć.”

— Możesz zaprzestać prób spalenia Adrilankhi.

— Proszę?

— Masz kłopoty ze słuchem?

— Zapewniam, że nie mam najmniejszej ochoty spalić Adrilankhi. Jedynie jej drobny fragment.

Uśmiechnął się i kiwnął głową. A zaraz potem uśmiech zniknął, a oczy zmieniły się w szparki. Pochylił się ku mnie i oznajmił:

— Nie pogrywaj sobie ze mną, człowieku. Jeśli chcesz walczyć z tym drugim błaznem, walcz sobie, ale tak, by nie zwracać uwagi władz. Powiedziałem to jemu, a teraz mówię tobie. Jeśli nie zmienicie metod, to ja rozstrzygnę ten spór. Jasne?

— Jasne.

— No i pięknie. A teraz wynoś się stąd.

— Według życzenia — odparłem, wstając.

Ponieważ odwrócił się do mnie plecami, darowałem sobie ukłon. Przemierzając domostwo, przełknąłem kilka przekleństw. Kiedy dotarłem do drzwi — dobrze, że służący prowadził, bo mógłbym się zgubić — po Toronnanie i jego ochronie nie było już śladu. Teleportowałem się do siebie i ledwie znalazłem się w biurze, poinformowałem Kragara, że musimy zmienić metody.

Nie zdążyliśmy.

Terion miał rację, ale miał też spóźnione informacje. Nie tylko on miał dość — Cesarzowa także.

## Rozdział szósty

*„Idę się przejść”*

Kiedy mówi się „Cesarzowa”, z zasady ma się przed oczami obraz dostojnej starej matrony o zaciętej minie i szpakowatym owłosieniu, ubranej w złociste szaty. Nad jej głową krąży Kula, a ona nie znoszącym sprzeciwu głosem wydaje edykty czy inne polecenia od niechcienia niejako wpływające na życie paru milionów poddanych.

Cóż... Kula rzeczywiście krąży nad jej głową, a ona ubiera się w złociste kolory — to by się zgadzało. I praktycznie tylko to, bo już kwestia, w co się ubiera, mogłaby okazać się zbyt kontrowersyjna. Cesarzowa Zerika ma bowiem trzysta czy czterysta lat, co na ludzki wiek przekłada się jako dwudziestolatka. Ma też złociste włosy — złociste, nie blond. I oczy o bardzo zbliżonej barwie, zupełnie jak lyorn — tyle że poza tym nie przypomina psa i nie ma rogu na środku czoła, więc podobieństwo nie jest takie uderzające. Ma za to wysokie czoło, bladą karnację i delikatne, prawie niewidoczne brwi. I wbrew pokutującej uparcie plotce jest jak najbardziej i w całej pełni żywa.

Dom Feniksa zawsze był i jest najmniej liczny, ponieważ należą do niego tylko ci, nad których miejscem narodzin we właściwym czasie przeleciał feniks. Ostatnio zaś stał się jeszcze mniej liczny, bowiem w okresie tuż przed Bezkrólewem i w czasie Bezkrólewia wyeliminowano z grona żyjących wszystkich jego członków poza matką Zeriki. A ta zmarła przy porodzie.

Zerika urodziła się podczas Bezkrólewia. A przed Bezkrólewem rządził Schyłkowy Feniks. Ponieważ był to siedemnasty cykl, następny Cesarz także powinien być z Domu Feniksa, ponieważ Odrodzony Feniks powinien nastąpić po Schyłkowym Feniksie. Strasznie to pokrętne, zaczynając od normalnego cyklu, czyli kolejności sprawowania rządów przez Cesarzy wybranych przez poszczególne domy. Kolejność ta jest następująca:

Feniks  
Smok  
Lyorn

Tiassa  
Sokół  
Dzur  
Issola  
Tsalmoth  
Vallista  
Jhereg  
Iorich  
Chreotha  
Yenoli  
Orka  
Teckla  
Jhegaala  
Athyra

I potem znów od początku. Jednakże regułą jest, że w przypadku siedemnastego cyklu Cesarz Feniks staje się Schyłkowy i bezpośrednio po nim następuje drugi Cesarz z tego samego domu, zwany Odrodzonym — po mojemu jest to ktoś, kto w trakcie sprawowania władzy nie dostaje świra i nie przestaje interesować się tym, co robi, bo to są główne cechy charakterystyczne Schyłkowego Cesarza Feniksa. Ponieważ Zerika była w tym czasie jedyną żyjącą osobą należącą do Domu Feniksa, automatycznie została Cesarzową.

Jest jeszcze jedna nielogiczność stawiająca to wszystko na głowie — żeby ktoś mógł należeć do Domu Feniksa, feniks musi przelecieć itp., itd. A jak się do tego ma cała genetyka, na której opiera się przynależność do wszystkich innych domów? Nie wspominając już o tym, jak Dragaerianie podchodzą do kwestii mieszańców. A w istniejącej sytuacji nie da się w żaden inny sposób zapewnić kontynuacji Domu Feniksa. Odliczając naturalnie takie metody rozmnażania się jak szpadel (metoda rozmnażania dżdżownic według sadystów) czy dzieworództwo (zjawisko cudowne zgoła, które ponoć kiedyś wystąpiło wśród Ludzi).

W każdym razie licząca sobie sto trzy lata smarkuła przeszła żywa przez Bramę Śmierci, przewędrowała Ścieżki Umarłych i dotarła do PrzedSIONKA Sądu, gdzie odebrała cieniowi ostatniego Cesarza Kulę i nadal żywa i zdrowa wróciła. Po czym ogłosiła koniec Bezkrólewia. Działo się to mniej więcej wtedy, kiedy urodził się mój prapraprapradziadek.

Nie zazdrościłem jej tej wycieczki — też tam byłem i czasami jeszcze miewam koszmary.

Te przeżycia dały jej podstawy do lepszego zrozumienia warunków życia przeciętnego Dragaerianina i realiów życia swego narodu. W dodatku była inteligentna i w sumie rządziła całkiem mądrze. W tym konkretnym przypadku doskonale zdawała sobie sprawę, że niczego nie zyska, wtrącając się w wewnętrzny

konflikt Domu Jherega, i dlatego tak długo nic nie robiła. W końcu jednak nasza wojna musiała ją tak zirytować, że rozsądek przestał się liczyć.

I dlatego gdy się obudziłem następnego dnia po wizycie u Teriona, stwierdziłem, że ulicę patroluje Gwardia Feniksa. Rozlepiono plakaty informujące o zakazie przebywania na ulicach po zapadnięciu zmroku i o zbieraniu się w grupach liczniejszych niż cztery osoby (przez całą dobę). Informowały też, że każde użycie magii będzie uważnie badane, a wszystkie gospody, restauracje i inne przybytki zostają zamknięte do odwołania. Logiczne było założenie (choć tego naturalnie nie napisano), że na ten okres ustają również wszelkie nielegalne rozrywki.

Prawie zacząłem się zastanawiać, czy nie przenieść się do lepszego sąsiedztwa, po którym nie płaczą się takie umundurowane elementy.

\* \* \*

— I na czym stoimy, Kragar?

— Wytrzymamy bez zarabiania około siedmiu tygodni. Potem skończą się pieniądze.

— Sądysz, że to potrwa siedem tygodni?

— Nie wiem. Mam nadzieję, że nie.

— Ja też i co z tego? Nie możemy zredukować sił, jak długo Laris tego nie zrobi, a nie ma sposobu dowiedzenia się, że to zrobił. Co gorsze byłby to doskonały okres na zinfiltrowanie jego organizacji, a nie możemy tego zrobić, bo u niego tak jak i u nas nic nie działa.

Kragar wzruszył ramionami.

— Trzeba przeczekać — stwierdził. — Cicho i spokojnie przeczekać.

— Może. Natomiast coś ci powiem: żeby nie marnować czasu, poszukamy paru interesów, w których Laris ma jak najbardziej legalne udziały, jak na przykład restauracje. I zaprzyjaźnimy się z jego współnikami zarządzającymi tymi interesami.

— Zaprzyjaźnimy się?

— Ano. Daj im prezenty.

— Jakie znów prezenty?

— Złoto.

— Tak po prostu damy im? Za nic?

— Dokładnie. O nic nie będziemy prosić i o nic wypytywać. Któryś z naszych po prostu wręczy takiemu jegomościowi sakiewkę i powie, że to ode mnie.

Kragar wyglądał na bardziej niż zwykle zaskoczonego moim pomysłem.

— I co nam to da? — spytał po chwili.

— To samo co w przypadku dworaków. Dobre stosunki i dobre nastawienie. Skoro skutkuje na dworze cesarskim, to powinno poskutkować i tutaj. A na pewno nam w niczym nie zaszkodzi.

— Poza utratą gotówki.

— Pieprzyć parę groszy. Jeśli się uda i jeśli nas polubią, mogą nam coś powiedzieć. Nawet mogą nam powiedzieć coś użytecznego. Naturalnie nie natychmiast, ale natychmiast i tak nie moglibyśmy nic zrobić z tymi informacjami.

— Może masz i rację. . . — brzmiało to tak, jakby Kragar próbował przekonać sam siebie.

— Weź pięćset sztuk złota i dowiedz się, kto mógłby wchodzić w grę.

— Ty tu rządzisz — skapitulował.

— Fakt. Dalej: musimy się dowiedzieć, kiedy będziemy w stanie otworzyć jakiś lokal. Masz choćby przypuszczenia, ile to może potrwać? Dni? Tygodnie? Miesiące czy lata?

— Dni na pewno, prawdopodobnie tygodnie. Pamiętaj, że Gwardii nie podoba się to tak samo jak nam: nie dość, że muszą patrolować ulice, to jeszcze nie dostają zwyczajowych opłat. Więc ze swej strony też będą dążyć, by to się jak najszybciej skończyło. Podobnie jak wszyscy kupcy, no i organizacja wykorzysta swoje kontakty w pałacu. Wątpię, by to potrwało dłużej niż miesiąc.

— A skończy się równie nagle, jak się zaczęło, czy stopniowo?

— Tego nie wiem, Wład. Może być i tak, i tak.

— Hmm. . . No dobrze, a jak myślisz, uda się otworzyć jeden salon gier za tydzień?

— Mogą nam na to pozwolić. Ale to nie takie proste. Jeśli otworzymy salon, raczej prędzej niż później któremuś klientowi skończy się gotówka, więc potrzebny byłby także lichwiarz. A jak się spóźni ze spłatą i zacznie kraść, potrzebny będzie też paser. Albo. . .

— I tak nie mamy pasera, jakbyś zapomniał.

— Pracuję nad tym.

— A, to dobrze. Rozumiem, o co ci chodzi: to wszystko jest ze sobą powiązane.

— I jeszcze jedno: ten, kto otworzy interes, będzie nerwowy, więc powinieneś złożyć serię osobistych wizyt w działających punktach. A to jest niebezpieczne.

— Ano.

— Natomiast powinniśmy poszukać nowego biura. Tu dalej śmierdzi spaleni-  
zną.

— Moglibyśmy. . . wiesz, gdzie jest biuro Larisa?

— Wiem, ale on się tam nie pokazuje i nie wiemy, gdzie się zaszły.

— Za to wiemy, gdzie jest jego biuro. No to tam przeniesiemy nasze.

Kragar wytrzeszczył oczy, a po chwili potrząsnął głową i skomentował:

— Nie ma to jak pewność siebie.

\* \* \*

W ciągu tego tygodnia Narvane często się ze mną kontaktował i dało się zauważyć, że zaczyna czuć nowe zajęcie. Po tym, co spotkało Temeka, zachowywał daleko posuniętą ostrożność, ale stopniowo kompletował listę miejsc i nazwisk.

Próbowałem wysledzić Larisa czarami, by sprawdzić, czy w ten sposób nie da się go zaatakować, ale cwaniak musiał zabezpieczyć się nie tylko przed magią, bo nic nie osiągnąłem. Znaczyło to, że naprawdę zadał sobie trud, by zebrać o mnie informacje, jako że mało który Dragaerianin poważnie traktuje czary i czarownice.

Śledziliśmy tych, o których wiedzieliśmy, że dla niego pracują, próbując ustalić ich rozkłady zajęć, co mogło być przydatne w przyszłości. Kilku zaproponowaliśmy spore kwoty za informację, gdzie Laris się ukrywa, ale nie znaleźliśmy chętnych do współpracy.

Zaprzyjaźnianie się z innymi współnikami Larisa szło nam lepiej, choć wolno. Nie otrzymaliśmy żadnych istotnych informacji, lecz wiele wskazywało na to, że możemy je otrzymać w przyszłości i to niekoniecznie dalekiej. Z pogawędek z gwardzistami dowiedzieliśmy się, że też im nie odpowiada to, co robią, i nie spodziewają się, by potrwało to długo. Też im zależało, by zacząć zarabiać za przymykanie oka na hazard, podobnie jak nam, by zacząć im znów za to płacić.

Rozważyłem starannie całą sprawę.

\* \* \*

Sześć dni po tym, jak Zerika tupnęła nogą, pokazując wszystkim, że ma dość naszej wojenki, spotkaliśmy się razem z Kragarem i ochroniarzem Nielara, który doszedł do siebie po wskrzeszeniu. Nazywał się Gilizar, a wołano go Wesołek, bo podobnie jak Varg nigdy się nie uśmiechał. W przeciwieństwie jednak do Varga, który z zasady miał obojętny wyraz twarzy, Wesołek chodził po świecie z wściekłym grymasem. Kiedy wyglądał, jakby miał ochotę ugryźć, oznaczało to, że jest szczęśliwy. Kiedy był wściekły, lepiej było na jego gębę w ogóle nie patrzeć. Jego ulubioną bronią było coś, co wymyślili ludzie i co nazywało się lepip albo łamigłówką — solidny kawał metalu starannie owinięty skórą, by nie zadawał ran ciętych.

Zaczynał karierę w dokach jako inkasent lichwiarza-choleryka zwanego Cerillem. Kiedy Cerill miał dość bycia rozsądnym wobec klienta, wysyłał Wesołka, a następnego dnia wysyłał kogoś innego, by dogadał się z tym, co z klienta zostało.



Wesołek usiadł i spojrział bykiem najpierw na Kragara, potem na mnie.

— Posłuchaj — zagailem. — Nasz przyjaciel H’noc zamierza jutro wieczorem otworzyć swój burdel. Jest chroniony przez Abrora i Nephitala, a ja chcę, żebyś im pomógł.

Wykrzywił się, jakbym mu proponował coś uwłaczającego.

Zignorowałem to, wiedząc, że pomysł zaczyna mu się podobać, i dodałem:

— Tylko nie leż w oczy klientom, bo wszystkich przestraszysz. A jakby gwardziści chcieli budę zamknąć, to im pozwólcie. Rozumiesz, co masz zrobić?

Prychnął, co przyjąłem za potwierdzenie.

— Dobra — zakończyłem. — Bądź tu o ósmej. To wszystko.

Wstał i wyszedł bez słowa.

Kragar potrząsnął głową z podziwem.

— Jestem zaskoczony, że się go tak łatwo pozbyłeś, Vlad — przyznał. — Ma dla ciebie szacunek, nie ulega wątpliwości.

Wzruszyłem ramionami.

— Z tego co wiem, nigdy nie był na „robocie” — wyjaśniłem.

Kragar chrząknął i zmienił temat.

— No to jutro powinniśmy coś wiedzieć. Narvane coś odkrył?

— Niewiele. Wolno mu idzie, bo ostrożny.

— Nie dziwię się. Ale powinien być w stanie sprawdzić, czy Laris coś otworzył. I to bez większego ryzyka.

Przyznałem mu rację i skontaktowałem się z Narvane’em.

A potem westchnąłem z uczuciem:

— Cholera, nie lubię tej nieświadomości! Mamy pewne dane, które dadzą się wykorzystać w przyszłości, ale nadal mało co wiemy o nim i jego interesach.

Kragar pokiwał smętnie głową.

— Vlad! — pojaśniał nagle.

— Tak?

— Morrolan!

— Co „Morrolan”?

— Jesteś jego konsultantem do spraw bezpieczeństwa i szefem ochrony zamku, nie? Przecież on musi mieć siatkę wywiadowczą!

— I ma. Jakbyś się chciał na przykład dowiedzieć, ilu adeptów ma do dyspozycji lord Whointheheck z Domu Smoka, to będę ci mógł powiedzieć za trzy minuty, podając ich specjalności, wiek i ulubioną markę wina. Tylko że nam to nic nie pomoże.

Zmartwił się.

— Powinien być jakiś sposób, żeby ją wykorzystać. . . — wymamrotał, wpatrując się tępo w ścianę.

— Jak coś wymyślisz, to daj mi znać.

— A dam.

\* \* \*

Następnego dnia późnym wieczorem skontaktował się ze mną telepatycznie H' noc.

„Tak?”

„Chciałem panu powiedzieć, że nie pojawił się jak dotąd żaden gwardzista.”

„Doskonale. A klienci?”

„Dwóch.”

„Jak na początek nie najgorzej. Kręcił się ktoś podejrzany? Ktoś, kto wyglądał na szpicla Larisa?”

„Skąd mam wiedzieć?! Panie, tu wszyscy wyglądają na podejrzanych!”

„No dobra. Bądź w kontakcie.”

Spojrzałem na Kragara, który ostatnio spędzał znacznie więcej czasu u mnie niż u siebie, i powiedziałem:

— Właśnie rozmawiałem z H' nocem. Żadnych kłopotów i żadnych klientów. Kragar pokiwał głową, jakby się tego spodziewał.

— Jeśli go w nocy nie zamkną, to jutro możemy zaryzykować uruchomienie pasera — zaproponował.

— Jasne. Kogo?

— Jest paru złodziei, którzy chcieliby się przekwalifikować.

— W środku wojny?!

— Właśnie dlatego.

— Nie rozumiem, ale nie szkodzi. W porządku, zdaję się na ciebie.

\* \* \*

Kragar wybrał jednego i dwie noce później paser rozpoczął działalność.

W tym samym mniej więcej czasie Narvane odkrył, że Laris nic nie robi — wszystkie jego lokale były zamknięte, a o nim i jego pracownikach nie było żadnych wieści. Poczuliśmy pewną ulgę. Gwardia w końcu musi zniknąć i sprawy wrócą do normy, a przynajmniej chwilowo można było w spokoju zarabiać. O tym, jaka to będzie „norma”, wolałem chwilowo nie myśleć, więc zapytałem Kragara:

— Słuchaj, kiedy gwardziści znikną z ulic, co się stanie?

— Wszystko wróci do... aha, rozumiem, o co ci chodzi. Cóż, pozostaniemy w defensywie. Jak nas zaatakują, wykorzystamy, co wiemy... tak na marginesie,

powinniśmy zwiększyć liczbę zbierających informacje. Sam Narvane będzie się za długo grzebał.

— Wiem. I zwiększymy. Ale... wydaje mi się, że to nasza szansa, by się odbić.

— Tego... o co ci konkretnie chodzi?

— Posłuchaj: w tej sytuacji żaden nie może drugiego zaatakować, ale możemy stopniowo przywrócić normalną sytuację w interesie. Otwierać po kolei lokale, jak długo Gwardia się nie wtrąci. Zbierać pieniądze i zaprzyjaźnić się z tyloma pracownikami Larisa, z iloma tylko się da. I podesłać pomoc Narvane'owi, żeby dowiedział się jak najwięcej o samym Larisie i jego interesach, sytuacji... no, o wszystkim.

Kragar zastanowił się nad tym i po dłuższej chwili przyznał mi rację, wysuwając od razu propozycję:

— Skoro paser działa, możemy uruchomić lichwiarza. Za dwa dni? Za trzy?

— Za dwa — zdecydowałem. — Będzie trzeba dać ekstra w łapę, ale to się opłaci.

— Właśnie. A potem możemy spróbować z małym salonem shareby. Powiedzmy za tydzień, jeśli wszystko będzie dobrze szło.

— Brzmi rozsądnie.

— To dobrze. Z początku nie będziemy potrzebowali aż takiej ochrony jak dotąd, więc Wyrn i Miraf'n mogą pomóc Narvane'owi. Chimov i Świetlik też... jak dobrze pójdzie. Ale na zmianę, bo zostają też twoimi ochroniarzami.

— Chimov nie — zaprotestowałem. — Nie chcę, żeby niezależny za dużo wiedział o moich sprawach. Wymień go na N'aala. Nie jest aż tak dobry, ale szybko się uczy.

— Dobrze. Pogadam z nimi i dam znać Narvane'owi.

— Dobrze — odetchnąłem. — Zapomnieliśmy o czymś?

— Pewnie tak, ale nie mam pojęcia o czym.

— W takim razie zabieramy się do pracy.

„Jak to miło zobaczyć, że się wreszcie przestajesz objać i bierzesz do jakiegoś uczciwego zajęcia, szefie.”

„Przestań być taki radosny! I zamknij się z łaski swojej, Loiosh.”

\* \* \*

Narvane potrzebował paru dni, by przyuczyć nowych pomocników do zbierania informacji, toteż skutki nie były natychmiast widoczne. Za to kiedy zaczęły być, a zbiegło się to z początkiem działalności lichwiarza, wywierały wrażenie.

Co prawda zidentyfikowali na razie jedynie najniżej stojących pracowników Larisa, za to znaleźli siedem lokali będących jego własnością. Żaden nie był otwarty — Laris rzeczywiście się przyczał. Nie wiedziałem, czy się tym cieszyć, czy martwić. Ponieważ gwardziści nadal patrolowali ulice, wybrałem to pierwsze — chwilowo przynajmniej byliśmy bezpieczni.

\* \* \*

Parę dni później ruszył niewielki salon gry w sharebę, a dzień później w kamienie s'yang i trzy miedziaki. Nasz zasób informacji o Larisie rósł, ale na jego terenie nadal nic się nie działo. Zacząłem się poważnie zastanawiać, co to może oznaczać.

— Kragar?

— Tak?

— Ilu Dzurów-bohaterów trzeba do naostrzenia miecza?

— Nie wiem.

— Czterech. Jednego, żeby naostrzył, trzech, żeby wszczęli odpowiednio dużą burdę, by był sens go ostrzyć.

— Aha. Miałeś jakiś konkretny cel, opowiadając ten dowcip?

— Owszem. Wydaje mi się, że trzeba by sprowokować przeciwnika do działania.

— Hmm... — Kragar zamyślił się poważnie. — Masz jakiś plan czy tak po prostu coś ci wpadło do głowy?

— Idę się przejść. Kto dzisiaj ma zaszczyt chronić moją skromną osobę?

— Przejść? Nie masz nic lepszego do roboty niż spacery?! Przecież to niebezpieczne!

— I o to właśnie chodzi. Kto ma dyżur?

— Wyrn, Miraf'n, Varg i Świetlik. Gdzie idziesz się przejść?

— Idę odwiedzić otwarte przez nas miejsca. Rozniesie się naturalnie, że ani Laris, ani imperialni nie zdołali mnie nastraszyć. Dzięki temu klienci trochę się uspokoją i interes powinien iść lepiej. Logiczne rozumowanie?

— Chcesz pokazać, że się nie boisz, spacerując z czterema ochroniarzami?!

— Pytałem, czy rozumowanie jest logiczne — powtórzyłem cierpliwie.

Kragar westchnął ciężko.

— Jest — przyznał niechętnie.

— No, to zawołaj ich.

Wykonał polecenie.

— Doskonale — pochwaliłem go. — A teraz popilnuj interesu do mego powrotu.

W piątkę przeszliśmy przez sekretariat i ruinę jeszcze niedawno będącą sklepem. Wolałem nie ryzykować dłuższego pobytu nieznannej ekipy budowlanej w bezpośrednim sąsiedztwie, dlatego chwilowo zrezygnowałem z remontu. I znaleźliśmy się na ulicy. Na rogu Copper Lane i Garshos stało dwóch gwardzistów, więc poszliśmy w ich stronę. Loiosh badał drogę, a ja czułem na sobie wzrok obu członków Gwardii Feniksa. Przeszliśmy Garshos Street na wschód, aż dotarliśmy do Daylond Street i ku memu zaskoczeniu nie spotkaliśmy więcej gwardzistów. Bez kłopotów dotarliśmy do pasera rezydującego w piwnicy gospody „The Six Chreotha” wyglądającej tak, jakby od paru tysięcy lat systematycznie choć powoli popadała w ruinę.

Paser nazywał się Renorr. Był niski, ciemny, miał kręcone włosy i płaską twarz wskazującą na domieszkę krwi Jhegaala wśród przodków. Był też radosny i nie rozglądał się nerwowo, co najdobitniej świadczyło, że jest nowy w branży. Handel kradzionym towarem był zajęciem, na które gwardziści reagowali, w tej kwestii nie sposób było ich przekupić, toteż paserzy szybko stawali się zestresowanymi osobnikami o rozbieganych oczach.

Na mój widok skłonił się i powiedział:

— Jestem zaszczycony, widząc pana, lordzie Taltos.

Skinąłem mu uprzejmie głową, więc ośmielony dodał:

— Chyba odeszli.

— Kto? Gwardziści?

— Tak. Rano kręciło się ich tu kilku, teraz nie ma żadnego.

— Hmm... Skoro tak, to dobrze. Jeśli zmniejszają liczbę patroli, to znak, że szykują się do zakończenia całej sprawy.

— Też tak sądzę, milordzie.

— Jak interesy? — przeszedłem do rzeczy.

— Niemrawo. Dopiero zaczynają się rozkręcać.

— Wiem — uśmiechnąłem się. — Powodzenia.

— Dziękuję, milordzie.

Dalej poszliśmy Glendon Street do Copper Lane i skręciliśmy na północ. Przed „Blue Flame” nagle się zatrzymałem.

„Co jest, szefie?” — zaniepokoił się Loiosh.

„Gwardziści, Loiosh. Piętnaście minut temu na rogu stało ich dwóch, teraz nie ma żadnego.”

„Nie podoba mi się to...”

— Szefie, gwardziści zniknęli — odezwał się Świetlik. — Nie lubię takich zbiegów okoliczności.

— Ja też.

„Szefie, powinniśmy wracać do biura!” — oznajmił kategorycznie Loiosh.

„Nie wydaje...”

„To ja tu mam przecucia, no nie? A teraz mam całkiem jednoznaczne: wracać i to szybko” — przerwał mi zdecydowanie.

„Zgoda, przekonałeś mnie.”

— Wracamy do biura — poinformowałem ochronę.

Świetlik nie krył ulgi, Varg jak zwykle nie zareagował, Wyrn skinął głową, nie przestając się uśmiechać, a Miraf'n jedynie kiwnął potwierdzająco.

Minęliśmy restaurację, dotarliśmy do zbiegu Garshos Street i Copper Lane: Wyrn i Miraf'n sprawdzili obie i dali znak, że jest czysto. Minęliśmy narożnik i naszym oczom ukazał się budynek mieszczący biuro, gdy usłyszałem za plecami dziwne szuranie. Odwróciłem się akurat w momencie, w którym Varg zwałił się z zaskoczoną miną na kolana. Kątem oka dostrzegłem padającego Świetlika.

„Uwaga, szefie!”

Przez ułamek sekundy sparaliżowało mnie — nie mogłem uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Całe życie groziło mi niebezpieczeństwo, ale atak w biały dzień, w centrum mojego własnego terenu był czymś niewiarygodnym. Widok padającego na twarz Varga wyrwał mnie z letargu. W jego plecach tkwił sztylet, ale Varg jeszcze żył — próbował doczołgać się do mnie, poruszając bezgłośnie ustami...

W następnym momencie zaczęły działać odruchy. Wiedząc, że Wyrn i Miraf'n osłaniają mi tyły, sięgnąłem po rapier, próbując równocześnie znaleźć zabójcę tak ładnie rzucającego nożami...

„Szefie, z tyłu!”

Określiłem się na pięcie. Zobaczyłem Wyrna i Miraf'na cofających się i obserwujących mnie uważnie oraz zbliżającą się wysoką Dragaeriankę z ciężkim rapierem. Sprzedali mnie, sukinsyny! Puściłem rapier i wyjąłem dwa noże do rzućania... Dragaerianka podchodziła wolno i ostrożnie, ale nie ona mnie w tym momencie interesowała, tylko ci dwaj zdrajcy, którzy się wycofywali. Loiosh wystartował ku Dragaeriance, co dało mi czas na wycelowanie i dokładnie w chwili, w której cisnąłem oba noże, coś kazało mi zrobić unik.

Więc zrobiłem.

Coś ostrego drasnęło mnie po plecach z prawej strony. Zrobiłem obrót, dobywając sztylet i nóż, i usłyszałem wściekły syk Loiosha. Zrozumiałem, że Dragaerianka poradziła sobie z nim i wiedziałem, że jestem już martwy... Poczułem dziwny chłód i dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że mam w sobie ładny kawał zimnej stali... Zdecydowałem się nie odwracać i odnalazłem nożownika... a raczej nożowniczkę, bo była to kobieta. Można by rzec, że filigranowa, ale z parą sztyletów w dłoniach. Przyglądała mi się ciemnymi oczyma... Poczułem, jak klinga rapiera zostaje ze mnie wyciągnięta, i stwierdziłem, że klęczę... Nożowniczką zaatakowała, tnąc prawą w moją szyję, lewą w pierś... Pierwszy cios zablokowałem, drugi...

I zobaczyłem, jak z jej ust bucha krew, a ona sama pada na bruk. . . Poczułem ból rany na piersiach, ale było to tylko powierzchowne skaleczenie, choć długie i obficie krwawiące. . . Była dobra — gdy dotknęła bruku, zdołała mi jeszcze wsadzić w brzuch sztylet, którego już nie miałem siły zablokować. . . Usłyszałem w górze łopot skrzydeł i ucieszyłem się, że Loioosh przeżył. . . I czekałem na drugie pchnięcie rapiera, które mnie dobije.

Zamiast niego usłyszałem głos — zadziwiająco podobny do głosu Aliery i bez dwóch zdań zaskoczony:

— Ty. . . ty jesteś Smokiem!

I charakterystyczny szczeł stali towarzyszący pojedynkom.

W jakiś sposób udało mi się odwrócić, padając. . . to rzeczywiście była Alera — wywijając dłuższym od siebie rapierem i zmuszając przeciwniczkę do powolnego, acz stałego odwrotu. Przyglądał się temu Morrolan z wściekłą miną i Blackwandum w dłoni. Alera cięła przemyślnie i. . .

„Unik, szefie!”

Spróbowałem, ale to i tak było bez znaczenia, jak się okazało. Specjalistka od noży bowiem jeszcze żyła i zdołała wbić mi po rękojeść sztylet w nerkę. Jak żyję, nic mnie tak nie zabolalo. Zawyłem, aż echo poszło, a gwałtowny skurcz mięśni poderwał mnie na kolana, obrócił i posłał płasko na brzuch. A raczej na rękojeść drugiego wbitego we flaki sztyletu. Ból prześwidrował mnie z tej strony także i zapragnąłem, by to wszystko się wreszcie skończyło. Nawet śmiercią.

Przez moment, nim moje życzenie się spełniło, moja twarz znalazła się o kilka ledwie cali od twarzy tej, która mnie zabiła. Z jej ust nadal płynęła krew, ale w oczach ciągle jeszcze miała zdeterminowany błysk. Dopiero w tym momencie dotarło do mnie, że nie jest Dragaerianką, lecz należy do rasy ludzkiej.

To zabolalo prawie tak samo jak nerka i cała reszta.

Ale zaraz potem ból odpłynął.

I ja też.

## Rozdział siódmy

*„Chyba przyszła pora  
na zrobienie czegoś naprawdę głupiego”*

Pozostałość słabnącej zielonej poświaty, ale brak oczu, które mogłyby ją widzieć... Pamięć jak studnia, świadomość jak wiadro... ale kto pociąga za sznur? Przyszło mi na myśl, że pomyślałem „mi”. Istnienie bez wrażeń... a wiadro nie dotarło jeszcze do wody.

Wiedziałem, co to takiego „wzrok”, toteż rozpoznałem go, gdy wrócił. I stwierdziłem, że spoglądam w parę okrągłych i jasnych rzeczy, które w końcu rozpoznałem jako „oczy”... Pływały w szarej mgłę i wydawały się mnie widzieć... To musiało być istotne... Przypomniałem sobie „brązowe” mniej więcej w tym samym czasie, gdy zobaczyłem, że wokół nich jest twarz... a potem określenie „twarz małej dziewczynki”... potem doszło coś innego: „ładna” i „poważna”.

Zastanowiło mnie, czy jest człowiekiem, czy Dragaerianką i uświadomiłem sobie, że wróciło więcej mnie...

Przyglądała mi się... A ja się zastanawiałem, co widzi... Otworzyła usta i wydała jakiś dźwięk... Uświadomiłem sobie, że dźwięki słyszę już od jakiegoś „czasu” i że nie zdawałem sobie z tego sprawy... Dźwięki brzmiały głucho, jakby pokój, w którym się znajdowaliśmy, całkowicie pozbawiony był echa...

— Wujek Vlad? — powtórzyła i tym razem zrozumiałem.

Dwa słowa „wujek” i „Vlad”... każde miało swoje znaczenie... „Vlad” oznaczało mnie i to odkrycie wybitnie mnie ucieszyło... „wujek” miało coś wspólnego z rodziną, ale nie byłem całkiem pewien co... Pomyślałem głębiej o tych słowach, bo wydały mi się ważne, a w tym czasie zielona poświata płynąca zewsząd stała się przez moment silniejsza, a potem zniknęła... Zrozumiałem, że to także trwało od pewnego czasu.

Odczuwanie nagle się zwielokrotniło i poczułem, że znało... zamrugąłem i stwierdziłem, że to miłe... oblizałem wargi i to też było miłe... skupiłem uwagę na dziewczynce, która cały czas mnie obserwowała: wydawała się spokojniejsza.



— Wujek Vlad? — powtórzyła jak litanie.  
 Potrzęsnałem głową i spróbowałem się odezwać.  
 — Nie znam cię — usłyszałem, że mój głos jest silny.  
 Przytaknęła entuzjastycznie.  
 — Wiem — powiedziała. — Ale mama strasznie się o ciebie martwi. Wrócisz, proszę?  
 — Wróć? — powtórzyłem. — Nie rozumiem.  
 — Mama próbuje cię znaleźć.  
 — I wysłała cię na poszukiwania?  
 Pokręciła przecząco głową.  
 — Nie wie, że tu jestem — wyjaśniła. — Ale naprawdę się martwi. I wujek Rollan też. Wrócisz, proszę?  
 Kto mógłby odmówić takiej prośbie.  
 — A tak w ogóle to gdzie ja jestem? — spytałem.  
 Przekrzywiła głowę i wyglądała na zaskoczoną. Parokrotnie otwarła usta i zamknęła je bez słowa. Po czym potrzęsnała głową i przyznała:  
 — Nie wiem, ale wróć, dobrze?  
 — Oczywiście, słonko — zgodziłem się. — Ale jak?  
 — Chodź za mną.  
 — Dobrze.  
 Oddaliła się trochę, stanęła i spojrzała na mnie wyczekująco. Stwierdziłem, że zbliżam się ku niej, choć nie wyglądało na to, żebym szedł. Nie miałem także pojęcia, jak szybko podróżujemy, ani skąd dokąd, ale otaczająca nas szarość powoli zmieniała się w mrok.  
 — Kto ty jesteś? — spytałem w pewnym momencie.  
 — Devera.  
 — Miło mi cię poznać, Devero.  
 Odwróciła się do mnie i zachichotała radośnie:  
 — Już się spotkaliśmy, wujku.  
 To oświadczenie przywołało wspomnienia, których nie byłem w stanie dokładnie umiejscowić, ale...  
 — Oj, wujku Vladzie!  
 — Tak, słonko?  
 — Kiedy wrócisz, nie mów mamie, że mnie widziałeś, dobrze?  
 — Dobrze, ale dlaczego mam nie mówić? Nie powinnaś tu być?  
 — No... niezupełnie. Widzisz, ja tak naprawdę to jeszcze się nie urodziłam...  
 Nagle znaleźliśmy się w kompletnym mroku i poczułem się dziwnie osamotniony... a potem znów otoczyła mnie zielona poświata... i już nic nie pamiętałem...

\* \* \*

... dzur zranił jherega w skrzydło — ślad pazurów był długi i poszarpany. Za to jhereg prawie złapał go za kark, tyle że pysk rozwścieczonego drapieżnego kota także sięgał jego długiej, pokrytej łuską szyi. Jhereg nie należał do niejadowitych olbrzymów żyjących nad Bramą Śmierci, ale był największym, jakiego widziałem, dlatego miał szansę... mrugnąłem gwałtownie.

Scena nie zmieniła się. Pomarańczowo-czerwone niebo wyglądało normalnie, ale dotarło do mnie, że znajduję się w jakimś pomieszczeniu, a to, na co patrzę, to doskonale realistyczny fresk pokrywający cały sufit. Ktoś widocznie uznał za miły dowcip tak to zorganizować, żebym obudził się i miał przed sobą właśnie tę scenę. Może miałem dojść do wniosku, że jhereg wygrywa? No to doszedłem. Było to ładne malowidło. Odetchnąłem głęboko i... żyłem!

Obróciłem głowę i rozejrzałem się. Pokój był przestronny: dwadzieścia dwie na czterdzieści stóp tak na oko, i choć nie miał okien, powietrze w nim było świeże i czyste. W ścianie, ku której skierowane były moje stopy, znajdował się kominek, a w nim płonął niewielki, cichutko potrzaskujący ogień. Obróciłem się bardziej i zobaczyłem w innej ścianie drzwi. W pokoju pełno było czarnych świec i to one dawały większość światła — było ich tyle, że pomieszczenie wyglądało na jasne i miłe pomimo czarnych ścian.

Czerń. Barwa magii. Morrolan, Czarny Zamek. Ale nie użyłby czarnych świec, nie korzystając z czarów, a nigdzie nie mogłem wyczuć żadnego śladu czaru. Zresztą taki fresk nie był w jego guście. Więc... Góra Dzur oczywiście!

Powoli opadłem na poduszkę (prawdziwe gęsie pierze — luksus co się zowie!) i jeszcze wolniej sprawdziłem, w jakim jestem stanie. Kończyny miałem w komplecie i nawet sprawnie działające — sprawdziłem kolejno wszystkie palce i resztę, choć kosztowało mnie to trochę wysiłku. Czyli: nie było najgorzej...

Na krześle stojącym o jakieś trzy stopy od łóżka odkryłem swoją pelerynę i resztę ubrania, starannie poskładane. I stwierdziłem z rozbawieniem, że ten, kto mnie rozbierał, zostawił Spellbreakera owiniętego wokół mojego nadgarstka — dlatego pewnie nie od razu poczułem się goły.

Z pewnym wysiłkiem usiadłem. Dopiero w tej pozycji zdałem sobie sprawę, że ogólnie jestem słaby i co mnie boli. Ból był mile widziany — oznaczał bowiem, że żyję. Opuściłem nogi na podłogę...

„Może byś się tak przywitał, szefie?” — rozległo się w moim umyśle.

Odróciłem się i w rogu, na szczycie szafy, dostrzegłem Loiosha.

„Dzień dobry czy jak tam powinno się mówić o tej porze doby. Cieszę się, że jesteś cały i żywy.”

Przeleciał do mnie i wylądował mi na ramieniu.

„Ja podwójnie, szefie” — oznajmił, liżąc moje ucho.

Koło łóżka stał sobie dyskretnie nocnik, toteż nie omieszkałem z niego skorzystać. Potem powoli ubrałem się i dozbroiłem — ktoś pozbierał użytą przeze mnie broń, oczyścił ją i starannie ułożył pod ubraniem. Okazało się, że ubieranie się może być czynnością męczącą i bolesną.

Kiedy skończyłem, rozległo się ciche klaśnięcie po drugiej stronie drzwi.

— Proszę — powiedziałem.

Weszła Alieria.

— Dzień dobry, Vlad — powitała mnie z ulgą. — Jak się czujesz?

— Całkiem dobrze, biorąc pod uwagę, co mi się przydarzyło.

W drzwiach stanął Morrolan — wymieniliśmy uprzejme acz płytkie ukłony.

— Bylibyśmy wcześniej, ale musieliśmy odwiedzić innego pacjenta — wyjaśnił.

— Tak? Kogo?

— Panią, która cię zaatakowała — odparła Alieria.

— To ona żyje?! — Odruchowo przełknąłem ślinę; śmierć przy próbie zabicia celu jest jedną z niewielu okoliczności całkowicie anulujących kontrakt, dlatego miałem nadzieję, że obie są martwe.

— Obie żyją — dodała. — Wskrzesiliśmy je.

— Rozumiem.

To zmieniało sytuację — kontrakt został anulowany, ale wykonawczynie mogły uznać, że należy go wznowić bez dalszych formalności. Miałem nadzieję, że tak nie uznają.

— A właśnie. — Morrolanowi najwyraźniej coś się przypomniało. — Przepraszam cię, Vlad. W sumie to zginąłeś z mojej winy: spowodowałem u tej, która miała noże, takie obrażenia wewnętrzne, że nie powinna być w stanie się ruszyć przed zgonem. Nie przyszło mi do głowy, by ją dalej obserwować, tym bardziej że Ludzie są delikatniejszej budowy niż my.

Skinąłem w zamyśleniu głową.

— Prawdopodobnie jest czarownicą — oceniłem. — Czary są pomocne w tego typu kwestiach... wiesz zresztą o tym. Skończyło się dobrze, więc nie ma o czym mówić. A co z tą drugą?

— Jest doskonałym szermierzem — pochwaliła Alieria. — Nadzwyczajnym, można by nawet rzec. Walczyłyśmy ponad minutę i dwa razy mnie zraniła.

Swoistą ironią losu było to, iż to Alieria, znacznie lepsza w posługiwaniu się magią niż klingą, stoczyła pojedynek szermierczy, a Morrolan, jeden z najlepszych fechtistrzów w Imperium, użył magii. Ponieważ jednak i w tym, w czym byli słabsi, każde miało ponadprzeciętne umiejętności, w sumie nie miało to większego znaczenia.

Pokiwałem głową i spytałem:

— Kiedy to było?

— Ożywił cię, jak tylko tu dotarliśmy — wyjaśniła Alier. — Spałeś przez dwie doby.

— Nie wiem, jak ci dziękować... czy też może Sethrze?... za wskrzeszenie.

— Mnie. I żadne podziękowania nie są potrzebne.

— Ciężko było?

— Najtrudniejsze żywienie, jakie przeprowadziłam — powiedziała po prostu. — Myślałam, że już cię straciliśmy... Już samo uzdrowienie twojego ciała było nie lada wyzwaniem, a wskrzeszenie to był istny koszmar: cztery razy próbowałam, zanim się udało. Spałam potem pół dnia jak zabita.

W tym momencie przypomniałem sobie sen, ale nim zdążyłem się odezwać, Alier dodała:

— Myślę, że teraz powinieneś odpocząć. Spróbuj przez najbliższą dobę leżeć głównie na plecach i nie...

Przypomniałem coś sobie i zaryzykowałem wejście jej w słowo:

— Wybacz, ale... skąd ty i Morrolan tam się wzięliście?

— Morrolan pociągnął mnie za sobą. Jego spytaj.

Spojrzałem, unosząc pytająco brwi.

— Kragar skontaktował się ze mną i wyjaśnił, że potrzebujesz natychmiastowej pomocy, a on nie zna zagrożenia i nie ma nikogo pod ręką. Byłem w tym czasie z Alier, a i tak zdążyliśmy w ostatnim momencie. I jeszcze raz przepraszam za sfuszerowany ratunek.

Machnąłem lekceważąco i zapewniłem go:

— Nie ma sprawy. I coś mi się wydaje, że skorzystam z twojej rady, Alier, i pójdę spać.

— Jesteś głodny? — spytała.

Sprawdziłem stosowną część swojej osoby i przyznałem:

— Trochę. Ale raczej zjem, jak wstanę.

— W porządku, uzgodnię to z Sethrą. Czujesz nudności i zawroty głowy czy zjesz normalny posiłek?

— Czuję się dobrze, tylko jestem zmęczony.

— To świetnie.

Ukloniłem się każdemu z nich i siadłem na łóżku, nim zdążyli wyjść.

„Jesteś tak samo zmęczony jak ja, szefie” — oznajmił Loiosh, ledwie drzwi się zamknęły.

„Fakt. Ale jestem obolały. Bądź cicho przez chwilę.”

Zabrałem się do telepatycznego łapania Kragara, co trwało trochę, ale zakończyło się sukcesem.

„Vlad” — ucieszył się Kragar. „Witamy z powrotem.”

„Dzięki. Miło jest być znowu żywym.”

„Wyobrażam sobie. Alier poinformowała mnie, że zdołali cię ściągnąć w pół drogi, ale zaczynałem się już niepokoić: to było trzy dni temu!

„Wiem. Jak Varg i Świetlik?”  
„Świetlik w porządku: dostał w nerkę, ale ożywiłszy go bez trudu. Vargowi się nie udało, wskrzeszenie nie zadziałało.”  
Zakląłem z uczuciem i dopiero po chwili zmieniłem temat:  
„Jak dochody?”  
„Kapia.”  
„Hmm. . . A ile mamy gotówki?”  
„Dwadzieścia dziewięć tysięcy.”  
„Dobra. Po trzy i pół tysiąca każdemu, kto załatwi Wyrna lub Miraf’na. Tak żeby nie dało się ich wskrzesić. Każdy jest wart trzy i pół tysiąca sztuk złota.”  
„Szefie, będą teraz tak chronieni, że mowy nie ma, żeby. . .”  
„To nie będę musiał płacić. Ale chcę, żeby wiedzieli, że polowanie się zaczęło.”  
„Dobra” — zgodził się niechętnie. „Coś jeszcze?”  
„Tak: wzmocnij ochronę i siedźcie spokojnie. Żadnej akcji, dopóki nie wrócę, ale też nikt nie ma samodzielnie łązić po ulicach. Jasne?”  
„Jasne.”  
„I wydaj tysiąc na wzmocnienie ochrony każdego lokalu. Nie chcę żadnych więcej niespodzianek.”  
„Dobra. Coś jeszcze?”  
„Tak. Dziękuję.”  
„Zawsze do usług.”  
„Skąd wiedziałeś?”  
„Dostałem wiadomość od jednego z tych, z którymi próbujemy się zaprzyjaźnić. Wychodzi na to, że kontrakt zawarto w jednym z pokoiów nad jego tawerną i postanowił nam o tym powiedzieć.”  
„No, proszę! . . . Daj mu dwieście.”  
„Już mu dałem sto pięćdziesiąt.”  
„I starczy. Kragar. . . tuż przed atakiem zniknęli gdzieś wszyscy gwardziści. Nie wierzę w takie przypadki i nie wierzę, że Cesarzowa miała z tym coś wspólnego. . . albo komendant Gwardii. . . Wiesz coś na ten temat?”  
„Tylko to, że zabójcy dostali zapewnienie, że ta sprawa „zostanie załatwiona”.”  
„Mhm. . . Rozumiem. Sprawdź to, na ile zdołasz.”  
„Spróbuję.”  
„Dobrze. I jeszcze jedno: wiesz, kim były te dwie lalunie, które mnie załatwiły? Były dobre: prawie mnie zadźgały, zanim Alieria i Morrolan się zjawili.”  
Nastąpiła niespodziewana przerwa i dopiero potem Kragar spytał z niedowierzaniem:  
„Naprawdę nie wiesz?!”  
„Jakbym wiedział, to bym się nie pytał! A poza tym skąd mam wiedzieć?”

„Z pamięci. Para zabójców płci żeńskiej: Dragaerianka i Człowiek. Jedna używa noży, druga ciężkiego rapiera. Ile jest takich zespołów?”

„Aż... no... skontaktuj się z tobą później, Kragar.”

„Jasne, Vlad.”

\* \* \*

Bezsprzecznie najlepszym zabójcą jest Mario Greymist. Jeśli o mnie chodzi, uważam, że był, jest i będzie, ale nie w tym rzecz. Oprócz niego, a raczej poniżej jego poziomu, ale nadal wśród najlepszych jest kilka osób. Wszystkie mają pewne cechy wspólne: są dobrzy, godni zaufania, wysokopłatni i wzbudzający strach u każdego, kto zamierza zrobić sobie wroga z kogoś nieźle usytuowanego w hierarchii organizacji.

Większość zabójców pracuje samotnie — w końcu morderstwo to nader prywatna sprawa. Istnieje jednak kilka par lub zespołów, bo rozmaicie je nazywają. Jeden z nich zaliczany jest właśnie do grona najlepszych. Słyszałem naturalnie o nich i o ich sukcesach w ciągu ostatnich pięciu lat. Ich dorobek prezentował się imponująco, a sam zespół miał ciekawy skład. Należały bowiem do niego dwie kobiety: Dragaerianka posługująca się ciężkim rapierem z wprawą lorda z Domu Smoka i specjalizująca się w nożach i sztyletach przedstawicielka rasy ludzkiej. Tak się składa, że do Prawej Ręki Jherega należy niewiele kobiet (choć są wśród nich tak wybitne specjalistki jak Kiera Złodziejka). Ta para znana była jako „Miecz i Sztylet Jherega”. Nic nie było wiadomo o ich pochodzeniu ani przeszłości. I nader trudno było się z nimi skontaktować — praktycznie jedynym skutecznym sposobem było puszczenie wieści w miasto i czekanie z nadzieją, że będą zainteresowane i odezwą się.

I jeszcze jedno — najwyższą stawką, jaką mi dotąd zaproponowano, było sześć tysięcy imperiali. Z tego co słyszałem, one nie zaczynały rozmowy od kwoty mniejszej niż osiem tysięcy. Dlatego nawet mi przez myśl nie przeszło, by próbować skorzystać z ich usług, jeśli chodzi o Larisa. Najprawdopodobniej zażądałyby ze dwadzieścia tysięcy, a takiej kwoty nie byłem w stanie zebrać, nie ryzykując wszystkiego. A każdemu może się nie udać, więc takie ryzyko byłoby głupotą. Mnie jak dotąd udawało się zawsze, ale kiedyś będzie pewnie ten pierwszy raz...

Swoją drogą ciekawiło mnie, ile też byłem wart i skąd Laris znalazł na to pieniądze. Przestałem się zastanawiać, gdy dotarło do mnie, że zaczynam się trząść, co było idiotyzmem, jako że zagrożenie minęło i to parę dni temu... chyba żeby obie niewiasty zdecydowały, że nie zaprzestaną prób...

Trzęsło mną dalej.

„Dobrze się czujesz, szefie?” — zaniepokoił się Loiosh.

„Niespecjalnie. Chodźmy na spacer.”

Z pokoju wyszedłem na chłodny, czarny, kamienny korytarz — to na pewno była Góra Dzur. I od razu zorientowałem się, gdzie jestem — w prawo prowadzi do biblioteki, w której pierwszy raz spotkałem Sethrę, w lewo do gościnnych sypialni. Kierowany odruchem poszedłem w lewo. Drzwi znajdowały się w obu ścianach korytarza i żadne niczym się nie wyróżniały. W dodatku nie wiedziałem, czy każdej dano osobny pokój czy wspólny, i w ogóle nie miałem pojęcia, po co chcę się z nimi zobaczyć. Jako zabójca nie miałem o czym z nimi rozmawiać. Jako ofiara mogłem tylko błagać o życie, co by mi przez gardło nie przeszło i byłoby zresztą bezcelowe. . . Sensu to nie miało, ale nie ruszyłem się z miejsca.

„Cóż, chyba przyszła pora na zrobienie czegoś naprawdę głupiego, Loiosh.”

Cicho otworzyłem najbliższe drzwi i zajrzałem.

Była przytomna i spoglądała na mnie. Twarz miała spokojną, a oczy pozbawione wyrazu. Nie ulegało żadnej wątpliwości — tak jak ja była człowiekiem. Jej wzrok przesunął się na moją prawą dłoń i stwierdziłem, że ściskam rękęjęć wiszącego przy pasie sztyletu. Mimo to nie wyglądała na przestraszoną.

Siedziała na łóżku, a jej błękitna nocna koszula ładnie kontrastowała z bielą skóry w świetle pojedynczego świecznika. Miała ciemnobrązowe, prawie czarne włosy i jeszcze ciemniejsze oczy. Koszula z zamierzenia miała skromny krój, ale uszyta była na Dragaeriankę, przez co wycięcie przy szyi sięgało znacznie niżej, pokazując całkiem atrakcyjne szczegóły. Nie okazała śladu zawstydenia, choć musiała poczuć mój wzrok.

Przeniosła spojrzenie z mojej dłoni na twarz i tak przyglądaliśmy się sobie przez długą chwilę. W końcu zmusiłem się do puszczenia rękęjęć sztyletu.

Cholera! To ja tu byłem uzbrojony i niebezpieczny! I nie miałem powodu, by się jej bać. . .

— Masz imię? — spytałem i niewiele brakowało, by głos mi się załamał.

— Mam — odparła miękkim kontraltem.

I cisza.

W końcu dotarło do mnie, że w sumie odpowiedziała na moje pytanie. Jak się zadaje głupie pytania. . .

— Powiesz mi, jak ono brzmi? — spytałem już pewniejszym głosem.

— Nie.

Pokiwałem głową — teraz spodziewałem się podobnej odpowiedzi. Skoro Sztylet Jherega chce pozostać Sztyletem Jherega, proszę bardzo. I tak się dowiem.

Zmieniłem temat:

— Jak twoja partnerka umknęła ataku Loiosha?

— Nie umknęła. Ale wcześniej dałam jej zioła neutralizujące truciznę Jherega, więc go po prostu signorowała.

Czekałem na jakąś uwagę Loiosha w tej sprawie, ale był dziwnie milczący, więc spytałem:

— Ile jest dla ciebie warta moja głowa?

— Nie mówię mężczyznom komplementów. Dużo.

I cały czas mi się przyglądała.

Świece migotały, robiąc rozmaite rzeczy z jej włosami, twarzą, szyją i resztą. . .

Niespodziewanie odezwała się nie pytana:

— Oddałyśmy zapłatę.

Ulżyło mi nie wiedzieć czemu, zupełnie jakby Cesarski Kat się rozmyślił. Wiedziałem, że to okazałem, i skląłem się w duchu.

Ona tymczasem zatrzymała spojrzenie na Loioshu i wyciągnęła rękę. A ta latająca łajza zaczęła się nerwowo wiercić na moim ramieniu!

„Szefie. . .”

„A rób, co chcesz.”

Przeleciał do niej i usiadł na jej nadgarstku, a ona podrapała go pod brodą. Z łuskami, więc znała się na rzeczy.

— Jhereg jest piękny — powiedziała.

— Nazywa się Loiosh.

— Wiem.

— Naturalnie — uśmiechnąłem się półgębkiem. — Musiałaś zebrać o mnie całkiem sporo informacji.

— Jak widać za mało. Tak przy okazji: jak Alieria i Morrolan się o wszystkim dowiedzieli?

— Wiesz, coś mi się słuch pogorszył. . . mówiłaś coś?

Skinęła głową, jakby czegoś takiego się spodziewała.

— Masz. . . talent do sprawiania, że przeciwnicy cię nie doceniają — powiedziała.

— Serdeczne dzięki. Jednak mówisz mężczyznom komplementy.

Wszedłem do pokoju, pozwalając, by drzwi zamknęły się za mną. I starannie pilnując, by wyglądało to całkiem naturalnie, podszedłem do łóżka i usiadłem na jego brzegu.

— I co dalej? — spytałem.

Wzruszyła ramionami, co było naprawdę godne obejrzenia z bliska.

— Nie wiem. Morrolan i Alieria próbowali wysondować mnie telepatycznie.

Nie bardzo im wyszło, więc nie wiem, czego teraz spróbują. Ty wiesz?

Z lekka mną wstrząsnęło.

— Czego próbowali się dowiedzieć? — spytałem.

— Kto nas wynajął.

Roześmiałem się szczerze.



— Wystarczyło mnie zapytać. Nie martw się. Niczego nie spróbują. W sumie to nie są tacy źli. Jak na Dragaerian z Domu Smoka.

Uśmiechnęła się ironicznie:

— A jakby co to mnie obronisz, tak?

— Pewnie. Zresztą dlaczego nie. Oddałyście pieniądze, choć nie musiałyście, ale to najlepszy dowód, że nie będziecie próbowały ponownie mnie załatwić, więc sprawa zakończona. Poza tym my, ludzie, powinniśmy się trzymać razem, nie sądzisz?

Tym razem ją trafiłem — opuściła wzrok.

— Nigdy wcześniej nie wzięłam „roboty”, której celem był człowiek — przyznała. — Też prawie też nie wzięłyśmy, ale...

Wymownie wzruszyła ramionami.

Zacząłem się poważnie zastanawiać, jak by tu ją skłonić do częstszego powtarzania tej czynności.

— Cieszę się, że Alera jest taka dobra w ożywianiu — mruknąłem.

— Ja chyba też.

— To dobrze dla nas obojga — dodałem.

I powiedziałem to szczerze.

Przyjrzała mi się uważnie. A czas zaczął wyczyniać różne dziwne rzeczy... Jeżeli rozegrałem to uczciwie, to nadszedł najważniejszy moment, by ją pocałować...

Więc pocałowałem.

Loioosh odleciał z jej ręki, gdy nasze usta się spotkały.

Nie był to namiętny pocałunek, ale stwierdziłem, że zamknąłem oczy. Dziwne.

Nadal mi się uważnie przyglądała, jakby naprawdę mogła wyczytać coś z mojej twarzy. A potem powiedziała powoli i bardzo wyraźnie:

— Mam na imię Cawti.

Przytaknąłem i nasze usta ponownie się spotkały.

Tym razem objęła mnie za szyję.

Kiedy zrobiliśmy przerwę dla nabrania oddechu, delikatnie zsunąłem jej z ramion nocną koszulę. Wycięcie miała takie, że zjechała jej do bioder. Cawti uwolniła ręce z rękawów i zajęła się zapięciem mojej peleryny...

Było to czyste wariactwo i idiotyzm — miałem tylko jej słowo, że zrezygnowały, a dawałem jej idealną okazję do ukatrupienia siebie. I to na dodatek którymś z moich własnych noży! Chyba do reszty postradałem rozum.

Płaszcz opadł na podłogę... pomogła mi zdjąć kaftan... a z butami i pończochami poradziłem sobie samodzielnie i padliśmy razem na łóżko. Wrażenie jej drobnego, ale sprężystego ciała przy moim, jej piersi na moich i jej oddechu na moim uchu... nigdy nie doświadczyłem niczego podobnego i chciałem, by to trwało wiecznie. I wcale nie musiało następować nic więcej...

Moje ciało miało jednak własne priorytety i nie omieszczało mnie o tym poinformować. Zacząłem gładzić jej plecy, schodząc coraz niżej. . . Pocałowała mnie i tym razem zrobiliśmy to na serio — jej język miał miły smak. Przesunąłem ustami w dół jej szyi, potem między piersiami, potem po samych piersiach i wróciłem do ust. Zaczęła się mocować z zapęciem moich spodni, ale przeszkodziłem jej, łapiąc ją prawą dłonią za pośladki i mocno przyciskając do siebie.

Odsunęliśmy się od siebie i spojrzeliśmy sobie w oczy z pełnym zrozumieniem. A potem wyrzuciłem Loiosha z pokoju, miłość bowiem, podobnie jak mord, nie powinna mieć świadków.

## Rozdział ósmy

*„Zostanę i posprzątam krew”*

Smutne, ale prawdziwe jest, iż człowieka rzadko tak naprawdę cieszy świadomość, że żyje, kiedy się budzi. Może jeszcze nie dotarłem do tego etapu, za to osiągnąłem ten, w którym drugą myślą zaczęło być nieodmiennie: „Wiem, że żyję, bo mnie boli jak cholera”.

Bok przeбитý rapierem był gorący i bolał, okolice nerki swędziały, piekły i bolały. W brzuchu ćmiło i szczypało — ot, wrak zabójcy. Jęknąłem, ocknąłem się i zdałem sobie sprawę, że na korytarzu za drzwiami słyszeć głosy.

Obejmowałem jednym ramieniem Cawti, której głowa leżała na moich piersiach, i było to miłe, ale tym razem ciekawość wzięła górę. Ostrożnie wyplątałem się z uścisku i z pościeli, nie budząc śpiącej, i równie ostrożnie ubrałem się, dbając o zachowanie ciszy.

Głosy stawały się coraz wyraźniejsze i bez trudu rozpoznałem należący do Aliery, choć nie byłem w stanie zrozumieć, co konkretnie mówiła. Otworzyłem cicho drzwi, wyszedłem na korytarz i zamknąłem je za sobą delikatnie. Głosy dochodziły z biblioteki, więc poszedłem w tamtym kierunku pograżonym w półmroku i chłodzie korytarzem. Przypomniała mi się pierwsza wizyta w tych podziemiach i wstrząsnął mną dreszcz. Drugi głos należał do Morrolana i w miarę jak zbliżałem się do biblioteki, rozumiałem go coraz lepiej:

— ... może być prawda, ale to i tak nie zmienia faktu, że to nie nasza sprawa.

— Nie nasza? To w takim razie czyja? Jak... o, widzisz? Obudziłeś mi pacjenta.

— Nie szkodzi — skontrolował Morrolan, witając mnie skinieniem głowy. — Dawno nie słyszał jałowej dyskusji, więc będzie miał okazję. Poza tym wyczerpujesz moją cierpliwość.

Biblioteka była długa, słabo oświetlona i pełna książek, ale znajdowało się w niej też sporo foteli, naturalnie z czarnej skóry. Żaden nie był zajęty, bo dyskusja doszła już do granicy kłótni i oboje stali naprzeciwko siebie. Morrolan z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, Alera ujmując się pod boki. Kiedy się do mnie odwróciła, zauważyłem, że jej normalnie zielone oczy stały się już błękitne — była

to równie wyraźna oznaka niebezpieczeństwa co zeszywnienie szyi smoka. Znalazłem wygodny fotel i usiadłem — zapowiadała się naprawdę ucziwa awantura. A dobra awantura musi potrwać, toteż najlepiej oglądać ją na siedząco.

Aliera prychnęła i ponownie skupiła uwagę na kuzynie:

— Twoja wina, że nie dostrzegasz oczywistego! — oznajmiła. — W czym problem? Nie jest to dla ciebie wystarczająco subtelne?

— Gdyby było cokolwiek do zauważenia, na pewno bym zauważył to przed tobą.

— Gdybyś miał tyle honoru co teckla, byłbyś w stanie zobaczyć to równie wyraźnie jak ja.

— A gdybyś ty miała bystry wzrok teckli, mogłabyś rozróżnić, co nas dotyczy, a co nie.

Aliera z lekka zatrzęsło.

— A mógłbyś mi uprzejmie wyjaśnić, dlaczego niby ma to nas nie dotyczyć? — spytała jadownicę. — Smok to Smok. Tylko że ten Smok jest Jheregiem i chcę się dowiedzieć dlaczego. Dziwi mnie, dlaczego ty nie chcesz.

Morrolan kiwnął głową w moją stronę.

— Poznałaś zastępcę Vlada, prawda? Kragar też jest Smokiem i...

— Ta glista? — przerwała mu pogardliwie. — Doskonale wiesz, że został wyrzucony z Domu Smoka!

— Ona być może też...

— Jeżeli tak, to chcę się dowiedzieć za co i kiedy.

— To dlaczego jej po prostu nie zapytasz?

— Bo mi tego nigdy nie powie, o czym doskonale wiesz. Nawet nie przyzna się, że jest Smokiem, a co dopiero...

Morrolan prychnął i zmienił taktykę:

— Przyznaj, że głównie chodzi ci o znalezienie innego kandydata na następcę tronu.

— I co z tego? Co to ma wspólnego z...

— A może powinniśmy zapytać Sethrę? — spytał niespodziewanie.

Urwała w pół zdania, przekrzywiła głowę i zastanowiła się.

— Taaak... doskonały pomysł — zgodziła się. — Może zdoła ci wbić do głowy odrobinę zdrowego rozsądku.

Zignorował to.

— W takim razie chodźmy do niej — zaproponował i dodał pod moim adresem: — To długo nie potrwa.

— Dobra. Zostanę i posprzątam krew.

— Co?!

— Nic. Macie, to idźcie.

Zniknęli.

A ja powoli wstałem i wróciłem do pokoju Cawti, wymawiając po drodze jej imię na różne sposoby, tyle że w myślach: Cawtiii, Caaawti, Cawwwtii... dobre, wschodnie ludzkie imię. Złapałem za klamkę, opamiętałem się i klasnąłem cicho.

— Kto tam? — dobiegło mnie zza drzwi.

— Twoja ofiara.

— Która?

— Jeszcze niedoszła.

— Wejdz... na własne ryzyko.

Wszedłem.

— Dzień dobry.

— Mhm.

— Zorientowałem się, że mnie jednak nie zabiłaś ostatniej nocy.

— Zabiłam. Sześć razy — odparła rzeczowo. — Ale coś mi się pokiełbało i wskrzesiłam cię siódmy raz.

Usiadłem na brzegu łóżka. Naturalnie nie ubrała się, co dość skutecznie mnie rozpraszało.

— Cholera, ta skleroza mnie zabije — przyznałem samokrytycznie.

— Ty też mogłeś mnie zabić — powiedziała zupełnie poważnie.

— Mogłem — przyznałem równie poważnie. — Ale tego nie zrobiłem. I nie miałem zamiaru. Jeszcze za mało o tobie wiem.

— Cóż, wierzę ci na słowo — roześmiała się cicho.

Śmiech też miała miły — jak wzruszanie ramionami.

Powinna to robić częściej — będę musiał nad tym popracować... Świeca zaczęła przygasać, więc poszukałem nowej. Znalazłem kilka i zapaliłem wszystkie. Po czym wróciłem do łóżka i poklepałem ją lekko, żeby się przesunęła. Odsunęła się do ściany, robiąc mi miejsce. Położyłem się, a ona oparła głowę na moim ramieniu.

Zapadła miła dla ucha cisza.

I sam ją po paru minutach przerwałem:

— Właśnie usłyszałem interesującą rozmowę.

— Tak?

— Dotyczącą twojej partnerki.

To przyciągnęło jej uwagę.

— Co usłyszałeś? — spytała nieco nerwowo.

Streściłem rozmowę. Odsunęła się trochę i wsparła na łokciu, obserwując mnie, gdy mówiłem. Widać było, że słucha z uwagą. I też ładnie przy tym wyglądała. Zakończyłem pytaniem:

— Ona rzeczywiście jest lady z Domu Smoka?

Cawti potrząsnęła głową:

— To nie mój sekret, nie ja mogę go zdradzić.

— Dobrze, ale to ty wyglądasz na zmartwioną i zaniepokojoną.

Uśmiechnęła się i wróciła do pozycji wyjściowej, czyli ułożyła głowę na moim ramieniu.

— Jak na zabójcę, jest pan niezwykle wrażliwy, baronecie Taltos.

— Po pierwsze nie jestem zabójcą: nasłuchiwałeś się pani za wiele plotek i przeczytałeś zbyt wiele romansów. Po drugie to samo dotyczy ciebie, tylko podwójnie. Po trzecie może byśmy wreszcie skończyli z tym zbędnym formalizmem i tytułarystem?

Zachichotała.

— Jak sobie życzysz, Vlad. Vladimir... Vlaadimir... Vladiimir... Podobają mi się. Porządne wschodnie imię, jak na człowieka przystało.

— Szlag... pomóż mi z tym kaftanem, co?... tylko uważaj i się nie skalecz...

\* \* \*

Jakiś czas później, korzystając z chwili bezruchu, stwierdziłem:

— Alera i Morrolan sprawdzą ją i dojdą prawdy.

— Nic nie znajdą.

— Nie wierz w to. Są pomysłowi i uparci, już nie raz mnie zaskoczyli.

— No no no, i kto to mówi? Należy się mieć na baczności, drogi Vladimirze.

Ugryzłem się w język i odpowiedziałem spokojnie:

— Mówię poważnie. Nie musisz mi wyjawiać, kim ona jest i całej reszty, ale zastanów się nad tym, co ci powiedziałem, i nad ewentualnymi konsekwencjami dla niej. Pozostajecie w kontakcie?

— Naturalnie.

— To ją ostrzeż.

— Dlaczego ci na tym tak zależy?

— Co?... A, nie wiem, prawdę mówiąc. Pewnie dlatego, że dla mnie wciąż jest Jheregiem. Nie stanowicie już zagrożenia, więc odruchowo myślę o was jako o swoich... Alera i Morrolan często w imię dobrych intencji potrafią tak namieszać, że strach pomyśleć. Głównie Alera...

— Mhm...

Wzruszyłem ramionami, przez co jej głowa odbiła się od mojej piersi. Zachichotała ponownie, a mnie rozbroił absurd całej sytuacji — chichoczący zabójca...

Zdecydowałem, że najwyższa pora się wynieść, i usiadłem.

— Idę sprawdzić, co wymyślili gospodarze — poinformowałem ją.

— Słuchaj no, kochanie, co cię tak naprawdę gryzie?

— Jak mnie nazwałeś?

Też usiadła, ignorując fakt, iż daje w ten sposób światu okazję podziwiać się do pasa nago.

— Tylko nie zaczynaj mnie kołować głupimi pytaniami, kanciarzu. Wystarczy, że oszukujesz sam siebie.

— Pytałem, jak mnie nazwałaś.

— Kanciarzem.

— Przyganiał kocioł garnkowi. Wcześniej jak?

— Vladimir. . .

— Dość. Wynoszę się, nim zwariuje!

Ubrałem się pospiesznie i wyszedłem, koncentrując resztki woli, by na nią nie patrzeć. I wróciłem do siebie, gdzie padłem jak długi na łóżko. Loiosh zjechał mnie za to, że go opuszczam (i miał rację), więc chwilę trwało, nim uspokoiło się na tyle, żebym był w stanie nawiązać kontakt telepatyczny z Kragarem.

„Co nowego?” — zagailem.

„Mam nowiny o Gwardii. Nie zostali wycofani jedynie z sąsiedztwa miejsca zamachu, ale w ogóle z całego terenu. I już nie wrócili.”

„Ślicznie. To znaczy miło, że nie wrócili, ale niepokoi mnie ten zbieg czasowy. To nie był przypadek, Kragar. Masz jakieś pomysły?”

„Nie.”

„Szkoda. Dobra, weźmy się do czegoś innego: chcę, żebyś się czegoś dowiedział.”

„Czego?”

„Wszystkiego, czego zdołasz, o Mieczu Jherega.”

„To, mam nadzieję, żart?”

„To przestań mieć głupie nadzieje.”

„W porządku. Skontaktuj się za parę lat. Jakim cudem mam. . .”

„Była kiedyś lordem czy lady w Domu Smoka. Najprawdopodobniej ją wyrzucono.”

„Pięknie. Mam próbować przekupić archiwistę w Domu Smoka czy Lyorna?”

„W Domu Lyorna będzie bezpieczniej, choć w Domu Smoka szybciej.”

„To była ironia!”

„Wiem. Nie trafiona.”

Rozległo się telepatyczne westchnienie.

„Zobaczę, co da się zrobić, Vlad. A mógłbyś mi powiedzieć, po co ci te informacje?”

No i tu zaczynała się dyplomacja, czyli kant, bo nie mogłem mu powiedzieć, że się zabijałem we własnym zabójcy.

„Sam się domyślisz, jak się tylko trochę postarasz. Dlaczego mam ci zawsze ułatwiać życie?”

Zapadła dłuższa cisza, a potem Kragar przedstawił efekty swojej pracy koncepcyjnej:

„Chcesz sprawdzić, czy w jej przeszłości nie było czegoś, co dałoby się wyprostować. Gdybyś zdołał oczyścić jej imię, byłaby ci winna wdzięczność i dałoby się ją napuścić na Larisa. I to w dodatku za darmo. Sprytnie!”

Faktycznie było sprytnie.

„Widzisz, jaki potrafisz być zdolny, jak musisz? Teraz bierz się do pracy.”

Obiecałem sobie dać mu premię, jeśli mu się uda, i przeciągnąłem się. Potrzebowałem snu. I musiałem zapanować nad własnymi uczuciami.

\* \* \*

Pierwsze co zarejestrowałem po przebudzeniu to to, że bok i plecy bolą mnie znacznie mniej, a brzuch prawie wcale. Poza tym czułem się wypoczęty. Leżałem tak długą chwilę, po prostu oddychając i czerpiąc z tego radość, nim zmusiłem się do wstania. Teraz poczułem się także brudny, bo spałem w ubraniu. Rozebrałem się, odkryłem w rogu wannę z wodą, podgrzałem ją prostym czarem i umyłem się. A potem zdołałem na tyle zapomnieć o Cawti, by zacząć myśleć o prawdziwym problemie, czyli o Larisie.

Pomysł Kragara nie był zły, ale jego skuteczność zależała od zbyt wielu czynników, nad którymi nie miałem kontroli. Mimo wszystko wart był sprawdzenia. Tak samo jak sprawdzenie, dlaczego Gwardia Feniksa wybrała sobie ten, a nie inny moment na opuszczenie mojego terenu (i terenu Larisa na pewno także). Należało dowiedzieć się, jak coś takiego można zorganizować i kto wydał stosowne rozkazy.

Przetarłem oczy i skłamałem się w duchu: to ostatnie mogłem sprawdzić już dawno temu, gdybym był w stanie myśleć głową, a nie. . .

Skoncentrowałem się na pewnym przedstawicielu Domu Tsaltho, zatrudnionym przez Morrolana, a podległym bezpośrednio mnie, i po paru sekundach usłyszałem nieco zaskoczoną myśl Fentora:

„Kto to?!”

„Vlad.”

„A! Słucham, milordzie?”

„Potrzebuję pewnych informacji. . .” — zacząłem i wyjaśniłem, o co chodzi i co ma sprawdzić.

Potem dokończyłem kąpiel, gawędząc sobie z Loiošem, wyszedłem z wanny i przyjrzałem się z niejakim obrzydzeniem własnemu ubraniu leżącemu na podłodze.

„Sprawdź krzesło przy łóżku” — poradził Loiosh niespodziewanie.

„Eee?”



Sprawdziłem i uśmiechnąłem się — Alera okazała się przewidująca. Włożyłem świeże ubranie i wyszedłem na korytarz z Loioshem na ramieniu. Zaczynało wyglądać na dobry początek dnia, toteż różnym krokiem skierowałem się do biblioteki. Okazała się pusta, więc wdrapałem się po schodach na piętro, gdzie znajdowała się jadalnia i rozmaite salony.

Należało sprawdzić, czy da się uzyskać więcej informacji od tego, który uprzedził Kragara o zamachu. To, że z tego właśnie źródła przyszło ostrzeżenie, było dobrym znakiem, gdyż moim największym problemem był nadal brak informacji. Miałem ochotę skontaktować się z Kragarem i polecić mu, żeby nad tym popracował, ale zdecydowałem się tego nie robić — skoro musiał się chwilowo zajmować wszystkim, bo ja jeszcze nie doszedłem do pełni sił, więc lepiej, żebym się w mieście nie pokazywał, nie należało zwać mu zbyt wiele na głowę.

W pierwszym salonie znalazłem Morrolana, Alierę i Sethrę Lavode. Była jak zwykle wysoka, blada, nieco wampiryczna i tajemnicza. Słyszałem, że jej wiek oceniano na dziesięć do dwudziestu tysięcy lat, co jest niezłym fragmentem istnienia Imperium. Ubierała się w czerń i otaczała czernią — barwą magii. Żyła w Górze Dzur, być może była Górą Dzur, jako że zawsze mieszkał tu albo ktoś z jej rodziny, albo ona sama. Góra Dzur była sama z siebie tajemnicą, której ktoś taki jak ja nie zdołałby pojąć. Być może to samo dotyczyło Sethry.

Rysy twarzy miała takie jak typowy przedstawiciel Domu Smoka, choć stopień skośności oczu i ostrości uszu nasuwał także skojarzenie z Domem Dzura. Plotka głosiła, że była półkrwi Dzurem, ale wątpiłem w to.

Dla Sethry bardziej niż dla jakiegokolwiek innego Dragaerianina życie człowieka było mgnieniem. Może dlatego była do mnie tak tolerancyjnie nastawiona. . . Tolerancja Morrolana wynikała z jego długiego przebywania na Wschodzie w czasach Bezkrólewia. Był młody, to i szybko się uczył. Powodów tolerancji Aliery jak dotąd nie byłem w stanie rozgryźć — robocza hipoteza głosiła, że wynikała ona z uprzejmości względem Morrolana.

Większość Dragaerian słyszała o Sethrze, ale spotkało ją niewielu. W nieregularnych okresach czasu za to z nużącym uporem uważano ją na pewno za bohaterkę albo zło wcielone. W tym drugim przypadku zawsze znalazł się jakiś bohaterski przygłup wyobrażający sobie, że zdoła ją zniszczyć, i oblegający bez sensu Górę Dzur. Zmieniała takiego, po rozbiciu jego wojsk, w jhegaalę czy inną yendi i odsyłała do domu. Powiedziałem jej kiedyś, że zrobienie z kogoś żaby czy żmii piaskowej nic nie da, ale jedynie się uśmiechnęła. Sethra była kiedyś Warlordem Imperium (było to w czasach, kiedy jeszcze w pełni żyła) oraz Kapitanem formacji zwanej Lavode (kiedy jeszcze istnieli Lavode). Prawie zawsze miała przy sobie długi sztylet — albo krótki rapier, jak kto woli — zwany Iceflame. Było to coś w rodzaju kieszonkowego wydania Góry Dzur, przynajmniej dla mnie. Zbyt mało o tym wiedziałem, ale wystarczająco dużo, by widok jego wyjętego z pochwy ostrza powodował u mnie silną chęć jak najszybszego znalezienia się gdzie

indziej.

Ukloniłem się każdemu z nich i powiedziałem z przekonaniem:

— Dzięki za gościnę i schronienie, Sethro.

— Żaden kłopot, Vlad. Lubię twoje towarzystwo i cieszy mnie, że szybko wracasz do zdrowia.

— Mnie też — przyznałem siadając i spytałem po chwili: — Co też tak dostojni przedstawiciele Domu Smoka mogą mi powiedzieć o Gwardii Feniksa?

Morrolan uniósł pytająco brew i odpowiedział pytaniem:

— A co pragniesz wiedzieć? Czyżbyś chciał się zaciągnąć?

— A mogę?

— Obawiam się, że w tym wypadku przynależność do rasy ludzkiej skutecznie ci to uniemożliwia — przyznał.

— Ale przynależność do Domu Jherega nie?

Zaskoczyłem go, bo spojrzał pytająco na Alierę.

— Jhereg może wstąpić do Gwardii, jeśli będzie chciał — odparła. — Jeśli się nie mylę, było nawet kilka takich przypadków, choć naturalnie nie w oddziałach liniowych. Przeważnie byli to ci, którzy kupili tytuł w Domu Jherega.

— Aha — mruknąłem nieco zaskoczony. — Więc do Gwardii nie należą wyłącznie Smoki?

— Skądże — zdziwiła się Alierka. — Choć Gwardia w większości składa się ze Smoków, gdyż wszyscy członkowie naszego domu muszą w niej odsłużyć określony czas. Natomiast spotkać w jej szeregach można przedstawicieli wszystkich domów — poza dwoma. Członków Domu Athyry nigdy to nie interesowało, a Dom Feniksa zawsze jest zbyt nieliczny.

— Mhm... założmy, że jakiś pułkownik z Domu Smoka służy w Gwardii. Zachowa swój tytuł i funkcję?

— Nie — tym razem odpowiedziała Sethra. — Stopień w Gwardii nie ma nic wspólnego ze stopniami w innych formacjach. Twój pułkownik mógłby służyć jako zwykły gwardzista pod swoim żołnierzem z prywatnej armii, do której normalnie obaj należą.

— Rozumiem. Czy to nie powoduje problemów?

— Nie — odparła Alierka.

— Skąd to nagle zainteresowanie Gwardią, Vlad? — zaciekała się Sethra.

— Stąd, że Gwardia pilnująca przestrzegania cesarskiego edyktu na moim terenie była uprzejma zaprzestać tego tuż przed atakiem naszych uroczych przyjaciółek na mnie. Nie wierzę w takie zbiegi okoliczności!

Spojrzeli na siebie zaskoczeni.

— To faktycznie zadziwiający przypadek — przyznała Sethra. — Ale nie widzę innego powodu.

— Kto mógłby wydać Gwardii taki rozkaz? — spytałem. — Cesarzowa? Komendant? Dowódca oddziału patrolującego teren?

— Wysłała ich Cesarzowa, więc tylko ona mogła wydać rozkaz odwołujący ich z tego zadania — wyjaśniła Alera.

Morrolan przytaknął bez słowa.

— No dobrze. Nie sądzę, by zrobiła to celowo, aby mnie wystawić, czy też była świadomie w jakikolwiek sposób w to wplątana. Dobrze sądzę?

Odpowiedziały mi trzy zgodne kiwnięcia potwierdzające.

— W takim razie, czy istnieje ktoś, kogo sugestii w stylu „teraz jest dobry czas, żeby to zrobić” wysłuchałaby i szybko by zgodnie z nią postąpiła?

Sethra i Alera spojrzały na Morrolana bywającego znacznie częściej niż one na dworze. Morrolan pobębnił chwilę palcami po poręczy fotela.

— Jej kochanek — odparł — jest ponoć człowiekiem. Co prawda nigdy go nie spotkałem, ale on mógłby mieć na nią taki wpływ. Doradców rzadko kiedy słucha. Za to słucha mnie, ale istnieje możliwość, że tylko tak mi się wydaje. Żeby nie było wątpliwości: nie sugerowałem jej niczego podobnego. Poza tym poważnie traktuje Sethrę Młodszą, ale ta z kolei nie interesuje się niczym poza planami inwazji na Wschód.

Sethra Lavode pokiwała głową.

— Dobrze jest mieć ambicje — oceniła. — Sethra Młodsza to jedyna uczennica, jaką miałam, która nigdy nie próbowała mnie zabić.

— Nikt więcej nie przychodzi ci do głowy? — spytałem Morrolana.

— Na poczekaniu nie.

— Dobrze. W takim razie, co mogło spowodować taką reakcję? — nie ustąpiłem. — Sfałszowana wiadomość podpisana przez kogoś, do kogo ma zaufanie?

— Kto męczyłby się z pisaniem wiadomości, mogąc skontaktować się z nią telepatycznie? — spytał uprzejmie Morrolan.

— Ktoś, z kim nieczęsto rozmawia. Do samej Cesarzowej pewnie trudno się dopchać, więc...

— Nietrudno — przerwała mi nieco zaskoczona Alera.

— Jak to nietrudno?! — Tym razem to ja zostałem zaskoczony i to bardziej niż inni.

— Oczywiście, że nietrudno. Każdy obywatel może nawiązać telepatyczny kontakt z Zeriką poprzez więź łączącą go z Kulą. Nie wiedziałeś o tym?

— Skądże... ale to... przecież tysiące osób...

— Nie bardzo — przerwała mi Alera. — Istnieje bowiem jeden warunek: jeśli Cesarzowa zdecyduje, że kontaktujący się po prostu marnuje jej czas, niszczy go przy użyciu magii. To, jak możesz sobie wyobrazić, znacznie ogranicza liczbę chętnych do pogawędek.

— Aha... mój tatuś jakoś nigdy nie uznał za stosowne wspomnieć mi o tym... Pewnie bał się, że mogę spróbować. No dobrze, dalej nie wiem, kto lub co mogło skłonić ją do wycofania Gwardii. Morrolan, jesteś częstym i szanowanym gościem na dworze, mógłbyś spróbować się dowiedzieć?

— Nie — oznajmił zwięźle. — Jak ci już powiedziałem, nie będę się mieszał ani bezpośrednio, ani pośrednio w wojnę między Jheregami.

— Cóż, twoja wola. . .

Z przyjemnością zauważyłem, że Alera posłała mu pełne niesmaku spojrzenie.

A w następnej sekundzie uświadomiłem sobie, że najprościej byłoby po prostu stworzyć sytuację, która zmusiłaby Cesarzową do takiego zachowania. Jakieś zamieszki albo groźbę inwazji czy coś podobnego. A to już było stosunkowo łatwo sprawdzić, toteż nie zwlekając, do tego się zabrałem.

„Kragar.”

„Słucham, Vlad.”

„Sprawdź, czy w mieście nie wydarzyło się coś, co wymagałoby natychmiastowej interwencji Gwardii na krótko przed atakiem na mnie.”

„Doskonały pomysł, szefie.”

„Za to właśnie tyle sobie płacę.”

Następnie skontaktowałem się z Fentorem i poleciłem mu sprawdzić, czy nie wystąpiły wówczas jakieś wewnętrzne zagrożenia. Przy szczęściu powinienem w ciągu doby wiedzieć co, a potem pozostało już tylko odkrycie kto. Mając ten problem z głowy, skupiłem uwagę na otoczeniu i stwierdziłem, że Alera i Sethra pogrążone są w poważnej dyskusji.

— Oczywiście — stwierdziła Sethra. — Jeśli o mnie chodzi, uważam, że można jej na to spokojnie pozwolić.

Alera zmarszczyła brwi z dezaprobatą.

— Dopiero stajemy na nogi — zaoponowała. — Nie możemy wysłać na Wschód kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy, dopóki nie będziemy mieli pewności, że Imperium jest stabilne.

— O co im chodzi? — spytałem Morrolana.

— Przez przypadek sprowokowałeś powrót do starej dyskusji — wyjaśnił. — Alera jest przeciwna planom inwazji na Wschód, dopóki Imperium nie stanie się stabilne. Sethra Młodsza uważa, że to właśnie przyspieszy jego stabilizację. Nasza Sethra zaś sądzi, że nie ma nic złego w tym, by pozwolić jej imiennicze spróbować. Ludzie wyrzucą nas po kilkuset latach tak jak zawsze i nikomu to na dobrą sprawę nie zaszkodzi. To zresztą główny powód, dla którego Kieron Zdobywca pozostawił ich na Wschodzie: musimy mieć z kim walczyć, bo inaczej zaczniemy walczyć sami ze sobą, co będzie końcem Imperium.

Cisnęło mi się na usta kilka komentarzy, ale dałem sobie spokój.

— Nie w tym rzecz — sprzeciwiła się Alera. — Jeżeli ta wojna poważnie nadwątlili nasze siły, co będzie, jeśli pojawi się prawdziwy wróg? Ludzie w tej chwili nie stanowią dla nas zagrożenia. . .

— Jaki prawdziwy wróg? — przerwała jej Sethra. — Nie ma. . .

Wstałem i wyszedłem. Na ten temat mogli się spierać do woli — cała dyskusja w niczym nie zmieniała mojej sytuacji, toteż szkoda było czasu na przysłuchiwanie się jej.

## Rozdział dziewiąty

*„Sądzę, że chcę się z tobą zobaczyć”*

Wróciłem do mojego pokoju i zdecydowałem, że mam ochotę zobaczyć Cawti i że perspektywa wieczornego posiłku z Sethra, Morrolanem i Alera także jest miła. Dotarło do mnie, że mogłoby mi tu być całkiem wygodnie, podczas gdy Kragar kierowałby interesami. Czyli mówiąc inaczej: mogłem sobie wygodnie czekać, aż wszystko, co stworzyłem, szlag trafi. Nie chodziło o to, że Kragar jest niekompetentny, ale po prostu nie nadawał się do samodzielnego działania na takim stanowisku. A mnie nie było w biurze już cztery dni...

Postanowiłem temu zaradzić.

„Alera?”

Po parunastu sekundach nadeszła odpowiedź:

„Słucham, Vlad?”

„Coś się wydarzyło i muszę zaraz wrócić do biura. Przekaż proszę moje przeprosiny Sethrze i Morrolanowi.”

„Jak sobie życzysz. Tylko się nie przemęczaj.”

„Ani mi to w głowie.”

„Pomóc ci w teleportacji?”

„Gdybyś była tak uprzejma.”

„W porządku, zaraz się zjawię” — dokończyła już na głos, stając przede mną.

Dla efektu Alera gotowa jest na naprawę wiele. Posłałem jej obraz alejki za szeregiem budynków stojących przy Malak Circle i spróbowałem sprecyzować, gdzie znajduje się ten rejon w stosunku do znanych jej dzielnic. Po paru sekundach skinęła potakująco i spytała:

— Jesteś gotów?

— Jestem.

Wszystko się skręciło, w żołądku mi zaburczało i znalazłem się na miejscu. Mogłem za cel teleportu wybrać własny próg, ale chciałem wpierw rozejrzeć się po sąsiedztwie i dać żołądkowi czas na uspokojenie się.

Samotny spacer nie był wcale tak ryzykowny, jak mógłby się wydawać. Po pierwsze nikt nie wiedział, że wróciłem, a po drugie jedynym sposobem, by

mnie w takich warunkach zaatakować, było ustawienie zabójcy praktycznie przed drzwiami biura i liczenie na szczęście. Nigdy nie robiłem niczego podobnego, ale dość dokładnie zdawałem sobie sprawę z ryzyka związanego z takim postępowaniem. Im dłużej zabójca sterczałby w okolicy, tym większa była szansa, że ktoś go zidentyfikuje jako wykonawcę „roboty”, gdyby w końcu do niej doszło. Płacenie komuś za podjęcie takiego ryzyka mogło okazać się droższe od wynajęcia Miecza i Sztyletu Jherega. Dlatego niespecjalnie się martwiłem tą możliwością.

Sąsiedztwo wyglądało na przygnębione albo przytłumione. Co prawda było wczesne popołudnie, a okolica ożywiała się tak naprawdę dopiero po zmroku, ale mimo to było za cicho i za spokojnie. Jeżeli się dobrze zna jakąś dzielnicę, wyczuwa się takie rzeczy, choć nader trudno jest je opisać czy uzasadnić. Ogólnie rzecz biorąc, było za cicho i za szaro, jakby wszyscy mówili nieco ciszej niż zwykle i ubierali się nieco mniej barwnie niż zwykle. Nastrój przygnębienia, a nie nadziei — znałem tę okolicę aż za dobrze, by wiedzieć, że się nie mylę, i nie musiałem rozmawiać z Kragarem, by wiedzieć, że interesy nie wróciły do normy. A to oznaczało ciekawe odkrycie: Laris nie martwił się o pieniądze.

„Uwaga, szefie.”

Ostrzeżenie Loiosha uruchomiło odruchy — padłem, przetoczyłem się w prawo i poderwałem w półprzysiadzie, sięgając po shurikeny. Z obu stron zbliżało się do mnie dwóch jegomościów ze sztyletami. Laris robił się naprawdę rozrzutny. Loiosh wystartował z sykiem i pomknął ku twarzy jednego, a drugi zwałił się z trzema shurikenami w ciele.

Zerwałem się na nogi i rozejrzałem — żadnego więcej napastnika nie dostrzegłem, więc postanowiłem się zająć tym, którego blokował Loiosh. Nie zdążyłem — nagle zacharczał i osunął się na ziemię. Za nim stał N'aal z zakrwawionym sztyletem. Obok niego Chimov także z nożem w dłoni rozglądał się zaskoczony.

— Szef?! — zdziwił się N'aal.

— Nie, Kieron Zdobywca! — warknąłem. — Czy ktoś mógłby mi, do cholery, wytłumaczyć, co się tu wyrabia? Jakim prawem te dwa dupki sterczały na moim progu w samym środku dnia, do nagłej i niespodziewanej...

Chimov jedynie wzruszył ramionami.

A N'aal odparł szczerze, odbierając mi dar wymowy:

— Pewnie czekali na pana, szefie.

Słumiłem żądzę mordy i wpadłem do środka. Melestav poderwał się i odprężył prawie równocześnie, widząc, że to ja. W moim pokoju zastałem Kragara siedzącego w moim własnym fotelu.

— O, już wróciłeś — powitał mnie serdecznie.

— Kragar, byłbyś może tak miły i oddał mi fotel? — spytałem tak uprzejmie, że sam się zdziwiłem.

— Jasne. Słuchaj, co się tyczy tych dwóch, to gdybyś dał znać, że się tu wybierasz, zdążylibyśmy ich sprzątnąć... Do głowy mi nie przyszło, że zjawisz się

na środku ulicy bez uprzedzenia i...

— Kragar!

Tym razem mój ton poderwał go natychmiast.

— Tylko spokojnie, Vlad — zaproponował nieśmiało.

— Kragar, co się tu dzieje, do ciężkiej cholery?!

— A co się dzieje? Gdzie?!

Wskazałem szerokim gestem okolicę.

— Aaa. Nic się nie dzieje.

— Nic?! Chcesz mi powiedzieć, że interes się nie kręci?

— Prawie wcale.

— A ci dwaj?!

— Nie wiedziałem, że tam są. Przysięgam. Myślisz, że bym ich zostawił, gdybym wiedział?

— Musieli kosztować Larisa majątek.

Przytaknął, ale nim zdążyłem się odezwać, przerwał mi Melestav:

„Szefie, N'aal chciałby się z panem zobaczyć.”

„Niech wejdzie.”

Wszedł.

— Szefie, ja...

— Moment. Trzy rzeczy: po pierwsze, ładnie załatwiłeś tego jednego, po drugie, następnym razem spodziewam się, że zauważysz zabójców, zanim oni zobaczą mnie, po trzecie, jeśli kiedykolwiek powtórzy się podobna sytuacja, to zostaw swoje cwane komentarze dla siebie albo ci własnoręcznie poderżnę gardło. Jasne?

— Jasne, szefie. Przepraszam.

— Dobrze. Z czym przyszedłeś?

— Pomyślałem, że może je pan chceć z powrotem — odparł i cisnął moje nadal zakrwawione shurikeny na biurko. — Pamiętam, że pan mówił, że nie lubi zostawiać narzędzi w kim popadnie, więc...

Nie dokończył, bo podszedłem do niego i wsadziłem mu sztylet między czwarte a piąte zebro. Po czym odsunąłem się i pozwoliłem mu upaść na podłogę — znieruchomiał z niezwykle wręcz zaskoczoną miną.

Odwrociłem się do Kragara, który przyglądał mi się zszokowany, i oznajmiłem, z trudem panując nad głosem i nie ukrywając furii:

— Jesteś doskonałym pomocnikiem, Kragar. Ale gdyby ci kiedykolwiek przyszła ochota na własny teren, to albo się najpierw nauczysz, jak utrzymywać wśród podwładnych dyscyplinę, albo wyprowadź się na drugi koniec miasta, byle dalej ode mnie! N'aal nie jest idiotą, a wlaź tu z bronią, którą przed chwilą dokonano mordu, nie zadając sobie nawet trudu starcia z niej krwi zabitego! W ciągu czterech dni zdołałeś przekonać jego i nie tylko jego, że nie musi już myśleć, w efekcie czego omal mnie na powitanie nie zarżnięto. To o moim życiu rozmawiamy, ty niechlujny sukinsynie.



„Spokojnie, szefie, bo ci. . .”

„Cicho, Loiosh!”

— Teraz dopilnujesz, żeby został ożywiony, zapłacisz za to z własnej kieszeni i wytłumaczysz mu, za co dostał. Gdyby się go nie dało wskrzesić, wypłacisz rodzinie premię. Osobiście i także z własnej kieszeni. Zrozumiałeś?

Przytaknął. Wyglądał na szczerze podłamanego i to nie karą finansową.

— Przepraszam, Vlad. — Wyglądało, że szuka właściwych słów.

Obszedłem biurko, usiadłem w swoim fotelu i pokiwałem smętnie głową. Wbrew temu, co właśnie zaprezentował, Kragar nie był zwykle niekompetentnym głupkiem w większości spraw — musiał tylko mieć świadomość, że ktoś go pilnuje. I naprawdę nie chciałem go stracić. Więc wypadało okazać mu w jakiś sposób, że nadal mam do niego zaufanie.

— Dobra: było, minęło — westchnąłem. — Wróciłem i chcę, żebyś coś zrobił.

— Co?

— N’aal przypomniał mi o czymś, co już dawno za mną chodziło, nie mówiąc już o tym, że rzeczywiście nie powinienem zostawić shurikenów w trupie. On zresztą nie powinien mnie ich przynosić, ale nie o to w tej chwili chodzi. Problem w tym, że czarownica jest w stanie wyśledzić użytkownika, mając do dyspozycji jego broń. To ma coś wspólnego z aurą danej osoby. Wszystko, co się nosi i używa przez długi czas, przejmuje odrobinę takiej aury i za pomocą czarów można takiego ktosia zidentyfikować. Co prawda Imperium dotąd nie wykorzystywało czarownic, ale to nie oznacza, że tego kiedyś nie zrobi.

— A można się przed tym jakoś zabezpieczyć? — Kragar o czarach nie wiedział zgoła nic. — No bo nie zawsze można wyjąć broń z nieboszczyka.

— Wiem i dlatego chcę zacząć wymieniać swoją broń przynajmniej raz na tydzień, żeby nie przejęła nic z mojej aury. Sporządzę listę z krótkim opisem tego co noszę i chcę, żebyś poszukał egzemplarzy na wymianę. Zużyte będę odkładał do jakiegoś pudełka i można je wykorzystać do następnej wymiany, co obniży koszty. Możesz się tym zająć?

Był zaskoczony i wcale mnie to nie dziwiło. Tak dokładna informacja o ilości i jakości noszonej broni oznaczała okazanie naprawdę dużego zaufania. Co prawda nie powiedziałem, że poinformuję go o wszystkim, co noszę, ale przesada bywa równie szkodliwa jak głupota. Po paru sekundach otrząsnął się z zaskoczenia i kiwnął głową.

— Dobrze. Wróc za godzinę, to lista będzie gotowa. Masz ją zapamiętać i zniszczyć.

— Jasne.

— Dobra. Teraz idź sobie.

„Szefie. . .”

„Przepraszam, że tak na ciebie warknąłem, Loiosh. I doskonale się sprawiłeś z tymi na zewnątrz.”

„Dzięki. I nie martw się: rozumiem.”

Loiosh zawsze był wyrozumiały.

Zabrałem się do pisania i dopiero wtedy dotarło do mnie, że ponownie otarłem się o śmierć. Zdażyłem do kosza na śmieci tuż przed żołądkiem. Wypłukałem usta szklanką wody i kazałem Melestavowi posprzątać. A potem siedziałem i czekałem, aż przestanie mną trząść na tyle, bym mógł wrócić do pisania.

\* \* \*

Tym razem trzęsło mną wyjątkowo krótko, bo ledwie z pół godziny. Dlatego zdażyłem spać, co chciałem, nim Kragar się zjawił. Dostał listę i poszedł załatwić co trzeba. A praktycznie zaraz potem skontaktował się ze mną Melestav.

„Szefie... przyszło tu paru do pana.”

„Kto?”

„Mundurowi.”

„Cholera! Choć w sumie nie powinno mnie to dziwić” — sprawdziłem, czy na biurku nie ma nic podejrzanego. „- Dobra, niech wejdą. Loiosh, jak myślisz: będzie źle?”

„Zawsze możesz twierdzić, że ich zadźgałeś w samoobronie, szefie.”

Drzwi otworzyły się i weszło dwóch Dragaerian w złocistych uniformach Gwardii Feniksa. Jeden rozejrzał się pogardliwie z miną typu: „oto gdzie się gnojek gnieździ”. Drugi przyjrzał mi się z miną z gatunku: „a oto i gnojek”.

— Witam panów — odezwałem się uprzejmie. — W czym mogę pomóc Imperium?

Ten, który mi się przyglądał, spytał:

— Pan jesteście baronet z Taltos?

Wymówił moje nazwisko „Taltossss”, nie „Taltosz”, co znaczyło, że otrzymał rozkaz na piśmie, nie zaś ustnie.

— Baronet Taltos do waszych usług, panowie — poprawiłem go delikatnie.

Drugi spojrział na mnie, prychnął i mruknął:

— No pewnie!

Pierwszy zaś spytał:

— Co wiesz o tym?

— O czym, panowie?

Spojrział na pierwszego, ten zamknął drzwi, a ja powoli nabrałem i wypuściłem powietrze, wiedząc, co się teraz zacznie. A najgorsza była świadomość, że mogłem ich obu z łatwością zabić, tyle tylko że nikt, kto nie należy do Domu Smoka, nawet nie rozważa zabicia gwardzisty na służbie, bo oznacza to bolesną,

pewną i ostateczną (czyli uniemożliwiającą wskrzeszenie) śmierć. Ten, który gadał więcej, wyjął z pochwy sztylet.

— Panie, chciałbym pomóc, ale... — Więcej nie zdążyłem, gdyż dostałem rękojeścią sztyletu w bok głowy i wyleciałem z fotela w kąt pokoju.

„Loioosh! Nic nie rób!” — poleciłem na wszelki wypadek.

Przez moment nie odzywał się, potem usłyszałem:

„Wiem szefie, ale...”

„Nic!”

„No dobra, szefie. Trzymaj się!”

Ten, który mnie uderzył, stanął nade mną i oznajmił:

— Dwóch mężczyzn zostało zamordowanych prawie na progu tego budynku.

Co o tym wiesz, Jhereg?

To nie odmienione „Jhereg” zabrzmiało jak obelga.

— Nie wiem, oomph!

Ten ostatni dźwięk wywołał kop w brzuch, tyle że dostrzegłem go na czas i zdołałem tak się przesunąć, że nie trafił mnie w splot słoneczny.

Drugi dołączył do niego.

— Słyszałeś go, Menthav? Nie wie, oomph — splunął na mnie z obrzydzeniem. — Może powinniśmy wziąć go do koszar, jak myślisz?

Menthav mruknął coś, nie spuszczając ze mnie wzroku.

— Słyszałem, że jesteś uparty, wąsaty. To prawda?

— Nie, panie.

Pokiwał głową i poinformował towarzysza:

— To nie Jhereg, to Teckla: popatrz, jak pełza. Rzygać mi się chce.

— Co z tymi zabitymi? — Jego partner postawił mnie szarpnięciem i oparł o ścianę. — Jesteś pewien, że nic o nich nie wiesz? Naprawdę pewien?

— Nie wiem o... — Głos ugrzązł mi w gardle, gdy zdzielił mnie pałką kończącą rękojeść sztyletu pod dolną szczękę: nie zauważyłem, kiedy ścierwo go zamaskował w dłoni.

Tyłem głowy łupnąłem o ścianę, a sądząc po bólu szczęki, musiał mi ją złamać. Na chwilę straciłem przytomność, bo gdy wróciły mi zmysły, znów byłem na podłodze.

Potem usłyszałem głos Menthava:

— Potrzyj go.

— Tylko ostrożnie! — przestrzegł go towarzysz. — Wschodniacy są delikatni.

Pamiętasz ostatniego?

— Będę uważał.

Znów znalazłem się w pionie pod ścianą, a przed sobą zobaczyłem jego paskudnie uśmiechniętą gębę. Przyjrzał mi się radośnie i spytał:

— Ostatnia szansa: co wiesz o tych zabitych?

Potrząsnąłem głową, co nie było rozsądne, bo spróbowała się rozlecieć, ale wiedziałem, że próba powiedzenia czegoś będzie bardziej bolała. Uniósł sztylet, wziął zamach i zobaczyłem gwiazdy. . .

Nie mam pojęcia, ile czasu mnie tłukli, ale na pewno było to jedno z gorszych lań, jakie w życiu dostałem. Gdyby zabrali mnie do koszar, byłoby jeszcze gorzej. Bo sprawa wyglądała tak — nikt nigdy nie wydawał Gwardii Feniksa rozkazu pobicia Jherega czy człowieka, czy kogokolwiek. Tyle że niektórzy nas nie lubili, a byli pewni bezkarności.

To pobicie było jednak dość nietypowe, a można by rzec, że jestem poniekąd ekspertem w tej materii, jako że oberwałem swoje, płacąc za to, że chcę żyć według własnych zasad, a nie zasad Imperium. Nietypowe było dlatego, że powodem były dwa trupy członków Domu Jherega. Gwardia z reguły podchodziła do podobnych spraw obojętnie w myśl zasady: niech się powyrzynają, będziemy mieli mniej pracy. Co prawda mógł to być tylko pretekst, żeby stłuc człowieka, ale wydawali się autentycznie czymś rozdrażnieni. . .

Myśli pojawiały się oderwane, przebijając się z trudem przez fale bólu, kiedy tak leżałem na podłodze i ze wszystkich sił próbowałem domyślić się, dlaczego byli źli. Żeby nie myśleć o tym, jak mnie wszystko boli.

Potem bolało nadal, ale nikt mnie już nie bił, choć wokół nadal kręciło się parę osób. Nie wiedziałem kto to, bo nie mogłem otworzyć oczu, a mówili szeptem, więc po głosach też nie dało się ich rozpoznać.

A jeszcze potem usłyszałem głos Melestava:

— Przyszła, odsunąć się!

I coś z szuraniem zamiotło podłogę. Potem rozległ się jęk i stwierdziłem, że muszę wyglądać zupełnie inaczej niż zazwyczaj.

— Odsuńcie się od niego! — rozległ się ku memu zaskoczeniu i uldze głos Aliery.

Spróbowałem otworzyć oczy, ale nie chciały za nic mnie posłuchać.

Usłyszałem inny znajomy głos: Kragara.

— Jak bardzo z nim źle?

Aliera nie odpowiedziała, co akurat nie musiało oznaczać, że jestem umierający. Aliera po prostu tak dalece i dogłębnie gardziła Kragarem, że kiedy nie musiała, nie odzywała się do niego.

Ja nie podzielałem jej podejścia.

„Kragar. . .”

„Jak się czujesz, Vlad?”

„Lepiej, żebyś nie wiedział. Posłuchaj: obaj byli na coś wściekli. Wiesz może na co?”

„Wiem. Jak cię bili, skontaktowałem się z Daymarem. Wysondował ich telepatycznie.”

„Kragar, wiesz, że nie lubię, jak Daymar. . . nieważne. Czego się dowiedział?”

Odpowiedzi nie usłyszałem, rozległ się bowiem głos Aliery:  
— Śpij, Vlad.  
Chciałem się sprzeciwić i odkryłem, że to nie była sugestia.  
Pojawił się zielony blask i zasnąłem.

\* \* \*

Obudziłem się wpatrzony w czarnego dzura walczącego z jheregiem, dzięki czemu rozumiałem w miarę szybko, że znowu widzę. Potem przeprowadziłem pospieszny remanent reszty swojej osoby i z ulgą stwierdziłem, że jestem kompletny i choć w dalszym ciągu wszystko mnie boli, to jest to tępe ćmienie zamiast przytłaczającej wszystko agonii. Alierą naprawdę była dobrą uzdrowicielką.

— Jak tak dalej pójdzie, to się tu przeprowadzę — oceniłem, wiedząc, że Alierą także jest w pokoju.

— Słyszałam, co się stało, Vlad — powiedziała poważnie. — I przepraszam cię w imieniu Domu Smoka.

Chrząknąłem niezobowiązująco.

— Ten, który cię skatował, nazywa się Menthav i za cztery miesiące kończy służbę w Gwardii.

Wytrzeszczyłem oczy.

Nie mogła wiedzieć, że usłyszałem to imię i że dałem sobie słowo, że go odnajdę i zabiję, obojętne ile by to trwało i kosztowało. Alierą miała zaciśnięte pięści, a jej oczy przybrały szarą barwę.

— Za cztery miesiące jest twój — dodała poważnie.

— Dziękuję — odparłem równie poważnie. — Doceniam te informacje.

Zwłaszcza ostatnia była cenna — oznaczała bowiem, że w praktyce nikt z Domu Smoka nie będzie interesował się tym, co spotkało Menthava. Smoki, zwłaszcza lordowie z Domu Smoka, nie przepadają za ludźmi ani za członkami Domu Jherega, ale jeszcze mniej za takimi, którzy masakrują ofiary nie mogące się bronić. A Alierą doskonale wiedziała, jak Gwardia działa, zwłaszcza w stosunku do Jheregów. Może miało to uzasadnienie w tym, że przeważnie nic nam oficjalnie nie mogli zrobić, ale prywatnie guzik mnie to obchodziło. Cóż, poczekam te cztery miesiące. . . a potem nikt go już nie będzie w stanie wskrzesić.

— Dzięki — powtórzyłem. — A teraz chciałbym się przespać, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Absolutnie. Wróć za parę godzin. I wyszła.

A ja natychmiast złapałem telepatycznie Kragara.

„Mówiłeś, że co?”

„Vlad. Jak się czujesz?”  
„Tak jak należało się spodziewać. Czego Daymar się dowiedział?”  
„Gwardię wtedy wycofano, bo w Dzielnicy wschodniej wybuchły zamieszki i byli tam potrzebni. To mogłoby tłumaczyć, dlaczego ci przyszli do ciebie. Ktoś ich napuścił, ale Daymar był za daleko, by odkryć kto. W ciągu ostatnich paru dni pobito wielu ludzi. Kilku na śmierć.”  
„Rozumiem. Aż dziwne, że nie słyszeliśmy o zamieszkach.”  
„Bo były krótkie i krwawe. Sprawdzam to teraz dla zasady.”  
„I bardzo dobrze. Sprawdź, kto wywołał zamieszki. Bo że stoi za tym Laris, to już wiemy, ale dobrze byłoby się zorientować, jakie ma tam wpływy. To znacznie dalej na południe niż jego teren.”  
„Sprawdzę, ale nie spodziewaj się za wiele.”  
„Nie spodziewam się. Coś jeszcze?”  
„A owszem. Ona nazywa się Norathar i pochodzi z rodu e’Lanya. Została wyrzucona z Domu Smoka, ale jeszcze nie wiem za co.”  
„Doskonale. Dowiedz się więcej. I spróbuj się dowiedzieć, jakim cudem Larisa stać na utrzymanie dwóch zabójców przed moim biurem przez parę dni.”  
„Przecież powiedziałaś, że Miecz i Sztylet oddały zapłatę.”  
„Fakt, ale to rodzi inne pytanie: jak go było na nie stać w pierwszej kolejności? I na opłacenie tych, którzy wszczęli zamieszki?”  
„No... nie wiem. Pewnie ma więcej gotówki, niż sądziliśmy.”  
„Na pewno. Tylko skąd?”  
„Może z podobnych co ty źródeł?”  
„Właśnie to samo mi wpadło do głowy; może stać za nim ktoś bogaty i wpływowy.”  
„To możliwe, Vlad.”  
„Więc sprawdź to.”  
„Jasne. Jak?”  
„Nie wiem. Wymyśl coś.”  
„No dobra... I Vlad...”  
„No?”  
„Następnym razem, jak będziesz się tu wybierał, to uprzedź nas najpierw, co?”  
„Dobra.”  
Zaraz potem połączyłem się z Fentorem w Czarnym Zamku, przekazałem mu informacje o zamieszkach i poprosiłem, by dowiedział się wszystkiego czego zdoła na ten temat.

A potem rzeczywiście zasnąłem.

\* \* \*

„Pobudka, szefie.”

Alarm ogłaszany przez Loiosha zawsze był skuteczny — zanim się rozbudziłem, siedziałem na baczność, trzymając pod kołdrą sztylet. I dopiero wtedy zarejestrowałem, kogo widzę.

— Dobry wieczór, Vladimirze. To pod kołdrą to nóż czy tak się cieszysz na mój widok?

— Oba — oznajmiłem zwięźle, chowając sztylet do pochwy.

Szturchnęła mnie lekko w bok, więc się przesunąłem, by miała gdzie usiąść. Dostałem całusa, po czym odsunęła się i przyjrzała mi się uważnie.

— Co się stało? — spytała.

— To długa historia.

— Czego jak czego, ale czasu mi nie brakuje.

No to jej opowiedziałem. Pokiwała głową, a gdy skończyłem, przytuliła się i spytała:

— I co teraz?

— Opuściłyście kiedyś kogoś?

— Nie. A ty?

— Nie przypominam sobie. Przytuliła się mocniej.

„Mam was zostawić, szefie?”

„Może za chwilę.”

„I bądź tu, jheregu, uprzejmy! Nawet nie zauważą.”

„Właśnie zauważyłem. Podejrzane.”

— Tak na marginesie, Vlad. Sethra wydaje przyjęcie.

— Tak? A to z jakiego powodu?

— Tego, że wszyscy żyjemy.

— Ciekawy motyw, zwłaszcza w jej wydaniu. Pewnie będą próbowali wypytać o co się da ciebie i Norathar.

— Też tak są. . . zaraz, skąd znasz jej imię?

— Ma się swoje sposoby.

— Chyba będę musiała wycisnąć z ciebie tę informację innymi metodami.

— Próbuj — postanowiłem jej nie zniechęcać.

„Dobra, Loiosh: możesz się wynieść.”

„Zbokol.”

„Won.”

## Rozdział dziesiąty

*„Nie lubię zabijać własnych gości”*

Posiłki można podzielić na kilka typów. Zaczynając od uroczystego obiadu ze starannie zastawionym stołem, wyrafinowanymi winami i jeszcze bardziej wyrafinowaną (czytaj cenzurowaną) rozmową. Dalej są spotkania w interesach, na których przez połowę czasu ignoruje się jedzenie, by nie uronić spojrzenia czy intonacji, które mogą okazać się ważniejsze od całej reszty. Potem są obiadki we dwoje — całkowicie nieformalne, w trakcie których jedzenie i rozmowa absolutnie nie mają znaczenia. Mamy też przegryzkę w locie — chodzi o to, by jak najszybciej zjeść jak najwięcej, nie tracąc czasu na gadanie i inne przyjemności. Mamy także zwykły obiad, którego podstawowym motywem jest zjedzenie czegoś dobrego, a rozmowa to jedynie dopełnienie.

No i jest też jedyny w swoim rodzaju posiłek spożywany w eleganckiej jadalni wewnątrz Góry Dzur, wydany przez wiekową i nie całkiem martwą, jak wieść niesie, gospodynię dla pary lordów z Domu Smoka i trojga zawodowych zabójców, z których jedno także pochodzi z Domu Smoka, a dwoje pozostałych to ludzie.

Rozmowa przy takim obiedzie jest po prostu nieprzewidywalna.

Przez większość posiłku Morrolan zabawiał nas opowiadaniem o ciekawostkach w wykorzystaniu magii, których raczej nie znalazłoby się w uczonych księgach. Podobało mi się to i całkowicie rozumiałem, dlaczego szacowne woluminy tego nie zawierają. Poza tym Alera (no bo niby kto?) posadziła mnie obok Cawti, więc miałem ciekawe towarzystwo. Telepatyczna pacyfikacja Loiosha, który zrobił się dziwnie pyskаты, uzupełniała moje zajęcia.

I to tak dokładnie, że nie zauważyłem momentu, w którym rozmowa zmieniła charakter. Kiedy znów zacząłem ją śledzić, Alera wciągnęła Miecz Jherega w dyskusję porównawczo-prowokującą na temat zwyczajów panujących w domach Jherega i Smoka. Natychmiast zdwoiłem czujność — Alera niezwykle rzadko robiła coś bez powodu, a w okolicznościach takich jak te nie zrobiłaby tego nigdy.

— Różnica, jak widzisz, jest taka, że my zabijamy tylko tych, którzy na to zasługują — podsumowała Alera. — Wy zaś każdego, za kogo wam zapłacą.



Norathar udała zdziwienie.

— Przecież wy także nie robicie tego za darmo, tylko zapłata ma inną formę. Zabójca z Domu Jherega otrzymuje zapłatę w złocie, tak przynajmniej słyszałam, bo żadnego nie znam. Natomiast Smok, zabijając, czyni zadość swej żądzy mordy i krwi.

Zachichotałem: jeden zero dla Domu Jherega.

Aliera też się uśmiechnęła, unosząc kielich. Przyjrzałem się jej uważniej i potwierdziłem własne przypuszczenia — szukała czegoś, czyli chciała rozmówczy-  
nię sprowokować do jakiegoś wyznania.

— W takim razie powiedz mi, którą formę zapłaty uważasz za lepszą? — zaproponowała.

— No cóż, za żądzę krwi jeszcze niczego nie kupiłam, ale...

— Można to zrobić.

— Doprawdy? A co można kupić, jeśli wolno wiedzieć?

— Imperia — odparła po prostu Aliera e'Kieron.

Norathar e'Lanya uniosła uprzejmie brew.

— Imperia? A cóż ja bym z takim zrobiła?

Aliera wzruszyła ramionami.

— Jestem pewna, że coś byś wymyśliła.

Rozejrzałem się dyskretnie — Sethra siedziała u szczytu stołu po mojej prawej stronie i obserwowała Alierę uważnie. Morrolan siedzący po jej prawej robił to samo. Obok niego siedziała Norathar i także oddawała się tej czynności. Aliera siedziała naprzeciwko Sethry, mając po lewej Cawti, a dalej mnie i koncentrowała się na Norathar. Zastanawiałem się, co też dzieje się za jej nienagannie uprzejmą maską kryjącą jej twarz. Czasami tak się zastanawiam, widząc różne maski różnych osób. Czasami nawet zastanawia mnie, co się dzieje za moją maską.

— A co byś zrobiła z Imperium? — spytała Norathar.

— Spytaj mnie, gdy ten cykl dobiegnie końca.

— Proszę?

— Jestem obecnie następcą tronu z Domu Smoka. Przed moim przybyciem był nim Morrolan.

Przypomniało mi się, gdy pierwszy raz usłyszałem o jej „przybyciu”. Aliera bowiem została wyrzucona — czy też może wyrwana — z kataklizmu zwanego Katastrofą Adrona i przerzucona przez czterysta lat w czasie. Wylądowała na tyłku na polu jakiegoś ogłupiałego Teckli. Potem dowiedziałem się, że Sethra miała z tym coś wspólnego, przez co cała historia nabrała znamion prawdopodobieństwa.

Norathar wydawała się zainteresowana tym, co usłyszała, i odruchowo poszukała wzrokiem Smoczego Łba. Każdy lord z Domu Smoka nosił taki w widocznym miejscu, Aliera jako wisior na łańcuszku zawieszonym na szyi. Jej Smoczy Łeb miał ślepią z klejnotów w różnych barwach — czerwonym i zielonym.

— E’Kieron, jak widzę — powiedziała.  
 Alierą potwierdziła ruchem głowy, jakby coś właśnie zostało wyjaśnione.  
 — Czego nie zrozumiałem? — spytałem uprzejmie.  
 — Obie jesteśmy ciekawe, z jakich rodów się wywodzimy. Sądzę, że moja rozmówczyni przypomniała sobie, że Adron miał córkę, co wyjaśnia, dlaczego zostałam wybrana na następczynię tronu.  
 — Aha — powiedziałem inteligentnie.  
 Jakoś nigdy nie zastanawiałem się, w jaki sposób Alierą została tak szybko wybrana, choć było to, nim się poznaliśmy. Musiałem jednak przyznać, że siedzenie przy jednym stole z córką jegomościa, który zmienił całkiem duże miasto w kałużę czystego chaosu, było dla mnie nowym doświadczeniem. Potrzebowałem czasu, by przestać na nie reagować.  
 Alierą natomiast kontynuowała wyjaśnienia, tyle że bardziej pod adresem Norathar:  
 — Rada poinformowała mnie o tej decyzji, gdy tylko sprawdzono moje pochodzenie. W ten zresztą sposób zainteresowałam się genetyką: miałam nadzieję, że znajdę u siebie jakąś wadę, dzięki której nie będę musiała zostać Cesarzową.  
 — Chcesz powiedzieć, że nie chcesz być Cesarzową? — zdziwiłem się.  
 — Oczywiście że nie! Nie wyobrażam sobie nudniejszego zajęcia. Odkąd dowiedziałam się o decyzji Rady, szukam sposobu, jak ją podważyć.  
 — Aha.  
 „Szefie, twoja elokwencja jest dziś porywająca.”  
 „Zamknij się, Loiosh.”  
 Przemyślałem tę rewelację, co chwilę trwało, nim odezwałem się ponownie.  
 — Alierą, mam pytanie.  
 — Hm?  
 — Skoro jesteś następcą tronu, to czy to znaczy, że twój ojciec też nim był? A jeżeli tak, to po co próbował przejąć władzę wcześniej?  
 — Próbował z dwóch powodów: po pierwsze, były to rządy Schyłkowego Feniksa, który nie chciał oddać władzy, gdy cykl się zakończył. Po drugie, tata nie był następcą tronu.  
 — Aha, czyli następcą zginął przed Bezkrólewem?  
 — Tuż przed. Była wojna i został zabity. Istniały też pogłoski, że jego potomek nie był czystej krwi Smokiem. Ale potem nastąpiła Katastrofa i Bezkrólewie i o wszystkim w zasadzie zapomniano.  
 — Został zabity... — powtórzyłem. — A co się stało z potomkiem... jasne: została wyrzucona z Domu Smoka. Zgadza się?  
 Alierą przytaknęła.  
 — A ród? — myślałem dalej głośno. — Pewnie e’Lanya, co?  
 — Doskonale, Vlad. Skąd wiedziałeś? Spojrzałem na Norathar spoglądającą na Alierę ze średnio przyjazną miną.

— I założę się, że byłaś w stanie sprawdzić jej geny — dodałem. — I okazało się, że jest jak najczystszej krwi Smokiem z rodu e'Lanya.

— Tak.

— A skoro jej ojciec był następcą tronu, to...

— Zgadza się, Vlad — przerwała mi Alieria. — Właściwą następczynią tronu Domu Smoka jest Norathar e'Lanya, Miecz Jherega.

Spojrzałem na Cawti, która przypatrywała się Norathar, która z kolei przypatrywała się Alierze.

Podobnie jak Sethra i Morrolan. Alieria nie przyglądała się niczemu, co byłbym w stanie zauważyć. Za to jej jasnozielone oczy lśniły w blasku świateł i była nader zadowolona, przyglądając się czemuś, czego myśmy nie mieli prawa zobaczyć.

I na moment czas się zatrzymał — rok nie mijał, dzień nie zmieniał jasności, nawet świece nie migotały. Przez ten moment dało się dostrzec rzeczy w zupełnie nowej perspektywie. Ja na przykład dostrzegłem je w swojej kochance, która nie tak dawno mnie zabiła. Ona zaś spoglądała na swoją partnerkę, która powinna być następczynią tronu z Domu Smoka. Ta zaś następczyni-zabójczyni-księżna i co tam jeszcze wymieniała spojrzenia z Alieria e'Kieron, pochodzącą z przeszłości córką Adrona i obecną następczynią tronu z Domu Smoka itd. itp.

W takich momentach jak ten czas zyskuje większą niż zwykle moc — potrafi nawet niszczyć maski, za którymi kryją się Smoki, które stały się Jheregami. Przez moment widziałem Norathar taką, jaka naprawdę była. Widziałem dumę, nienawiść, ponurą rezygnację, utracone nadzieje, lojalność i odwagę. I czym prędzej odwróciłem wzrok, bo może to się wydać dziwne, ale naprawdę nie lubię patrzeć na czyjś ból.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — szepnęła Norathar.

I czas wrócił do normy.

Odpowiedziała jej nie Alieria, lecz Sethra:

— Rada Domu Smoka, która zebrała się na początku rządów poprzedniego Cesarza Feniksa przed Bezkrólewem, zdecydowała, że następca tronu winien pochodzić z rodu e'Lanya. Najdostojniejsi w tym rodzie byli lady Miera, lord K'laiyer i ich córka Norathar.

Norathar potrząsnęła głową.

— Nic z tego nie pamiętam — przyznała szeptem. — Byłam dzieckiem...

— Wysłunięto oskarżenie — kontynuowała Sethra. — I lord K'laiyer, twój ojciec, wyzwał oskarżyciela. Doszło do wojny, w której zginęli twoi rodzice. Zostałaś zbadana przez adeptki magii i uznano, że nie jesteś czystej krwi Smokiem.

— Ale w takim...

— Alieria przeprowadziła sondę genetyczną i okazało się, że adeptka, która wykonała pierwsze badanie, myliła się — dodała Sethra.

Tym razem postanowiłem wziąć udział w rozmowie i spytałem:

— Jak trudno jest popełnić taką pomyłkę?

Aliera wróciła do rzeczywistości.

— Jest to niemożliwe — wyjaśniła zwięźle.

— Rozumiem. . . — powiedziałem.

— Ja też — powiedziała Norathar.

I siedzieliśmy tak, nie patrząc na siebie i czekając, kto wreszcie zada to oczywiste pytanie.

W końcu zrobiła to Norathar:

— Kto dokonał pierwszego badania i kto wysunął oskarżenie?

— Pierwsze badanie wykonała moja uczennica Sethra Młodsza — odparła Sethra.

— Kim ona jest? — spytałem.

— Moją uczennicą, jak już mówiłam. Jedną z wielu i jedyną, która jeszcze żyje. Naukę zakończyła. . . jakieś tysiąc dwieście lat temu. Wtedy też uhonorowała mnie, przybierając moje imię.

— Jest lordem lub lady z Domu Smoka? — upewniłem się.

— Naturalnie.

— Jasne. Przepraszam, że przerwałem. Rozmawialiście o badaniu genetycznym.

— Zgadza się. O rezultatach powiadomiła mnie, ja zaś z kolei Radę. Rada powołała trzyosobową komisję do przeprowadzenia drugiego badania. Jednym z jej członków był lord Baritt. . .

Morrolan, Aliera i ja wymieniliśmy w tym momencie znaczące spojrzenia — spotkaliśmy jego cień na Ścieżkach Umarłych i każde z nas wyniosło zupełnie inne wrażenie ze spotkania ze starym skur. . . tego. . . jegomościem.

— W skład komisji weszła także adeptka z Domu Athyry jako ekspertka i ktoś z Domu Lyorna, kogo zadaniem było dopilnować, by wszystko odbyło się zgodnie z procedurą i zasadami. Komisja potwierdziła wyniki pierwszego badania i Rada postąpiła tak, jak w tych okolicznościach musiała.

Norathar spytała cicho:

— Kto wniósł oskarżenie?

— Ja — odparła zwięźle Sethra Lavode.

Norathar zerwała się z pałającymi oczyma. Gdyby lepiej znała się na magii, na pewno coś by już wybuchło, nie dolatując do Sethry — ta była zbyt dobra w magii, by na coś podobnego pozwolić. Tak jedynie napięcie w sali stało się namacalne.

Ciszę przerwała Norathar, cedząc przez zaciśnięte zęby:

— Mogłabym dostać z powrotem moje ostrze, milady?

Sethra nawet nie drgnęła.

— Jeżeli tego naprawdę pragniesz, to tak — odparła spokojnie. — Najpierw jednak chciałabym powiedzieć dwie rzeczy.

— Słucham zatem.

— Po pierwsze, wygłosiłam to oskarżenie, ponieważ uznałam to za swój obowiązek wobec Domu Smoka, nie zaś z jakiegokolwiek osobistego powodu. Po drugie: choć nie jestem w tej kwestii aż taką fanatyczką jak lord Morrolan, także nie lubię zabijać własnych gości. A ten pojedynek może mieć tylko jeden finał: pamiętaj, kim jestem, pani!

Po czym wstała i dobyła z pochwy Iceflame — długi sztylet o prostej, liczącej ponad dwanaście cali głowni. Ostrze miało jasnoblękitną barwę i każdy o telepatycznej wrażliwości większej niż cegła wiedział natychmiast, że ma do czynienia z bronią znacznie potężniejszą od broni Morgantich. A każdy, kto nie cierpiał na totalną amnezję i znał choćby część legend, których bohaterką była Sethra Lavode, wiedział, że jest to jedna z siedemnastu Wielkich Broni, związana z mocami wypełniającymi, ukrytymi i otaczającymi Górę Dzur. Ponoć miał moc równą jedynie mieczowi zwanemu Godslayer i Imperialnej Kuli. Dla każdego zaś wyzywającego Sethrę na pojedynek najważniejsze powinno być to, że broń ta zabijała ostatecznie — nie było żadnej szansy na przywrócenie do życia.

Loioosh wykazał doskonale rozwinięty instynkt samozachowawczy i prysnął pod moją pelerynę. Ponieważ ja nie byłem w stanie tego zrobić, wstrzymałem oddech.

I bardziej poczułem, niż dostrzegłem, jak w dłoń Cawti wsuwa się rękojeść noża do rzucania.

I zacząłem mieć dylemat — czy powstrzymać Cawti, czy tylko ostrze Sethry.

Na szczęście ten problem rozwiązano za mnie — Norathar, nie odwracając głowy, powiedziała cicho:

— Nie, Cawti.

Cawti westchnęła cicho, a ja odetchnąłem z ulgą. Tym razem, dzięki Verze, się upiekło.

— W takim razie proszę o moją broń — powiedziała Norathar, spoglądając na Sethrę.

— Nie chcesz więc wysłuchać, jak to wyglądało i jak mnie przedstawiono całą sprawę? — spytała leciutko zdziwiona Sethra.

— Zgoda — zdecydowała po namyśle Norathar.

— Rozsądne. I dziękuję — Sethra schowała broń do pochwy.

Odetchnąłem naprawdę.

Sethra wróciła na swoje miejsce, Norathar także, ale ani na moment nie odrywała od niej wzroku.

— Powiedziano mi — oznajmiła Mroczna Pani Góry Dzur — że twoje pochodzenie jest wątpliwe. Mówiąc szczerze, powiedziano mi dosłownie, że jesteś bękartem i do tego mieszańcem. Przykro mi, ale tak to właśnie przedstawiono.

Słuchałem tego z autentycznym zainteresowaniem, bękarty wśród Dragaerian zdarzają się bowiem niepomiaralnie rzadziej niż wśród ludzi. Powód jest prosty —

Dragaerianka nie zachodzi przypadkiem w ciążę (a przynajmniej mnie tak powiedziano). I dlatego nieprawie dzieci mają tylko ci, którzy są sterylni, gdyż jest to dolegliwość niemożliwa praktycznie do wyleczenia nawet magią, a zdarzająca się. Stąd też określenie „bękart”, dla człowieka średnio obelżywe i znacznie łagodniejsze niż „sukinsyn”, dla Dragaerianina jest śmiertelną obelgą. Co zaś się tyczy mieszańców, czyli dzieci członków różnych domów, to mówiąc krótko a treściwie: mieli przesrane.

— Ponieważ byłeś najstarszym dzieckiem lorda wybranego na następcę tronu przez Dom Smoka, sprawa ta musiała zostać przedstawiona Radzie do zweryfikowania — ciągnęła Sethra. — Mogłam wśliznąć się do waszego domu wraz z moją uczennicą, która jest biegła w sondowaniu genetycznym, ale tego nie zrobiłam. . .

Aliera w tym momencie prychnęła pogardliwie, najwyraźniej mając zgoła odmiennie zdanie o umiejętnościach Sethry Młodszej, przynajmniej w tej dziedzinie.

— Wolałam przedstawić sprawę twemu ojcu. Poczul się obrażony i odmówił zgody na ponowne badanie. Zamiast tego wypowiedział mi wojnę i wysłał przeciwko mnie swoje wojsko. — Sethra westchnęła ciężko. — Prawdę mówiąc, straciłam już rachubę, ile armii próbowało zdobyć Górę Dzur. Żadnej się to nie udało. Jeśli to jakakolwiek pociecha, to przyznaję, że był doskonałym taktykiem, w pełni godnym rodu e’Lanya. Z początku miałam z nim co prawda drobne kłopoty, ale ostateczny wynik nigdy nie podlegał dyskusji. Kiedy walka ostatecznie się zakończyła, oboje twoi rodzice nie żyli.

— Jak? — warknęła Norathar przez zaciśnięte zęby.

— Nie wiem, kto ich zabił. Zginęli w bitwie, lecz nie z mojej ręki. Oboje odnieśli zbyt poważne uszkodzenia głów, by można ich było ożywić. Najprawdopodobniej w wyniku użycia magii.

Norathar ledwo zauważalnie skinęła głową.

— Formalnie objęłam w posiadanie ich zamek, zgodnie ze zwyczajem — ciągnęła dalej Sethra. — Tam cię znaleźliśmy, miałaś może cztery lata, może pięć. . . moja uczennica dokonała badania, resztę znasz. Przekazałam twój zamek Dmowi Smoka i prawdę mówiąc, nie wiem, co się z nim stało, podobnie jak z meblami i innymi ruchomościami. Może krewni. . .

Norathar ponownie skinęła głową, tym razem wyraźniej.

— Dziękuję, ale to nie zmienia. . .

— Jest jeszcze jedna kwestia — przerwała jej Sethra. — Błąd mojej uczennicy rzuca cień na mnie. Co więcej, to moje działania doprowadziły do sytuacji, w której się znalazłaś. Skoro zaś Aliera twierdzi, że oboje twoi rodzice należeli do Domu Smoka i masz dominujące geny rodu e’Lanya, to tak jest, gdyż nie znam nikogo, kto byłby lepszy w genetyce niż ona. A to oznacza, że ktoś celowo sfałszował wyniki, w efekcie czego zginęli twoi rodzice, a ty zostałaś wyrzucona z Domu Smoka, i wykorzystał mnie do osiągnięcia tego celu. Nie lubię być

wykorzystywana i dlatego zamierzam dojść prawdy. Jeżeli cię zabiję, znacznie utrudni mi to śledztwo. Jeśli ty mnie zabijesz, wręcz uniemożliwi, dlatego byłabym wdzięczna, gdybyś była uprzejma nie wyzywać mnie, dopóki nie odkryje prawdy. Potem, jeśli nadal będziesz żywiła taką ochotę, dotrzymam ci pola na każdych warunkach, jakich zechcesz.

— Każdych? — spytała podejrzliwie Norathar. — Nawet na zwykłą białą broń?

— Nawet jeśli wybierzesz pojedynek Jherega — prychnęła Sethra.

To w końcu wywołało cię uśmiechu u Norathar.

— Przyjmuję i poczekam — oznajmiła.

Oboje z Cawti odprężyliśmy się. Z tego co widziałem, Morrolan i Alierą byli zainteresowani, ale bynajmniej nie zmartwieni rozwojem sytuacji.

Teraz Morrolan odchrząknął i zaproponował:

— Cóż, może w takim razie ustalimy plany?

Sethra skinęła głową i spytała:

— Jak uważacie, jeśli istniał spisek, by doprowadzić do tego, do czego doprowadził, czy Baritt byłby w niego zamieszany?

— Nie — odparła Alierą.

— Tak — powiedział równocześnie Morrolan.

Zachichotałem, całkowicie się z nim zgadzając.

— No... może — zgodziła się niechętnie.

Morrolan prychnął, ale nie skomentował.

— Ważniejsze jest co innego — ocenił. — Czy i jak spiskowcy zdołali ogłupić adeptkę z Domu Athyry, czy ona także brała udział w spisku. Nie wspominając już o przedstawicielce Domu Lyorna. Musieli mieć pomoc Athyry i choć moge w to z trudem uwierzyć, to w żaden sposób nie uwierzę, by poszedł na coś takiego jakkolwiek Lyorn. Właśnie dlatego zawsze wchodzi w skład takich komisji.

Sethra ruchem głowy przyznała mu rację.

Uznałem, że czas się wtrącić.

— Przepraszam, ale zacznijmy od początku. Jak wygląda procedura doboru członków takiej komisji? Wydelegowany Smok wchodzi do siedziby Domu Lyorna i wrzeszczy: „Będziemy robić badania na pochodzenie, jest ktoś zainteresowany?” i zgłasza się ochotnik czy jak?

— W przypadku Domu Lyorna jest to oficjalna prośba o pomoc, adresowana do całego domu, nie do kogoś konkretnego, i przekazana przez Imperium — wyjaśniła Sethra. — Jeśli chodzi o Dom Athyry, ktoś proponuje adepta czy adeptkę, którego zna czy o którym słyszał, i Rada przyjmuje lub nie proponowaną kandydaturę. Z zasady przyjmuje.

— A Dom Lyorna najprawdopodobniej wyznaczy kogoś, kto choć trochę się na tym zna — dodałem.

Sethra ponownie przytaknęła.

— Dobrze. Alier, jak można by sfalszować takie badanie?

— Jedynie niezwykle skomplikowaną iluzją stosunkowo łatwą do wykrycia. I do tego skuteczną jedynie wtedy, gdy dokonujący badania jest niekompetentny.

— A gdyby nie był?

— To nie dałby się oszukać.

— Czy dałoby się oszukać w ten sposób Sethrę Młodszą?

— Z łatwością — prychnęła.

Spojrzałem na Sethrę Lavode — nie wyglądała na przekonaną.

— A Baritta? — spytałem.

— Nie — odparła zdecydowanie Alier.

I wyjątkowo Morrolan się z nią zgodził:

— Jakikolwiek Baritt był, z całą pewnością nie był głupcem.

— W takim razie musiał brać w tym udział — podsumowałem. — Oszukać natomiast można było w ten sposób Lyorna.

— Vlad, żeby tak było, przedstawiciel Domu Athyry również musiałby brać w tym udział — powiedział Morrolan. — A o tym będziesz musiał mnie przekonać.

— Wszystko po kolei. Sethra, skąd w ogóle twoja była uczennica dowiedziała się o całej sprawie? Bo jak rozumiem, to ona skądś przyniosła plotkę o mieszanym pochodzeniu Norathar, rozpętując całą burzę?

— Ona. Ale skąd, tego nie wiem, Vlad. To było ponad czterysta lat temu!

— Sethra, przy twoim wieku to jakby wczoraj!

Musiła naprawdę mieć do mnie słabość — ani mnie w nic nie zmieniła, ani nawet niczym we mnie nie rzuciła!

Ledwie uniosła brew. A potem spojrzała gdzieś w lewo, próbując sobie przypomnieć.

— Powiedziała, że usłyszała o tym od przyjaciela, który popił z lady Mierą. Ten przyjaciel dowiedział się tego ponoć od samej lady Miery.

— A jak się nazywał ten przyjaciel?

Westchnęła i złapała się oburącz za czubek głowy, unosząc przy tym oczy prosto w sufit.

Wszyscy niemal wstrzymaliśmy oddechy.

Nagle Sethra wyprostowała się.

— Vlad, to był Baritt! — oznajmiła.

Ciekawe, dlaczego mnie to zupełnie nie zaskoczyło?

— Jeśli chcecie sobie z nim pogadać, to mogę wam powiedzieć, gdzie go znaleźć, ale wybaczenie, nie będę wam towarzyszył. Raz już byłem za Bramą Śmierci i mnie osobiście wystarczy ten raz do końca życia — oświadczyłem. — Mam dość własnych problemów. Jeden taki próbuje mnie tam posłać ostatecznie i na stałe. Mówiąc naturalnie w przenośni, bo z tego co wiem, martwych ludzi się tam



nie wpuszcza. Skoro nam tak ładnie poszło, Sethra: pamiętasz, kogo wydelegował Dom Lyorna?

— Nie pamiętam, bo nigdy tego nie wiedziałam. Moja rola się skończyła i nie chciałam mieć z tym więcej do czynienia. Nie byłam obecna przy ponownym badaniu.

— Aha, więc nie wiesz także, kto był z Domu Athyry?

— Nie wiem.

— To jest w archiwach — wtrąciła Alierą. — I możesz to sprawdzić.

Pokiwałem głową i powstrzymałem się od komentarza na temat zawartości archiwów.

— W takim razie chwilowo nic więcej w tej kwestii nie ustalimy, zgadza się? — podsumowałem.

Sethra, Morrolan i Alierą przytaknęli. Cawti i Norathar obserwowały nas cały czas, ale nie odzywały się. Dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie, że trochę dziwnie może wyglądać to, iż objąłem kierownictwo nad śledztwem dotyczącym wewnętrznych spraw Domu Smoka i to jeszcze dotyczących historii. Ale raz, że nikt przeciwko temu nie protestował, a dwa, że śledztwo jest jedną z niewielu rzeczy, w których jestem naprawdę dobry. Jak każdy naprawdę dobry zawodowy zabójca — Cawti też mogłaby to zrobić, ale była całą sprawą jeszcze mniej zainteresowana ode mnie.

— Następną kwestią jest to, jak zamierzamy przedstawić to Radzie. — Morrolan ponownie zabrał głos. — Proponowałbym, żebyśmy najpierw udali się tam oboje z Alierą i...

— Teraz jest zdecydowanie za wcześnie, żeby się nad tym zastanawiać — przerwała mu Alierą. — A poza tym ta kwestia dotyczy wyłącznie Domu Smoka.

Zapadła chwila ciężkiej, niezręcznej ciszy. A potem Cawti wstała.

— Proszę mi wybaczyć — powiedziała — ale sędzę, że chciałabym odpocząć. Sethra także wstała i pożegnała ją ukłonem.

Gdy Cawti wyszła, a ona usiadła, Morrolan spytał:

— Zastanawiam się, co ją gryzie?

Typowe.

— Koniec partnerstwa — odparła Norathar.

Widać było, że ją to także boli, ale teraz jako lady z Domu Smoka mogła to okazać. Wstała, skłoniła się i wyszła za Cawti.

Spoglądałem za nią, po czym przeniosłem spojrzenie na stół. Jedzenie było zimne, wino przegrzane, a gdyby znalazła się tam i cebula — to zepsuta na wskroś.

## Rozdział jedenasty

*„Małą partyjkę, szefie?”*

Zostawili mnie samego przy stole, więc podumałem sobie o cebulach. Nadal sobie o nich dumałem, kiedy zorientowałem się, że ktoś próbuje się ze mną telepatycznie skontaktować.

„Kto tam?” — spytałem uprzejmie.

„Fentor, milordzie. Mam informacje, o które pan prosił.”

„O zamieszkach? Doskonale. Mów.”

„Objęty zaledwie jeden kwartał w pobliżu. . .”

„Wiem gdzie. Dalej.”

„Wszystko rozpoczęło się od szeregu budynków, których właściciel jakies cztery tygodnie temu zaczął podnosić czynsz, a potem, nie próbując dogadać się z mieszkańcami, kazał pobić tych, którzy spóźniali się z zapłatą.”

„Rozumiem. Kto jest tym właścicielem?”

„Jhereg. Nazywa się. . .”

„Laris!”

„Tak, milordzie.”

Westchnąłem i spytałem:

„A od dawna jest tym właścicielem?”

Nastąpiła chwila ciszy, nim przyznał:

„Nie pomyślałem, żeby to sprawdzić.”

„To sprawdź. I sprawdź też, od kogo je kupił.”

„Zaraz się do tego zabiorę.”

„Coś jeszcze?”

„Nie, ale nadal nad tym pracujemy.”

„Doskonale. I jeszcze jedno: podejrzewam, że zamieszki zostały wywołane celowo. Spróbuj to sprawdzić.”

„Dobrze, lordzie Taltos.”

Po zakończeniu rozmowy uświadomiłem sobie, że zaniedbuję się w obowiązkach, i skontaktowałem się z Kragarem. Upowiedziałem go, by się mnie spodziewał

za dwie minuty. A potem skontaktowałem się z Sethrą, wyjaśniłem dlaczego muszę opuścić jej gościnne progi i poprosiłem, by była tak miła i teleportowała mnie do mojego biura.

Była tak miła i teleportowała.

A najciekawsze w tym wszystkim było to, że nie musiałem jej tłumaczyć, gdzie się ono znajduje. Czasami naprawdę mnie zaskakuje.

\* \* \*

Kragar czekał na mnie przed budynkiem w towarzystwie Świetlika i jeszcze jednego mężczyzny, którego nie znałem. Ponieważ zamachy na mnie okazały się tyleż uporczywe co absorbujące, biuro nadal mieściło się w nadpalonym budynku. Weszliśmy do środka, a ja skierowałem się do swego pokoju, polecając Kragarowi, by poszedł ze mną. Wszedłem. Wszedłem, rozejrzałem się i stwierdziłem, że jestem sam. Odwróciłem się, podszedłem do drzwi, otworzyłem je i oznajmiłem donośnie:

— Kragar, miałeś się. . .

— Szefie? — dobiegło mnie z tyłu.

Odwróciłem się i tym razem go zauważyłem.

— Cholera, Kragar! Przestań się tak zachowywać!

— Jak zachowywać?

— Nieważne — westchnąłem i dodałem telepatycznie:

„A ty, Loiosh, zamknij się!”

„Przecież nic nie powiedziałem!?”

„Bo śmiałeś się do rozpuku!”

Klapnąłem ciężko w fotel, położyłem nogi na biurko i spytałem:

— Ten nowy to kto?

— Silnoreki. Brakowało nam przynajmniej jednego, a finanse się na tyle poprawiły, że prawie nas na niego stać. Wiem, że to ty podejmujesz ostateczną decyzję, czy zostanie czy nie.

— Jak ma na imię?

— Stadol.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Bo wszyscy nazywają go Kij.

— A, to trzeba było tak od razu — ucieszyłem się i wrzasnąłem: — Melestav, przyślij tu Kija!

Drzwi otworzyły się chwilę później i wezwany wszedł.

— Siadaj — poleciłem.

Wykonał.

Kij zasługiwał na swoje przezwisko — był wyższy i chudszy niż większość przedstawicieli jego rasy, czyli dla człowieka wyglądał jak zagłodzona śmierć. Poruszał się także dość specyficznie, jakby miał luzy we wszystkich stawach — ręce mu się majtały, gdy chodził, a chodził na uginających się kolanach. Był poza tym blondynem o krótko (czyli do uszu) ściętych włosach, choć miał lok, który notorycznie spadał mu na czoło. Odrzucał głowę, by się go pozbyć, co na nic się nie zdawało, ale loka nie ściał.

Przezwisko natomiast zawdzięczał ulubionej broni — parze trzystopowej długości pałek, którymi operował po mistrzowsku.

— Jestem Vlad Taltos — przedstawiłem się.

Kiwnął głową.

— Chcesz dla mnie pracować? — spytałem.

— Jasne. Dobra stawka.

— To dlatego, że chwilowo jest gorąco. Wiesz, co się dzieje?

Ponownie kiwnął głową.

— Byłeś kiedyś na „robocie”?

— Nie. Brak perspektyw.

— Dyskutowałbym. Słyszałem, co porabiałeś parę lat temu. Co robiłeś ostatnio?

Wzruszył ramionami.

— Znam paru minstreli i trochę knajp. Pomagałem im nawiązać kontakty za procent od zysku. Nudne, ale da się z tego wyżyć.

— To dlaczego przestałeś i wolisz być silnoremkim u mnie?

— Brak perspektyw.

— Aha... dobrze, jesteś przyjęty.

— Dzięki.

— Chwilowo to wszystko.

Pozbierał się powoli do pionu i wyszedł.

Straciłem chwilę na odnalezienie Kragara i spytałem:

— Coś nowego?

— Nie. Próbuję sprawdzić to, o czym mówiłeś, ale jak dotąd bez efektu.

— Próbuj dalej.

— Będę.

— I ściągnij tu Narvane'a i Shoena.

— Jasne.

Skontaktował się z nimi natychmiast i wydał stosowne polecenia. Pozostało jedynie czekać.

\* \* \*

„Lordzie Taltos?”  
„Słucham, Fentor?”  
„Miał pan rację: zamieszki miały prowodyra. To wygląda na celowo sprowokowane zajście.”  
„Każ go ująć. Będę chciał z nim. . .”  
„Niestety to niemożliwe, milordzie.”  
„Nie żyje?”  
„Zginął w zamieszkach.”  
„Rozumiem. Przypadek czy ktoś go załatwił?”  
„Nie sposób dociec: zbyt sprzeczne zeznania świadków.”  
„Należało się tego spodziewać. . . A co w kwestii poprzedniego właściciela?”  
„Ten cały Laris ma je od około dziewięciu tygodni, ale jeszcze nie wiemy, od kogo je kupił. Transakcje są dziwnie powiązane i zawarte na fałszywe nazwiska.”  
„To je rozwiąż i dojdź do konkretów.”  
„Będę próbował.”  
— Kto to był? — spytał Kragar, gdy skończyłem.  
Potrząsałem głową, nic nie mówiąc.  
Wzruszył ramionami, wstał i podszedł do szafy. Wyjął z niej sporą skrzynkę i postawił na biurku ze słowami:  
— Wszystko, co było na liście.  
Skrzynka zawierała raczej duży i dość urozmaicony wybór wyrobów stalowych. Widząc je wszystkie zwalone na kupę, byłem nieco zaskoczony, że taką ilość śmiertelnych narzędzi zdołałem poukrywać na sobie i we własnej odzieży. I to jeszcze tak, że miałem do wszystkiego szybkie i łatwe dojście.  
Czasami jestem naprawdę pomysłowy.  
W pierwszym odruchu chciałem wysłać gdzieś Kragara, by w spokoju wymienić broń, ale po namyśle zdecydowałem się tego nie robić. Złapałem pierwszą z brzegu rzecz — mały nóż do rzucania — sprawdziłem wyważenie i ostrze i wymieniłem go z noszonym dotąd w pelerynie, który odłożyłem na blat. Potem sięgnąłem po następny. . .

\* \* \*

Zaskakujące, ile czasu mi zajęło przebrojenie. Kiedy skończyłem, Narvane i Shoen już czekali. Wychodząc z pokoju, odruchowo przeczesalem dłonią wło-

sy i poprawiłem pelerynę, sprawdzając przy okazji w nie rzucający się w oczy sposób, czy wszystko jest na swoim miejscu.

Narvane powitał mnie ruchem oczu. Shoen kiwnął głową, Kij uniósł dłoń, Świetlik zaś oznajmił:

— Dobrze pana widzieć, szefie, bo już zacząłem myśleć, że jest pan mitem.

— Skoro zacząłeś myśleć, to już jest olbrzymi postęp. Idziemy, panowie!

Tym razem Loiosh nie musiał się domagać, by mógł jako pierwszy znaleźć się za drzwiami. Za nim wyszli Narvane i Świetlik, potem ja, a na końcu pozostałych dwóch. Tym razem Kragar został w biurze.

Skęciliśmy w lewo i skierowaliśmy się ku Malak Circle. Pozdrowiłem kilku klientów, których znałem osobiście, i kilka osób pracujących dla mnie. I miałem wrażenie, że okolica przestała być aż tak ospała jak ostatnim razem, co sprawiło mi dużą ulgę. Nie oznaczało to naturalnie, że przestało się wyczuwać napięcie, za to zdecydowanie mniej było apatii.

Dotarliśmy do tawerny „Fountain”, a potem do znajomych drzwi z lewej strony.

Odezwałem się pierwszy raz od wyjścia z biura:

— Kij.

— Hm?

— Tu się zaczęły kłopoty. Laris otworzył na piętrze salon gry, nie pytając mnie o zgodę.

— Mhm.

— Z tego co wiem, nadal działa. Świetlik i Shoen poczekają tu ze mną.

— Jasne.

I bez dalszego zbędnego gadania ruszyłem ku drzwiom.

Narvane poszedł za nim, w ogóle się nie odzywając. Oparłem się o ścianę i czekałem. Po obu stronach i nieco z przodu miałem Świetlika i Shoena gotowych do akcji.

„Pilnuj od góry, Loiosh” — poleciłem.

„Już to robię, szefie.”

Czekanie nie trwało długo. Najpierw na górze z prawej coś łomotnęło, a moment później rozleciało się z trzaskiem i brzękiem. Wraz z resztkami okna wyleciał ktoś z piętra i znieruchomiał o dziesięć stóp ode mnie. Może minutę później pojawili się Narvane i Kij. Ten ostatni trzymał coś w zaciśniętej lewej dłoni. Dzierżoną w prawej pałką wyrysował przede mną kilka kwadratów, czemu przyglądałem się z rosnącym zaskoczeniem, ale nim zdążyłem się odezwać, zauważyłem, że wokół zaczyna gromadzić się tłumek ciekawskich, więc uśmiechnąłem się promiennie i czekałem.

Kij skończył i otworzył lewą pięść, wysypując na kwadraty kilkanaście czarnych i białych kamieni.

— Małą partyjkę, szefie? — zaproponował.

— Dzięki. Nie gram.  
Pokiwał głową ze zrozumieniem.  
— Brak perspektyw — burknął.  
Ruszyliśmy w dalszą drogę.

\* \* \*

Kiedy wróciłem do biura, mogłem z zadowoleniem poinformować Kragara, że w tym tygodniu spodziewam się zwiększonych wpływów.

Burknął coś pod nosem.

— Możesz coś dla mnie zrobić? — spytałem.

— Co?

— Odwiedź tego gościa, który dał nam cynk o zamachu, i sprawdź, czy nie wywiedział się czegoś więcej.

— Osobiście?

— Właśnie. Twarzą w twarz, że się tak wyrażę.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Chodzi mi o twoją opinię o nim... czy jest wyjątkiem, czy możemy liczyć na innych podobnych... mam dziwne przeczucie, że ta wizyta się opłaci.

Kragar wzruszył ramionami, ale nie protestował.

— Dobra. A nie narazimy go w ten sposób?

— Nie, bo i tak nikt cię nie zauważy.

— Dobra — burknął. — Kiedy? — Na przykład zaraz.

Westchnął, co było miłą odmianą, i wyszedł.

„I co dalej, Loiosh?” — spytałem.

„Dobre pytanie. Może by odszukać Larisa?”

„Z dziką rozkoszą. Tylko powiedz mi jak? Gdyby się ścierwo nie zabezpieczył przed czarami, zaryzykowałbym załatwienie go z marszu bez rozpoznania.”

„Gdybyśmy nie byli zabezpieczeni przed magią, zrobiłby z nami to samo!”

„Fakt. Tyle że niczego nie zmienia... Loiosh...”

„No?!”

„Mam takie wrażenie, jakbym cię ostatnio zaniedbywał... wiesz, od chwili poznania Cawti... przepraszam, stary.”

Polizał mnie po uchu.

„Nie ma sprawy, szefie. Rozumiem: w końcu też pewnie kogoś sobie znajde.”

„Mam nadzieję. Chyba. Powiedz mi, czy ostatnio zachowuję się normalnie? Chodzi mi o to, czy przez Cawti nie jestem bardziej roztargniony albo coś... czy

nie zaniedbuję interesów?”

„Może trochę, ale nie ma się co martwić. Dawateś sobie doskonale radę, kiedy było naprawdę ciężko, a trochę rozrywki nikomu nie zaszkodzi. Poza tym po mojemu i tak nic na to nie poradzisz.”

„Może... wiesz, cieszę się, że jesteś.”

„Też ci się na czułości zebrało!”

\* \* \*

Kragar wrócił dwie godziny później.

— I co? — powitałem go wylewnie.

— I nie wiem, czy się dowiedziałem czegoś pożytecznego czy nie, Vlad. Nie ma pojęcia, gdzie jest Laris, ale jak się dowie, to nam powie. Był strasznie zdenerwowany moim pojawieniem się, ale to zrozumiałe. Zresztą może nie zdenerwowany: zaskoczony, zdumiony, przestraszony i zdenerwowany to lepsze określenie jego stanu. Poza tym w tym, co mówił, nie znalazłem nic, co mógłbym uznać za użyteczne. Zresztą mówił niewiele.

— Hmm... dało ci to jakiś pogląd na to, czy mogą być inni skłonni do współpracy?

Kragar potrząsnął przecząco głową.

— Dobra, pomysł nie wypalił — przyznałem samokrytycznie. — A co z innymi źródłami informacji? Dowiedzieliśmy się o kimś nowym, kto pracuje dla Larisa?

— Nawet o kilkunastu, ale nic nie będziemy mogli zrobić, dopóki nie będziemy mieli kasy. Gdyby trzeba było zapłacić za cokolwiek ekstra, zbankrutowalibyśmy.

— Do końca tygodnia zostały tylko dwa dni... Dobra, zostaw mnie teraz, chcę pomyśleć.

Zrobił, co kazałem.

Rozsiadłem się wygodniej, zamknąłem oczy i znów mi przerwano.

„Lordzie Taltos?”

„Fentor, o co chodzi?”

„Dowiedzieliśmy się części prawdy. Te budynki należały do lorda z Domu Smoka, który zmarł, i od jego śmierci ciągle zmienia się wersja, kto został właścicielem.”

„A kiedy ten lord zmarł?”

„Okolo dwóch lat temu, milordzie.”



„No, to trochę się to ciągnie. I następnego właściciela jeszcze nie zdołałeś ustalić?”

„Nie.”

„Próbuj dalej. A tak na marginesie, to kim był ten zmarły?”

„Magiem. Nazywał się Baritt.”

A tym razem mnie zatkało!

Ta nowina do niczego mi nie pasowała. Istniały dwie możliwości — albo był to przypadek, albo wręcz przeciwnie. Rozsądek podpowiadał przypadek, ale ja w takie zbiegi okoliczności dawno przestałem wierzyć. W życiu one się po prostu nie zdarzają. Przynajmniej mnie.

„Milordzie?”

„Fentor, dowiedz się jak najszybciej wszystkiego co się da w tej sprawie. Użyj tylu pomocników, ilu będziesz musiał, włam się do archiwum czy przekup cesarskiego archiwistę, ale dowiedz się!”

„Dobrze, milordzie.”

Baritt. . .

Potężny mag, lord z Domu Smoka. Był stary, kiedy zmarł, i tak sławny, że nie mówiono już, z jakiego rodu pochodzi. Jego potomkowie zaczęli wręcz mówić o sobie, że są z rodu „e’Baritt”. Zmarł dwa lata temu, a koło jego pomnika stojącego w pobliżu Bramy Śmierci rozegrała się najkrwawsza bitwa od zakończenia Bezkrólewia.

Cholerny Baritt.

Nie lubiłem go, choć ledwie się znaliśmy, i sądząc po nastawieniu jego ducha, kiedy ostatni raz się widzieliśmy, z wzajemnością. Bez trudu mogłem sobie wyobrazić, że był wplątany w jakiś spisek mający wpłynąć na losy Imperium, a zwłaszcza Domu Smoka, ale za to z najwyższym trudem mogłem przyjąć do wiadomości, że babrałby się w coś związanym z Domem Jherega. Z drugiej strony prywatny zabójca był czymś w jego stylu, mógł więc być patronem Larisa, a po jego śmierci został nim któryś z jego spadkobierców. . . Tylko tak konkretnie dlaczego?

Natomiast jeśli istniał związek między moimi problemami z Larisem a kłopotami Norathar z Barittem, oznaczało to skomplikowaną i długotrwałą intrygę. A Smoki po prostu z natury nie są zdolne do wymyślania takich intryg. No, poza Alierą, ale też w ograniczonym zakresie.

Dla własnego bezpieczeństwa lepiej było założyć istnienie takiej intrygi i spróbować ją rozwikłać. Problem polegał na tym, że nie miałem punktu zaczepienia. . . Jedną z możliwości byłaby wycieczka na Ścieżki Umarłych, ale jedynie jako ostateczność: ci, którzy tam przebywali, najprawdopodobniej nie przyjęliby mnie miło. . .

Rozwiązania należało szukać wśród żywych. I można było zacząć od tych budynków, których właściciela nie dawało się ustalić. Powinny należeć do któregoś

ze spadkobierców Baritta. Skoro nie należały, to znaczy, że ktoś sfalszował stosowne dokumenty. I dlatego Fentor miał takie kłopoty z uzyskaniem informacji, na których mi zależało. I w dalszym ciągu najważniejsze pozostawały pytania: kto i dlaczego? Westchnąłem i nawiązałem kontakt telepatyczny z Morrolanem.

„O co chodzi, Vlad?”

„Opowiedz mi o Baricie.”

„Hmmp.”

„Tyle już wiem.”

„Dokładniej czego chciałbyś się dowiedzieć?”

„Jak zmarł?”

„Nie wiesz?!”

„Gdybym wiedział... nie, nie wiem.”

„Zginął z ręki zawodowego zabójcy.”

A to przynajmniej wyjaśniało sens pewnych uwag, które usłyszałem od jego ducha.

„Rozumiem. Jak go załatwiono? Jestem zaskoczony, że mag takiej klasy co on dał się załatwić.”

„Hm, jak dobrze pamiętam, Vlad, to w Domu Jherega macie pewne powiedzenie...”

„A mamy. „Najlepszy nawet mag z nożem w plecach poważnie traci na umiejętnościach”.”

„Właśnie.”

„Więc to był ktoś z Domu Jherega.”

„A słyszałeś o zabójcach z jakiegoś innego domu?”

„Jest cała masa amatorów gotowych za piątaka zadźgać każdego. Jhereg raczej nie bierze zleceń na kogoś, kto nie należy do organizacji, czyli do Domu Jherega. Zresztą takich zleceń praktycznie nie ma, bo nie ma takiej potrzeby. No chyba że ktoś grozi, że poinformuje o czymś władze albo...”

I tu mnie ponownie zatkało.

Morrolan odczekał uprzejmie kilka sekund, nim spytał:

„Albo co, Vlad?”

Chwilowo nic mu nie odpowiedziałem, bo nagle dostrzegłem nowe, znacznie logiczniejsze rozwiązanie problemu, nad którym ostatnio łamałem sobie głowę. To oznaczało bowiem zabójstwo wykonane w ramach uprzejmości na prośbę przyjaciela należącego do innego domu. A to oznaczało, że Baritt wcale nie musiał być mózgiem całego spisku. Mógł być współnikiem, który przestał być potrzebny lub zaczął być niewygodny, i ten, kto wszystkim kierował, kazał go zabić. A ponieważ najprawdopodobniej „robotę” wykonał Laris, jego patron nadal żył i teraz pomagał mu pozbyć się mnie. Ot, taka drobna wymiana uprzejmości.

„Vlad, jesteś tam jeszcze?”

Cierpliwość Morrolana zaczynała się kończyć.

„Przepraszam, Morrolan. Właśnie dzięki tobie wpadłem na coś i próbuję z tym dojść do ładu. Poczekaj jeszcze chwilę, dobrze?”

„Poczekam.”

Kontynuując wywód logiczny — patronem Larisa był ktoś, kto jeszcze dwa lata temu, a na pewno trzy, współpracował blisko z Baritem. Kto może coś wiedzieć o czymś takim?

„Morrolan, muszę się dowiedzieć, kto współpracował z Baritem w ciągu przynajmniej ostatniego roku przed jego śmiercią. Nie wiesz, kto mógłby to wiedzieć?”

„Nie mam pojęcia, Vlad. Ani sam tego nie wiem, bo nigdy nie byliśmy zbyt blisko, ani nie wiem, kto mógłby być zorientowany w tej kwestii. Może powinienś zjawić się tu i popytać?”

„To rzeczywiście niezły pomysł... dzięki. Porozmawiamy jeszcze o tym.”

„Z pewnością, Vlad.”

No i proszę, co się porobiło.

Laris miał co najmniej jednego wspólnika — najprawdopodobniej lorda z Domu Smoka — który pomagał mu mnie zniszczyć. Należało go znaleźć, by wyrównać szansę, tym bardziej że mogła wystarczyć sama próba ujawnienia jego udziału, by wycofał się ze wspierania Larisa. Członkowie Domu Smoka mają bowiem dość niską opinię o Smoku pomagającym Jheregowi. A najprościej odnaleźć go można poprzez te budynki po Baritcie...

Hmm... czas wziąć się do pracy.

„Fentor?”

„Słucham, lordzie Taltos?”

„Sporządź listę wszystkich jeszcze żywych spadkobierców Baritta. Ktoś się po nią zgłosi za godzinę.”

„Za godzinę?!”

„Tak.”

„Ale... rozumiem, milordzie.”

Skończyłem połączenie telepatyczne z nim i natychmiast nawiązałem nowe z kimś innym.

„Witaj, Sethro.”

„O, dobry wieczór, Vlad. Co mogę dla ciebie zrobić?”

„Czy nadal niezbędne jest przetrzymywanie Cawti i Norathar w areszcie domowym?”

„Właśnie rozmawiamy o tym z Alierą. Dlaczego pytasz?”

„Bo bardzo by mi pomogło, gdyby Cawti miała wolny wieczór.”

„Rozumiem... Dobrze, Vlad. Ani Alierą, ani Morrolan nie mają nic przeciwko.”

„Wypuście obie?”

„Naturalnie. Według nas Norathar jest Smokiem, więc to oczywiste.”

„Rozumiem. Tym niemniej dziękuję.”

„Nie ma za co. Zaraz je powiadomię.”

„A możesz za pięć minut?”

„Skoro ci na tym zależy.”

„Zależy, dzięki.”

Wzięłem głęboki oddech i zacząłem się koncentrować na Cawti, której tak naprawdę wcale nie znałem. Wyobraziłem sobie jej twarz, jej głos, jej. . .

„Vladimir!”

„Zgadłś za pierwszym razem. Co robisz wieczorem?”

„Jak to co robię?! Siedzę na tyłku! Twoi przyjaciele jeszcze nas nie wypuścili z aresztu.”

„Myślę, że to akurat da się załatwić. Jeśli się da, to czy będzie pani tak łaskawa i pozwoli się zaprosić na niewielkie zebranie towarzyskie dziś wieczór?”

„Pani będzie zaszczycona, mój miły panie.”

„Doskonale. W takim razie zobaczymy się za godzinę.”

„Będę czekała.”

Zakończyłem telepatyczną łączność i mając dość wysiłania umysłu, wrzasnąłem na ochronę. Należało się stosownie ubrać, czyli znaleźć w domu. W końcu nie idzie się w byle czym na przyjęcie do Czarnego Zamku.

## Rozdział dwunasty

*„Milutka, no nie?”*

Dwa teleporty po opuszczeniu mieszkania znalazłem się na dziedzińcu Czarnego Zamku z Cawti i protestującym żołądkiem. Cawti wyglądała zabójczo w długich, bufiastych spodniach szarej barwy, koszuli tegoż koloru i szarej pelerynie z czarnym obszyciem. Ja miałem na sobie czyste portki, czysty kaftan i moją pelerynę. Wyglądaliśmy na dobraną parę.

Jak zwykle powitała nas lady Teldra, mówiąc Cawti po imieniu, jakby znała ją od lat. Udaliśmy się do sali bankietowej. Musieliśmy tworzyć niezwykłą parę — dwoje ludzi w barwach Domu Jherega z Loiošem siedzącym tym razem na moim lewym ramieniu, a więc pomiędzy nami.

Nikt nie zwrócił na nas uwagi.

Skontaktowałem się z Fentorem, by wiedział, gdzie mnie szukać. Zjawił się błyskawicznie i dyskretnie wręczył mi zwiniętą kartkę. Po jego wyjściu pokręciliśmy się, przyglądając się tak zebranym, jak i wystrojowi sali. No i naturalnie będąc obiektem przypadkowych obelg. Po jakimś czasie przedstawiłem Cawti Nekromantce.

Wymieniły uprzejme ukłony, ale Nekromantka nie była zainteresowana znajomością. Nie dlatego, że nie lubiła ludzi czy nie spodobała się jej Cawti — dla niej było bez znaczenia, do jakiej rasy czy domu ktoś należy. Istotne było, czy jest żywy czy martwy. Preferowała martwych.

Tym niemniej spytałem:

— Znałaś Baritta?

Przytaknęła z lekkim roztargnieniem.

— Wiesz, z kim współpracował krótko przed śmiercią?

Zaprzeczyła z porównywalnym roztargnieniem.

— Serdeczne dzięki — ukłoniłem się na wszelki wypadek.

Podryfowaliśmy dalek zgodnie z ruchem tłumu.

— Vladimir, o co chodzi z tym Baritem? — spytała Cawti.

— Wychodzi mi, że ktoś stoi za Larisem. Ktoś bogaty i wpływowy, prawdopodobnie z Domu Smoka. Sądzę, że ten ktoś współpracował z Baritem w okresie poprzedzającym jego śmierć. Próbuję dowiedzieć się, kto to.

Znalazłem spokojny kątek i pokazałem jej kartkę od Fentora. Znajdowało się na niej siedem nazwisk. Żadne mi nic nie mówiło.

— Kojarzysz któreś? — spytałem

— Nie. A powinnam?

— Spadkobiercy Baritta. Wychodzi na to, że będę musiał ich wszystkich sprawdzić.

— Dlaczego?

Streściłem jej całą sprawę zamieszek i jej związek z atakiem na mnie.

Twarz Cawti wykrzywił grymas wściekłości.

— Gdybym wiedziała, co temu elfowi chodzi po łbie... — warknęła.

— Larisowi?

Nie odpowiedziała.

— Dlaczego to cię aż tak rozzłościło?

Spojrzała na mnie zaskoczona.

— Dlaczego? Wykorzystał ludzi, żeby zmusić innego człowieka, czyli mnie, do zabicia ciebie, również człowieka. Po to, by pomanipulować paroma gwardzistami, wielu ludzi zostało zabitych czy pobitych. A ty się dziwisz?

— Jak długo żyjesz w Imperium, Cawti?

— Od urodzenia.

— Ja też — wzruszyłem bezradnie ramionami. — Ludzie są tu prześladowani i zabijani od zawsze. Chyba się do tego przyzwyczyłem... można by rzec, że spodziewam się podobnych rzeczy...

Spojrzała na mnie chłodno:

— I już cię to nie wzrusza, co?

Otworzyłem usta i zaniknąłem je bez słowa. I tak kilka razy.

— Nie powiem, żeby mnie wzruszało... — wydusiłem w końcu. — Ale cholera... sama wiesz, jacy ludzie żyją we Wschodniej Dzielnicy. Ja się stamtąd wy dostałem. Ty też. Każdy z nich...

— Bzdury! I oboje o tym wiemy. Każdy alfons ma podobną śpiewkę! Nie wykorzystują ich bardziej, niż same tego chcą. Przecież mogą robić co innego, nikt ich do tego nie zmusza. Skoro to robią, to lubią! Pewnie masz podobną opinię o niewolnikach, zgadza się? Przecież gdyby im to nie odpowiadało, to by uciekli.

Prawdę mówiąc, ani kwestia wzajemnych stosunków między sutenerami a panienkami, ani niewolnictwo w ogóle nigdy nie było czymś, czym bym sobie głowę zaprzętał. Miałem ważniejsze problemy, bo dotyczące mojej skromnej osoby. Jednak błysk w oczach Cawti sugerował, że nie zrobiłem czegoś, co powinienem był zrobić, co mnie ubodło do żywego.

— Posłuchaj: nigdy nie wzięłem „roboty”, której celem miał być człowiek, więc bądź uprzejma nie wciskać mi. . .

— Tylko nie zaczynaj! Już o tym mówiliśmy. Żałuję, że to zrobiłam, przeprosiłam cię, prawda? Ale to była praca, a praca nie ma nic wspólnego z przekonaniami. Ani z tym, że nie obchodzi cię to, co dzieje się z tymi, na których powinno ci najbardziej zależeć, bo należą do tej samej rasy co ty! — i nadal spoglądała na mnie z ciężką pretensją w oczach.

Wielu już tak robiło i nie wywierało to na mnie większego wrażenia. Już miałem się odciąć, gdy uświadomiłem sobie, że mogę ją stracić przez bezsensowną różnicę zdań w absolutnie dla mnie nieważnej kwestii. A zaczynało do mnie docierać, co stracę, jeśli nie ugryzę się w język i nie skończę tej idiotycznej rozmowy.

— Cawti — powiedziałem, ale głos mi się załamał.

Odwróciła się bez słowa.

I tak staliśmy w kącie w towarzystwie tłumu Dragaerian, którzy dla nas nie istnieli, bo byliśmy we własnym prywatnym wszechświecie.

Nie wiem, ile czasu tak staliśmy, nim w końcu odwróciła się do mnie i powiedziała:

— Zapomnijmy o tym, Vlad. Chodźmy się zabawić.

Potrząsnąłem przecząco głową.

— Poczekaj.

— Tak?

Wzięłem ją za rękę i zaprowadziłem do małej alkowy w jednej ze ścian sali. Tam ująłem także drugą jej dłoń i powiedziałem:

— Cawti, mój ojciec miał restaurację, do której przychodzili tylko członkowie domów Teckli i Jherega, bo reszta nie chciała się z nami zadawać. Mój ojciec, żeby jego dusza była przeklęta przez tysiąc lat, nie pozwalał mi się bawić czy mieć znajomych wśród ludzi, bo chciał, by zaakceptowały go elfy. Nie wiem, jak to było w twoim wypadku, ale on za oszczędności całego życia kupił tytuł w Domu Jherega i w ten sposób stał się obywatelem Imperium. Ja przy okazji też. Odbiło mu tak dalece, że kazał mi się uczyć sztuki fechtunku na dragaeriańską modłę, mimo że człowiek nigdy w ten sposób nie wygra z elfem. Zakazał mi uczyć się czarów, bo chciał być zaakceptowany. . . Mogę tak wymieniać z godzinę. Oczywiście nie został zaakceptowany. Traktowali go jak gówno teckli. Mnie też. Ci, którzy nie gardzili nami dlatego, że byliśmy ludźmi, nienawidzili nas, bo byliśmy Jheregami. Okoliczna gówniarzeria zrobiła sobie zabawę z łapania mnie i obijania, kiedy ojciec mnie po coś wysyłał, dopóki. . . nieważne. Nie wątpię, że możesz mi podać równie złe przykłady, bo nie o to chodzi. Nienawidzę ich. Przyłączyłem się do organizacji, żeby zarabiać na tym, że ich biję. A na „robotę” zdecydowałem się, bo zabijanie jest lepiej płatne i przyjemniejsze. Mam zamiar wspiąć się tak wysoko, żebym mógł postępować po swojemu, według własnych

zasad. A wtedy pokażę im, czym się kończy pogardzanie człowiekiem. Są wśród nich wyjątki: Morrolan, Sethra, Alera, dla ciebie pewnie Norathar. Ale te wyjątki tylko potwierdzają regułę. Nawet mając do czynienia ze swoimi pracownikami, muszę się pilnować, żeby nie okazać, że nimi gardzę i że tak naprawdę sam bym ich najchętniej pozabijał. Coś ci powiem: przyjaciele, których właśnie wymieniłem, wczoraj dyskutowali przy mnie na temat inwazji na Wschód, tak jakbym nie był człowiekiem albo jakby mnie tam nie było. Miłe, prawda? I dlatego nic mnie to nie obchodzi. Nie może mnie obchodzić, bo inaczej nie mam szans na osiągnięcie tego, co sobie postanowiłem. A naprawdę niewiele rzeczy sprawia taką przyjemność jak dopięcie swego. Obojętne czy chodzi o drobiazgi, czy o coś wielkiego. A teraz zapytam cię o coś: ilu osobom możesz zaufać? I nie chodzi mi o to, że wiesz, że nie wsadzą ci noża w plecy, ale o prawdziwe zaufanie, o szczerość. Jak dotąd mogłem tak zaufać jedynie Loioshowi. Bez niego dawno bym zwariował, ale z trudem możemy o takich sprawach rozmawiać jak równi sobie... Kiedy ciebie znalazłem... nie wiem, Cawti, wiem tylko, że nie chcę cię stracić. A już na pewno nie przez coś tak głupiego. A poza tym gadam za dużo. I dlatego więcej już nie będę: to wszystko, co chciałem ci powiedzieć.

W czasie mojej przemowy jej twarz łagodniała, a z oczu zniknęła wściekłość. Gdy skończyłem, przytuliła się do mnie i objęła mocno.

— Kocham cię, Vlad — powiedziała miękko.

Wtuliłem twarz w jej szyję i odetchnąłem z ulgą.

Loiośh polizał mnie po karku.

Poczułem, że Cawti drapie go pod brodą.

Alkowę opuściliśmy jakiś czas później. Cawti ujęła mnie pod ramię, ja przykryłem jej dłoń swoją, a Loiośh puszył się, jakby to wszystko było jego zasługą.

Zauważyłem Adeptkę w Zieleni, ale ominąłem ją — nie miałem ochoty na wymianę złośliwości. Szukałem Morrolana, ale go nie dostrzegłem. Dostrzegłem za to Nekromantkę rozmawiającą z wysoką Dragaerianką o ciemnych włosach. Odwróciła się na moment w naszą stronę i zaskoczyło mnie jej podobieństwo do Sethry Lavode. Czyżby...

Podszedłem wraz z Cawti i ukloniłem się uprzejmie.

— Proszę wybaczyć — oświadczyłem grzecznie, kiedy przerwały rozmowę. — Jestem Vladimir Taltos z Domu Jherega. A to jest Sztylet Jherega. Czy mogę spytać, z kim mam honor?

— Może pan — odparła.

Poczekalem dwie sekundy, spodziewając się ciszy, i spytałem ze złośliwym już uśmiechem:

— W takim razie pytam, z kim mam honor?

— Jestem Sethra.

Dobrze podejrzewałem!

— Wiele o pani słyshałem od jej imienniczki.



— Nie wątpię. Jeśli to wszystko, co chciał pan powiedzieć, to dobrze się składa, gdyż jestem chwilowo zajęta.

— Rozumiem — nadal byłem uprzejmy. — Prawdę mówiąc, gdyby mogła mi pani poświęcić kilka chwil. . .

— Mój drogi człowieku, zdaję sobie sprawę, że Sethra Lavode z sobie tylko znanych powodów toleruje twoje towarzystwo, ale ja już nie jestem jej uczennicą i nie widzę powodów, bym musiała to robić. Nie mam czasu dla ludzi ani dla Jheregów. Czy wyraziłam się jasno?

— Całkowicie — przytaknąłem ciągle uprzejmie i skłoniłem się.

Cawti zrobiła to samo.

Loiosh syknął obelżywie.

Odeszliśmy ze dwa kroki, nim przestałem się uprzejmie uśmiechać.

— Milutka, no nie? — wycedziłem przez zaciśnięte zęby.

— Jak cholera — przyznała podejrzenie uprzejmym głosem Cawti.

W tym momencie do sali wszedł Morrolan eskortujący Norathar ubraną w czerń i srebro — barwy Domu Smoka. Spojrzałem na Cawti — jej twarz była starannie pozbawiona wyrazu. Podeszliśmy, przepychając się niepostrzeżenie przez tłum.

Norathar i Cawti przez moment spoglądały sobie w oczy i pojęcia nie mam, o czym rozmawiały telepatycznie, ale obie uśmiechały się. A Cawti powiedziała głośno:

— Do twarzy ci w tych kolorach, pasują idealnie.

— Dziękuję — odparła miękko Norathar.

Na małym palcu prawej dłoni miała pierścień ze Smoczym Łbem — oba ślepia miały czerwoną barwę.

— To oficjalnie potwierdzone? — spytałem Morrolana, wskazując wzrokiem pierścień.

— Jeszcze nie. Alier rozmawiała z Radą o konieczności rozpoczęcia śledztwa, więc zajmie to jeszcze kilka dni.

Norathar i Cawti rozmawiały o parę kroków od nas. Morrolan zaś milczał — to rzadka cecha u mężczyzny, zwłaszcza zaś u arystokraty, ale on wiedział, kiedy należy zachować milczenie. Potrząsnąłem głową, spoglądając na Cawti. Najpierw mnie rozgniewała, potem się przed nią wyspowiadałem z problemów, a wszystko to w momencie, w którym jej wieloletnia (co najmniej pięcioletnia) partnerka miała stać się lady z Domu Smoka. Znów.

To, co przeszła w dzieciństwie, musiało być podobne do moich doświadczeń, a Norathar była dla niej prawdopodobnie tym, kim dla mnie Loiosh. A teraz wiedziała, że traci tego kogoś i tę przyjaźń.

Naprawdę potrafie być tępy i to nawet niespecjalnie się starając!

Z braku miłszego zajęcia przyglądałem się Cawti, stojąc nieco z tyłu i z boku. Tak naprawdę to nigdy dotąd się jej uczciwie nie przyjrzałem, prawdą starą

jak świat jest bowiem to, że wygląd nie ma nic wspólnego z kwestią wspólnego sypiania. Nie ulegało wątpliwości, że Cawti była atrakcyjna według wszelkich ludzkich standardów urody. Miała ładnie zaokrąglone uszy i ani śladu zarostu na twarzy — wbrew przekonaniom niektórych Dragaerian tylko mężczy przedstawiciele rasy ludzkiej mają wąsy. Choć przyznaję, że nie wiem dlaczego.

Była drobniejsza ode mnie, ale miała długie nogi, przez co sprawiała wrażenie wyższej, niż była w rzeczywistości. Miała pociągłą twarz prawie przywodzącą na myśl kogoś z Domu Sokoła, czarne, proste włosy sięgające nieco poniżej ramion i przenikliwe brązowe oczy. Włosom musiała poświęcać sporo uwagi, gdyż lśniły i były równo przycięte.

Piersi miała małe, lecz jędrne, i smukłą kibić. Pośladki także małe, a nogi smukłe i dobrze umięśnione. Tego ostatniego naturalnie nie widziałem w tym momencie, ale mam dobrą pamięć i żywą wyobraźnię. Ogólnie rzecz biorąc, wybrałem nie najgorzej. Może to nieco chamska metoda podsumowania, ale...

Chyba poczuła mój wzrok, bo odwróciła się nagle. Z jakiegoś powodu sprawiło mi to przyjemność. Wyciągnąłem ku niej dłoń i nim podeszła, spróbowałem skontaktować się z nią telepatycznie. Poszło znacznie łatwiej niż za pierwszym razem.

„Cawti...”

„Wszystko w porządku, Vlad.”

W tym momencie podeszła do nas Norathar i powiedziała:

— Chciałabym zamienić z panem parę słów, lordzie Taltos.

— Proszę mi mówić Vlad.

— Jak sobie życzysz. Przepraszamy państwa — dodała pod adresem pozostałych i odeszliśmy do najbliższego wolnego kąta.

Zanim zdążyła się odezwać, powiedziałem:

— Jeśli masz zamiar wygłosić ostrzeżenie w stylu „tylko się nie waź skrzywdzić jej w jakikolwiek sposób”, to sobie daruj. Nie mam takiego zamiaru.

Uśmiechnęła się chłodno.

— Wygląda na to, że zdążyłeś mnie poznać — przyznała. — Natomiast nie widzę powodu, dla którego nie miałabym ci powiedzieć tego, co chcę. Wiesz, że mówię poważnie: skrzywdzisz ją bez powodu i zabiję cię. Boleśnie i ostatecznie. Uważam, że powinnam ci to powiedzieć.

— Rozsądny sokół nie pokazuje szponów — odparłem. — A tylko słaby zabójca ostrzega cel.

— Próbujesz mnie rozgniewać, Vlad? Troszczę się i martwię o Cawti. Na tyle, że zniszczę każdego, kto ją zrani. Uważam, że powinieneś o tym wiedzieć. Tak jest uczciwie.

— To miło z twojej strony. A co z tobą? Nie sprawiłaś jej przypadkiem więcej bólu i nie zraniłaś głębiej, niż ja kiedykolwiek zdołałbym?

Ku mojemu zaskoczeniu nawet się nie zirytowała.

— Może to tak wyglądać i wiem, że ją zraniłam. Ale na pewno nie tak, jak ty mógłbyś. Znam ją, widzę, jak na ciebie patrzy, i wiem, co do ciebie czuje.

Wzruszyłem ramionami.

— Miła świadomość, ale w sumie bez znaczenia — oznajmiłem. — Biorąc pod uwagę, jak w tej chwili stoją sprawy, to za tydzień, a góra dwa będę martwy.

Przytaknęła, ale nic nie powiedziała. Nie można było jej zarzucić, by była uosobieniem współczucia.

— Gdybyś naprawdę chciała, by nikt nie zranił Cawti, mogłabyś spróbować pomóc mi przeżyć.

Uśmiechnęła się.

— Dobra próba, Vlad. Ale wiesz, że mam swoje zasady.

Wzruszyłem ramionami i skorzystałem z okazji:

— Gdybym wiedział, że on was szuka, sam bym to zrobił. Wtedy nie byłoby tych wszystkich problemów.

— Ten, kto nas wynajął, nie musiał nas szukać. Wiedział, gdzie można znaleźć, więc nie miałeś szans się o tym dowiedzieć.

— No proszę. Szkoda, że nie zaliczałem się do grona uprzywilejowanych.

— Prawdę mówiąc, nie sądziłam, że on się zalicza. . . nie wiem, skąd to wiedział, bo jak się orientujesz, nie była to powszechnie znana informacja, ale teraz to już bez znaczenia. Powiedziałam ci, co chciałam, i sądzę. . .

Urwała i spojrzała ponad moim ramieniem na coś, co ją zaskoczyło. Z nawyku nie odwróciłem się.

„Co jest, Loiosh?”

„Ta menda, którą spotkałeś ostatnim razem. Zzieleniała adeptka czy jak jej tam.”

„Pięknie, cholera, pięknie.”

— Mogę przerwać tak zajmującą rozmowę? — rozległo się z tyłu.

Spojrzałem na Norathar, unosząc pytająco brwi. Skinęła głową, więc się odwróciłem i dokonałem prezentacji. A raczej częściowej prezentacji. . .

— Lady Norathar e’Lanya z Domu Smoka, a to. . .

— Adeptka w Zieleni — przerwała mi Adeptka w Zieleni. — I potrafię sama się przedstawić, człowieku.

— Zauważyłem. Nie ma to jak dobre wychowanie, prawda. . . Dragaerianko? — i nim zdążyła coś powiedzieć, ukloniłem się uprzejmie Norathar. — Pani wybacz.

Loiosh wyszczał obelgę pod adresem Adeptki.

Odchodząc, usłyszałem początek rozmowy.

— Ci ludzie stają się niemożliwi! — prychnęła Adeptka w Zieleni. — Prawdziwą przyjemność sprawi mi, gdy Sethra Młodsza zabierze się do nich. A pani?

— Mam zdecydowanie inne przyjemności — odparła chłodno Norathar.

A potem byłem już zbyt daleko, by usłyszeć coś jeszcze.

I w tym momencie mnie olśniło.

Szukałem adeptki z Domu Athyry knującej przeciwko Norathar. Adeptka w Zieleni należała do Domu Athyry... Należało obmyślić sposób sprawdzenia tego podejrzenia.

Wróciłem do Cawti i spytałem:

— Coś cię tu jeszcze zatrzymuje?

Wyglądała na zdziwioną, ale potrząsnęła przecząco głową.

— Możemy stąd wyjść?

— A nie będziesz sprawdzał tej listy?

— Ta impreza trwa dwadzieścia cztery godziny na dobę przez pięć dni w tygodniu. Zrobię to przy następnej okazji.

Pożegnałem ukłonem Morrolana i nikogo więcej. Wyszliśmy nie zaczepiani przez nikogo i spokojnie dotarliśmy do drzwi. Czekał tam jeden z etatowych adeptów Morrolana — podałem mu, gdzie ma nas teleportować.

Kiedy zjawiliśmy się w moim mieszkaniu, żołądek przewracał mi się bardziej niż zwykle. Nie sądzę, że jedynie za sprawą teleportu.

Wynajmowałem wówczas piętro nad kołodziejem mającym warsztat i sklep przy Garshos Street w pobliżu wylotu na Copper Lane. Jak na to, ile za nie płać, było nader przestronne, a to dlatego iż spadzisty dach denerwował Dra-gaerian. Zanim zaczęły się problemy z Larisem, stałem zresztą na tyle dobrze finansowo, że samego mnie zaczynało irytować to, że mieszkam na poddaszu. Na szczęście nie zmieniłem jeszcze mieszkania na większe i droższe.

Kiedy Cawti zwiedziła je, siedliśmy na szezlongu, objąłem ją delikatnie i zaproponowałem:

— Opowiedz mi o sobie.

Zrobiła to. Była to naprawdę długa i — tak jak się spodziewałem — przykra historia.

Potem rozmawialiśmy o różnościach. Między innymi pokazałem jej tarczę tak umieszczoną na ścianie jednego z pokoiów, że mogłem ciskać w nią nożami przez korytarz, mając do niej dobre trzydzieści stóp. Tarcza, tak na marginesie, miała kształt smoczego łba. Na próbę wyjąłem z szuflady pół tuzina noży do rzucania i cisnąłem nimi kolejno. Cztery utkwily w lewym ślepiu.

— Ładne skupienie — oceniła. — Mogę spróbować?

— Oczywiście.

Umieściła pięć w prawym, a ostatni o mniej niż pół cala z boku.

— Widzę, że będę musiał potrenować — oceniłem.

Pokazała w uśmiechy zęby.

„Vlad” — powiedział ktoś telepatycznie.

„Czego, do naglej i niespodziewanej cho... a, witaj, Morrolan.”

„Odezwałem się nie w porę, Vlad?”

„Mogłeś gorzej trafić. Co się stało?”

„Właśnie rozmawiałem z Alierą. Sprawdziła, kto brał udział w ponownym badaniu lady Norathar. Możesz także poinformować swoją przyjaciółkę Cawti, że Rada wyznaczyła na jutro na szóstą po południu ponowne, oficjalne badanie genetyczne.”

„Powie jej. I kto to był?”

„Z Domu Lyorna hrabina Neorenti, a z Domu Athyry baronowa Tierella.”

„Baronowa, tak? Słuchaj, ta baronowa Tierella to przypadkiem nie Adeptka w Zieleni?”

„Co?! Toż to absurd! Ona...!”

„Jesteś pewien?”

„Zupełnie pewien. Dlaczego pytasz?”

„Właśnie szlag trafił teorię, która mi nader pasowała. Dobra, dzięki za wiadomość.”

„Proszę cię uprzejmie. Miłego wieczoru, szkoda, że nie mogłeś dłużej zostać na przyjęciu.”

„Innym razem, Morrolan.”

Przekazałem Cawti nowiny dotyczące Norathar, które, jak się należało spodziewać, pozbawiły ją radosnego nastroju, ale nie miałem innego wyjścia. Otworzyłem butelkę wina, rozlałem do kielichów i połączyłem się telepatycznie z Fen-torem.

„Słucham, lordzie Taltos.”

„Dom Lyorna — hrabina Neorenti. Dom Athyry — baronowa Tierella. Sprawdź, czy żyją, jeśli tak, to gdzie mieszkają. Jeśli nie, w jaki sposób zmarły. To pilne.”

„Rozumiem, milordzie.”

Cawti westchnęła.

— Już skończyłem — zapewniłem ją. — To był tylko...

— Nie o to chodzi. Po prostu żałuję, że nie mogę ci jakoś pomóc z Larisem. Problem w tym, że wszystko, co wiem, wiem od niego, a tego nie mogę ci zdradzić, nawet gdyby było ważne.

— Rozumiem — powiedziałem poważnie. — Wiem, co obejmuje tajemnica zawodowa, i wiem, że musisz żyć w zgodzie z własnym sumieniem.

Przytaknęła i dodała:

— A jeszcze tydzień temu wszystko było takie jasne i proste! Byłam szczęśliwa... chyba. Byłyśmy bezpieczne... zabijam elfy z tych samych co ty powodów, a Norathar nienawidziła wszystkich. Poza mną, jak sądzę. Teraz... cóż, pewnie że się cieszę, że stała się tym, kim chciała, mimo że zdołała siebie przekonać, że już tego nie chce, ale...

Umilkła i wzruszyła wymownie ramionami.

— Wiem — powiedziałem, starannie ważąc słowa.

Miałem ochotę zapewnić ją, że teraz ja będę zawsze obok, a nawet że ją Kocham, ale nie mogłem tego powiedzieć. A to z tego prostego powodu, że wszystko faktycznie wskazywało na to, iż w niedługim czasie w ogóle mnie nie będzie. Laris miał więcej środków niż ja, a co ważniejsze wiedział, gdzie mnie znaleźć, o czym ja, jeśli chodzi o niego, nie miałem pojęcia. W tych warunkach nie mogłem powiedzieć nic, co obudziłoby w niej nadzieję na przyszłość i wiązało ją ze mną. Dlatego tylko potrząsnąłem głową i nic nie powiedziałem.

Spojrzałem na nią i zauważyłem, że przygląda się czemuś ponad moim ramieniem i leciutko kiwa głową.

„Loiosh!”

„Co, szefie?”

„Coś ty jej właśnie naopowiadał, gadzino?”

„To, co sam powinienesz jej powiedzieć, gdybyś nie miał zakutego łba, szefie.”

Skoczyłem ku niemu, ale odleciał, cholernik, na żyrandol. Właśnie się rozglądałem za miotłą, żeby go strącić przy minimalnych stratach dla oświetlenia, gdy poczułem na ramieniu delikatny dotyk.

— Vladimir — zaproponowała spokojnie. — Chodźmy do łóżka.

Cóż, była to zdecydowanie atrakcyjniejsza propozycja niż skręcenie karku łuskowatemu cwaniakowi o niewyparzonej gębie.

## Rozdział trzynasty

*„A uważasz, że niby co zrobię? Pocałuję go czy co?!”*

„Lordzie Taltos?”

„O co chodzi, Fentor?”

Przy okazji rozbudziłem się na dobre i przytuliłem mocniej Cawti.

„Odnalazłem hrabinę Neorenti.”

„Dobra robota! A co z tą drugą?”

„Milordzie, jest pan pewien, że to właściwe nazwisko? Baronowa Tierella?”

„Tak mi podano. Mogę sprawdzić, ale w czym problem?”

„Sprawdziliśmy wszystkie archiwa i to naprawdę dokładnie. W Domu Athiry nigdy nie było nikogo nazwiskiem Tierella.”

Westchnąłem, nie pierwszy raz zastanawiając się, dlaczego życie musi być tak cholernie skomplikowane.

„Dobrze, Fentor. Będę się tym martwić jutro. Prześpij się.”

„Mam taki zamiar, milordzie.”

Zakończyliśmy rozmowę, ale Cawti i tak zdążyła się obudzić.

— Co się stało, Vlad? — spytała.

— Nowe kłopoty. Ale będziemy się nimi martwić później.

— Mmmmm — mruknęła.

„Loiosh?”

„Co, szefie?”

„Prowizorycznie ci się upiekło.”

„Niby dlaczego prowizorycznie?!”

\* \* \*

Kilka krótkich miłych godzin później byliśmy na nogach i w pełni sprawni. Cawti zaprosiła mnie na śniadanie, ale zanim wyszliśmy, rozejrzała się po

kątach, skrytykowała tanią reprodukcję doskonałego szkicu Katany przedstawiającego Górę Dzur, cztery tandetne podróbki wschodnich wyrobów z kryształu i kontynuowałyby to pewnie z pół dnia, gdybym w końcu nie oświadczył:

— Poinformuj mnie, jak skończysz inspekcję, bo jestem głodny.

— Hm. . . Co? O, przepraszam — rozejrzała się raz jeszcze po mieszkaniu. — Tak jakoś nagle poczułam się jak w domu.

Coś mnie złapało za gardło, więc chwyciłem Cawti i poprowadziłem ją zdecydowanie ku drzwiom.

— Vladimirze, gdzie pójdziemy coś zjeść?

— Jest takie miejsce parę domów stąd. Małe, czyste i dają klawę, którą da się pić; nie trzeba kroić.

— Brzmi zachęcająco.

Loiosh zajął miejsce na moim ramieniu i zesliśmy na ulicę. Była dopiero czwarta po świcie, więc ruch panował niewielki, a okolica zaczynała się budzić. Zaprowadziłem Cawti do knajpki „U Tsedika”, gdzie zafundowała mi dwie parówki, parę pieczonych nóg kurczaka i stosowną do popicia ilość klawy. Dla siebie zamówiła to samo.

Zajęliśmy się posiłkiem i dopiero po zaspokojeniu pierwszego głodu powiedziałem:

— Właśnie sobie uświadomiłem, że jeszcze ani razu nie przygotowałem ci posiłku.

— Tak się zastanawiałam, kiedy o tym wspomnisz — uśmiechnęła się.

— Skąd wiesz, że gotuję? Cholera, ta skleroza mnie kiedyś dobije. Muszę się zainteresować twoją przeszłością, żeby wyrównać szansę.

— Opowiedziałam ci jej większą część wieczorem. — To się nie liczy. Poza tym nie chodzi o historię, tylko o przyzwyczajenia, umiejętności i tak dalej.

Nic nie odpowiedziała.

A ja zorientowałem się, która godzina, i stwierdziłem, że najwyższy czas pracować. Przeprosiłem Cawti i skontaktowałem się telepatycznie z Morrolanem.

„Tak, Vlad?”

„Ta Athyra, co mi podałeś, to jej nie ma.”

„Przepraszam, nie rozumiem, prawda?”

„Ona nie należy do Domu Athyry.”

„To do czego, jeśli wolno spytać?”

„Z tego co na razie wiem, może w ogóle nie istnieć. W archiwum Domu Athyry nie ma śladu po kimś, kto nosiłby takie nazwisko. Kiedykolwiek.”

Zapadła cisza.

„Sprawdzę to i poinformuję cię, jak tylko czegoś się dowiem” — obiecał w końcu Morrolan.

„Dobrze.”

Westchnąłem.



Reszta śniadania upłynęła w ciszy. Przyspieszało to jedzenie i bardzo dobrze, bo śniadanie w lokalu bez stosownej obstawy było proszeniem się o kłopoty. Wystarczyło, by jeden kelner był na usługach Larisa albo po prostu chciał zarobić i przekazał telepatyczną wiadomość komu trzeba. Mogli bez trudu wysłać zabójcę, a w tak krótkim czasie nikt by na niego nie zwrócił uwagi.

Cawti to rozumiała i to tak dobrze, że wyszła pierwsza, żeby się rozejrzeć.

Podobnie jak Loiosh.

— Vladimir!

„Szefie, uwaga!”

Oba ostrzeżenia rozległy się równocześnie i po raz pierwszy w życiu zamarłem, nie wiedząc, co robić. Instykt podpowiadał, by pryskać, rozsądek, by pomóc Cawti. I w efekcie stałem w proggu jak idiota — albo idealny cel.

Z bezczynności wyrwało mnie nagłe pojawienie się przede mną kogoś z magiczną różdżką w dłoni. Nim się zorientowałem, miałem w garści Spellbreakera i zamachnąłem się nim w kierunku napastnika. Zadziały odruchy i dobrze się stało — poczułem w ręku mrowienie oznaczające przechwycenie jakiegoś magicznego ataku. Adept zaklął, ale nic więcej nie zdążył zrobić, gdyż z boku szyi wykwitł mu nóż. Najwyraźniej Cawti radziła sobie na tyle dobrze, by uważać na to, co się ze mną dzieje. Wyciągnąłem sztylet i wypadłem na zewnątrz.

Już w locie zdołałem złapać telepatycznie Kragara i wrzasnąć:

„Pomocy!”

A potem zobaczyłem, że napastników jest trzech, i przestałem mieć czas na cokolwiek poza działaniem. Jeden wrzeszczał i oganiał się przed Loioshem, drugi toczył pojedynek na rapiery z Cawti, a trzeci na mój widok coś rzucił. Odruchowo zrobiłem unik i potoczyłem się ku niemu, co nie jest łatwe z rapierem u boku. Jedno mi się udało — nie trafił. Próbowałem go w rewanżu kopnąć, ale odskoczył. A w lewej dłoni trzymał gotowy do rzutu nóż. . .

W następnej sekundzie go wypuścił, bo mój sztylet trafił go w nadgarstek. Skorzystałem z okazji i drugi umieściłem w jego sercu. W sumie chciał mnie tylko zabić, więc może ktoś go wskrzesi. . .

Pozostając w półprzysiadzie, rozejrzałem się, sprawdzając, jak wygląda sytuacja. Cawti radziła sobie dobrze — widać było, że jej przeciwnik nigdy nie walczył z kimś fechtującym po ludzku, czyli zwróconym bokiem, a nie przodem ku niemu. Wyciągnąłem z pochwy rapier i skoczyłem ku temu, którym dotąd zajmował się Loiosh. Widząc mnie, odleciał na bezpieczną odległość, a zabójca uniósł rapier. I to było ostatnie, co zrobił, bo dźgnąłem go przez lewe oko w mózg. Odwróciłem się, szukając Cawti. Właśnie czyściła klingę z krwi.

— Nie ma na co czekać — oznajmiłem, gdy Loiosh powrócił na moje ramię.  
— Zabierajmy się stąd.

— Dobry pomysł. Możesz nas teleportować?

— Nie, dopóki się nie uspokoje. A ty?

— Też nie.

— W takim razie szybkim marszem do biura. Chodu! — poleciłem, chowając rapier do pochwy.

A potem poprowadziłem ich przez lokal do tylnego wyjścia i dalej, tyle że nie szybkim, a spacerowym krokiem, żeby nie wzbudzać sensacji. Wątpię, czy jest coś trudniejszego niż spacerowanie, kiedy chciałoby się biec, bo człowiek czuje się tak, jakby wszyscy na niego polowali, i w każdej chwili spodziewa się nowego ataku.

Przeszliśmy ładny kawałek, gdy pojawiła się odsiecz: Świetlik, N'aal, Shoen i Kij.

— Dzień dobry panom — powitałem ich uprzejmie i w ostatniej chwili ugryzłem się w język, by nie powiedzieć N'aalowi, że dobrze wygląda: pomyślałby, że się z niego nabijam.

\* \* \*

Do biura dotarliśmy bez przeszkód i urozmaiceń. A ja zdołałem znaleźć się w swoim pokoju, nim zwróciłem śniadanie.

Na szczęście nie było aż takie dobre.

Znałem Dragaerian, którzy po solidnym posiłku wychodzili, ocierali się dosłownie o śmierć i wracali na inny posiłek. Jak się takiego spotkało godzinę później i spytało, czy przytrafiło mu się coś interesującego, wzruszał ramionami i odpowiadał, że właściwie to nie.

Nie wiem, czy ich podziwiam, czy jest mi ich żal, na pewno zazdroścę im, że nie mają tak delikatnych żołądków. Co prawda do wszystkiego można się przyzwyczaić, ale wymioty nie są miłym nałogiem. A niestety były one nieodzownym elementem odreagowywania przeze mnie każdej niespodziewanej próby pozbawienia mnie życia.

Poza tym reaguję rozmaicie na bliskie spotkania ze śmiercią — czasami przez kilka godzin lub dni zachowuję się paranoidalnie, czasami robię się agresywny albo milczący, przeważnie przez godzinę trzęsą mną dreszcze nie do opanowania. Tym razem mną nie trzęsło. Za to przez długi czas siedziałem bez ruchu. Byłem wstrząśnięty i przestraszony — nikt dotąd nie wysłał przeciwko mnie czterech zabójców. Było to zresztą generalnie nietypowe. Za to gwarantowało sukces. I gdyby nie Cawti, tak by się stało.

Nie ulegało wątpliwości, że musiałem ostatecznie rozwiązać problem Larisa. I to szybko.

\* \* \*

„Czas się ruszyć, szefie.”

„Eee?”

„Siedzisz tak już ze dwie godziny, wystarczy.”

„Przesadzasz. Nie aż tyle.”

„Nie jestem ogrodnik.”

Zauważyłem, że Cawti także jest w pokoju i grzecznie czeka.

— Jak długo tu jesteś? — spytałem.

— Około dwóch godzin.

— Nie może... rozmawiałaś z Loiošem? Nieważne — odetchnąłem kilkakroć głęboko. — Przepraszam. Nadal nie mogę się do tego przyzwyczaić.

— Aż dziw bierze, nie? W końcu powinienesz.

— Też tak myślę. Ile znasz osób, które przeżyły...

— Tak? Co chciałeś powiedzieć?

Milczałem przez długą chwilę, intensywnie myśląc, po czym dokończyłem pytanie:

— Ile znasz osób, które przeżyły choćby dwa, nie mówiąc o trzech próbach zamachów?

Potrząsnęła głową.

— Niewielu przeżywa pierwszą i dobrze o tym wiesz. Wątpię, bym słyszała o kimś, kto przeżył dwie. O takim, który przeżył trzy, na pewno nie. Całkiem ładne osiągnięcie, Vladimir.

— Doprawdy?

— O co ci chodzi?

— Posłuchaj i pomyśl. Jestem dobry, fakt. Mam także szczęście i Loiosha. Ale nie jestem cudotwórcą! Nie jestem aż tak dobry i aż taki szczęściarz. To co pozostaje?

Spojrzałem na nią i odpowiedziałem pytaniem:

— A jesteś niekompetentna?

— Nie.

— Więc co zostaje?

— Poddaję się. Co?

— Że zamachy nie były prawdziwe — powiedziałem spokojnie.

— Co?!

— To, że Laris tak naprawdę nie próbuje mnie zabić.

— Przecież to absurd!

— Zgadzam się. Ale przeżycie trzech zamachów to także absurd.

— Cóż, no tak, ale...

— Pomyślmy na spokojnie, dobrze? — zaproponowałem.

— Na spokojnie się nie da. A poza tym ja cię zabiłam.

— Wiem. W takim razie zacznijmy od was. Zostałyście wynajęte po to, żeby mnie zabić, czy po to, żeby wyglądało, że chcecie mnie zabić?

— A po co na...?

— Odpowiedz, proszę, na pytanie. Po co?

— Zostałyśmy wynajęte, żeby cię zabić!

— Takie przyznanie to dowód sądowy, więc nie rób tego więcej, ale to tak na marginesie — dodałem szybko, widząc pierwsze objawy złości. — Załóżmy, że dostałybyście zlecenie nie na pozorowany, ale mający wyglądać autentycznie atak. Jak...

— Nie przyjęłybyśmy takiego zlecenia. Nikt normalny nie ryzykowałby życia dla głupiego przedstawienia!

— Zostawmy to w takim razie. Odpowiedz mi na pytanie, jakim cudem nadal żyję i jak to możliwe, że nie draśnięty przeżyłem dwa zamachy?

— Nie wiem — przyznała. — Naprawdę myślisz, że to jest powód?

— Nie wiem, ale muszę brać to pod uwagę. Zignorujmy chwilowo wasz atak, uznając go za autentyczny, i skupmy się na pozostałych.

— Nadal nie powiedziałeś, dlaczego Laris miałby tak postąpić.

— Wiem. Pomińmy to chwilowo również. Przeanalizujmy atak przed biurem. Opowiadałem ci o nim raczej szczegółowo, prawda?

— Tak.

— Przeżyłem, bo jestem szybki i mam celne oko oraz dlatego, że Loiosh ostrzegł mnie i zajął się jednym, dając mi czas na załatwienie drugiego.

„Tak se właśnie myślałem, szefie, czy o tym pamiętasz.”

„Pamiętam, jak słyszysz. Teraz cicho być.”

— W takim razie — dodałem — jak Laris czy ci, których wynajął, mogli nie wiedzieć czy nie pamiętać o istnieniu Loiosha?

— Oczywiście, że wzięli to pod uwagę: dlatego zabójców było dwóch.

— I co? Zlekceważyli go?

— Cóż... przepraszam, Loiosh, ale w naszym ataku nie odegrałeś żadnej roli. Na pewno go zlekceważyli, a ty, Vladimir, też zareagowałeś szybciej i skuteczniej, niż się spodziewali. Już ci powiedziałam, że masz talent do zachowań powodujących, że inni cię nie doceniają.

— Może. Ale możliwe też jest, że wynajął parę niekompetentnych durniów, mając nadzieję, że sfuszerują „robotę”.

— To absurd! Nie mógł ich wynająć, mówiąc, żeby spieprzyli, bo to oznaczałoby dla nich samobójstwo. I nie mógł wiedzieć, że im się nie uda.

— Nawet gdyby im się udało, mógł zastrzec, że „robota” nie ma być ostateczna, czyli żebym się nadawał do wskrzeszenia. Co mi przypomniało pewien drobiazg: czy wasz kontrakt miał takie zastrzeżenie?

- Nie.
- Aha. Dobra, to mógł być wyjątek. Mógł liczyć na to, że przeżyje, a reszta kontraktów mogła być inna. Nie sprawdzę tego.
- Nadal nie podałeś powodu, dla którego miałby tak postąpić.
- Poczekaj. Teraz dzisiejszy atak. . .
- Właśnie się zastanawiałam, kiedy do tego przejdiesz. Widziałeś, czym jeden z nich w ciebie rzucił?
- Ten adept?
- Nie. Ten drugi.
- Nie widziałem. Czym?
- Dwoma nożami. Długie, płaskie, profesjonalne noże do rzucania. I ciśnięte celnie: powinny trafić cię w głowę.
- Zrobiłem unik.
- Daj spokój, a skąd rzucający miał wiedzieć, że zdążysz?
- Dlatego, że znał moje odruchy, szybkość reakcji i całą resztę. Zebrał o mnie informacje i poznał moje możliwości. Sam bym tak postąpił, a on był dobry: zabiłem go, to wiem. Więc nie ma powodu zakładać, że zaniedbał podstawowych przygotowań do „roboty”.
- Mam poważne. . .
- Dobra, poczekaj — powiedziałem i ryknąłem: — Melestav! Przyślij tu Kragara!
- Dobra, szefie! — rozległo się zza drzwi.
- Cawti spojrzała na mnie pytająco, więc uniosłem palec, dając jej znak, by milczała. Poczekaliśmy, aż Kragar wszedł. Spojrzał wprawdzie na Cawti, potem na mnie.
- Ta dama to Sztylet Jherega — poinformowałem go i spojrzałem na nią pytająco.
- Możesz mu powiedzieć. W tej sytuacji to i tak bez znaczenia.
- Dobrze. Jest także znana jako Cawti. Cawti, to Kragar, mój zastępca.
- Miło wiedzieć, bo zawsze mnie zastanawiało, za kogo tu robię — ucieszył się Kragar.
- Siadaj i nie narzekaj.
- Usiadł.
- Kragar, jesteś Larisem — oświadczyłem.
- Jestem Larisem?! Vlad, czy ty się dobrze czujesz? Przed chwilą powiedziałeś, że jestem twoim zastępcą.
- Nie wymądrzaj się. Jesteś Larisem i właśnie dostałeś cynk, że siedzę sobie i jem śniadanie w jakiejś knajpie. Co robisz?
- Jak to co? Wysyłam tam zabójcę, który czeka pod ręką.
- Jednego? Nie czterech?

— A po co czterech? Chcę cię zabić, a nie urządzać turniej zręczności zawodowej. Wysyłając czterech, wysyłam zabójcę i trzech świadków. Poza tym czterech tylko by sobie włożyło w drogę. Wystarczyłby jeden naprawdę dobry, żeby cię załatwić, jak będziesz wychodził. No, może dwóch, biorąc pod uwagę ostatni zamach. Ale na pewno nie czterech.

Przyznałem mu rację ruchem głowy i spojrzałem wymownie na Cawti.

— Miałyście unikalny sposób działania, więc trochę wyszłyście z obiegu, jak do tego podchodzą samodzielni zabójcy i jak myśli wynajmujący — wyjaśniłem.

— Kragar ma rację.

— Chcesz się dowiedzieć, dlaczego Laris wysłał czterech? — domyślił się w końcu Kragar. — Przyznaję, że się nad tym zastanawiam od dwóch godzin i nic mądrego nie przyszło mi do głowy.

— No to pokombinujemy razem. Założmy, że nie masz akurat pod ręką nikogo naprawdę dobrego, a dwóch przeciętnych ostatnio sfuszerowało robotę, więc na wszelki wypadek wysyłasz czterech. Co im każesz zrobić?

Kragar zastanowił się.

— Wiem, gdzie siedzisz, i znam rozkład lokalu? — spytał.

— Ten, który poinformował cię, że tam jestem, powiedział ci też i to, ale sam tam nie byłeś. Jak nie powiedział, możesz się z nim skontaktować i spytać.

— Aha. W takim razie mówię im, co wiem, i każę cię załatwić. Co więcej mam im powiedzieć, przecież to zawodowcy?

— Nie każesz im czekać przed wejściem?

Popatrzył na mnie z większym niż zwykle zaskoczeniem.

— A niby dlaczego mam zwiększać twoje szansę, robiąc z ciebie ruchomy cel? Ktoś, kto siedzi przy stole i je. . .

— Tak — przerwała mu nagle Cawti. — Oni po prostu stali i czekali, gdy wyszłam. Coś mi od początku nie dawało spokoju, tylko nie zdawałam sobie sprawy, że to o to chodzi. Masz rację.

Pokiwałem smętnie głową.

— A to oznacza, że albo Laris bądź ten, komu to zlecił, są nieodpowiedzialnymi durniami, albo że mam rację. . . Dzięki, Kragar, to chwilowo wszystko.

— Aha. . . no to tego. . . mam nadzieję, że pomogłem — wybąkał i wyszedł.

— Jeżeli tylko próbuje cię ogłupić, to niespecjalnie mu się udało — oceniła Cawti, gdy Kragar zamknął za sobą drzwi. — Domyśliłeś się przecież prawdy. Jeśliby oceniać zamiar po sukcesie czy porażce. . .

— Idąc tym tokiem rozumowania, dochodzimy do wniosku, że powinienem domyślić się, że nie próbuje mnie zabić. Daj spokój, ani my, ani Laris nie jesteśmy z Domu Yendi.

— Fakt. Tylko nadal nie wyjaśniłeś, dlaczego Laris tak postępuje.

— A to jest nieco skomplikowane.

Prychnęła.

— Nie powiedziałem, że nie wiem, powiedziałem, że nie jestem ostatecznie pewien. Oczywiście powodem jest to, że chce utrzymać mnie przy życiu.

— Racja. Genialne.

— A dlaczego może chce mnie żywego?

— Cóż, znam przynajmniej jeden dobry powód, ale wątpię, byś był w jego typie.

Posłałem jej całusa i brnąłem dalej:

— Jest kilka możliwych powodów, dla których może mu zależeć, abym żył. Jeśli którykolwiek...

— Podaj choć jeden.

— Czekaj, wrócę do tego. Jeżeli którykolwiek jest prawdziwym powodem, to chodzi mu o to, by mnie tak przestraszyć, żeby można się było ze mną dogadać. Jeżeli tak, to już wkrótce poznamy jego warunki. Moja odpowiedź będzie naturalnie zależała od tego, czy domyślę się, o co mu naprawdę chodzi, i jak bardzo zależy mu na tym, abym żył. Rozumiesz?

Potrząsnęła głową i spytała:

— Jesteś pewien, że nie masz wśród przodków żadnego członka Domu Yendi?... Dobra, nieważne. Mów dalej.

— Co do powodów, dla których może mu zależeć, abym nadal żył. Najoczywistszy jest taki, że nie chce, by zaszło coś, co musi się stać, gdy umrę. Zastanówmy się w takim razie, co się stanie na pewno, kiedy umrę.

— Zabiję go.

— To jedna możli. . . Co powiedziałaś?!

— Że go zabiję.

Przełknąłem z trudem ślinę.

— A uważasz, że niby co zrobię? Pocałuję go czy co?! — spytała nagle rozgniewana.

— Ja... Dziękuję, nie sądziłem, że...

— Przestań się jękać — poradziła już spokojniej. — I wracaj do tematu.

— Czy on może to wiedzieć?

Zaskoczyłem ją tym pytaniem, ale po namyśle odparła:

— Nie sądzę.

Co nagle uświadomiło mi jeszcze jedną możliwość...

„Loioosh? Czy ktoś mógł...?”

„Nie, szefie. Nie musisz się tym martwić.”

„Jesteś pewien? Magia miłosna...”

„Jestem pewien, szefie.”

„Dobra. Dziękuję.”

Potrząsnąłem głową i wróciłem do tematu.

— Chciałem powiedzieć, że może się bać, i to, jak podejrzewam, słusznie, że ktoś z moich przyjaciół uprze się i go zabije. Na pewno nie Alier; jest na-

stępczynią tronu i Rada dostałaby spazmów, gdyby wyszło na jaw, że mści się za śmierć nie dość, że człowieka, to jeszcze Jherega. Choć z drugiej strony to właśnie mogłoby ją skłonić... Dość. Pierwotnie miałem na myśli Morrolana albo Sethrę. Tylko z drugiej strony: skoro tego właśnie Laris się obawia, to po co w ogóle wszczynął wojnę?... Chyba że dowiedział się o ich istnieniu za późno, by mógł się wycofać.

— To dość naciągane rozumowanie — zauważyła. — I oparte jedynie na przypuszczeniach.

— Wiem, ale cały ten wywód oparty jest głównie na przypuszczeniach. Innym wytłumaczeniem jest, że rozpoczął wojnę, mając tę świadomość, ale licząc na to, że zdoła osiągnąć swój cel bez konieczności zabijania mnie.

— Jaki cel?

— O co toczy się ta cała wojna?

— O terytorium.

— Właśnie. A założmy, że tak naprawdę chodzi mu o konkretny fragment tego terenu. Może coś tu zakopano. Dawno, ale ważnego — mimo iż nie wyglądała na przekonaną, mówiłem dalej: — Widziałas przód tego budynku? Laris przeprowadził nań regularny atak. Wtedy niczego nie podejrzewałem poza tym, że chodziło mu o mnie, ale może to właśnie moje biuro znajduje się nad czymś, na czym mu zależy.

— Daj spokój, to tak nieprawdopodobne, że nawet pisząc romans, nikt by z tego pomysłu nie skorzystał.

— No dobrze — uznałem za rozsądniejsze wycofać się z tak podsumowanej pozycji. — Nie upieram się, że właśnie o to chodzi, tylko staram się pokazać ci, że istnieją też inne możliwości.

Cawti skrzywiła się.

— Nie przekonasz mnie — stwierdziła. — Twoje rozumowanie opiera się na założeniu, że obie z Norathar brałyśmy udział w oszustwie. Może nie mogę ci udowodnić, że tak nie było, ale wiem, że nie brałyśmy, więc całe to rozumowanie jest błędne.

Westchnąłem.

— Ja też tak naprawdę nie sędzę, żebyście brały udział w oszustwie — przyznałem.

— To co w takim razie z twoją teorią? Pomyślałem nad tym pytaniem i jeszcze o kilku innych sprawach.

„Kragar!”

„Słucham, Vlad?”

„Pamiętasz tego knajpiarza, który dał nam cynk o zamachu?”

„Pewnie.”

„Powiedziałaś, że podsłuchał i stąd wiedział. Nie wiesz, czy słyszał rozmowę z wykonawczyniami czy tylko informacje o uzgodnieniach?”



„Słyszał rozmowę. Padło w niej, z kim negocjują, i stąd wiedział, kto cię zaatakuję.”

„Aha. . . Kiedy się z nim zobaczyłeś, powiedziałaś, że był zaskoczony i przestraszony. Spróbuj ocenić, czy bardziej bał się ciebie, czy tego, że ktoś go z tobą zobaczy.”

„To nader subtelna różnica, Vlad.”

„Czyli coś dla ciebie. Spróbuj.”

Nastąpiła długa chwila ciszy.

„Moje pierwsze wrażenie było takie, że przestraszył się mnie, ale nie rozumiałem. . .”

„Dzięki.”

Spojrzałem na Cawti i spytałem:

— Możesz mi powiedzieć, gdzie uzgodniłyście warunki kontraktu?

— Co?

— Chodzi mi o miejsce, gdzie zgodziłyście się wziąć „robotę” na mnie.

Przyglądała mi się długą chwilę.

— Dlaczego? Co to ma wspólnego z. . .

— Jeżeli moje podejrzenia się potwierdzą, to ci powiem. Jeśli się nie potwierdzą, też ci powiem. Teraz mów gdzie?

— W restauracji na terenie Larisa. Wiesz, że nie mogę ci podać nazwy. . .

— Gdzie w tej restauracji?

— Co?!

— Gdzie: na parterze, na piętrze, na balkonie, w głównej sali?

Znowu ją zaskoczyłem.

— Na parterze w głównej sali.

— Właśnie! — uśmiechnąłem się z tryumfem. — I w restauracji, nie w tawernie. Doskonale. Nie rozmawiałyście, jak sądzę, z Larisem?

— Oczywiście, że nie.

— Więc tak na dobrą sprawę nie wiecie, kto był zleceniodawcą?

— Technicznie rzecz biorąc nie, ale założyliśmy, że. . . — urwała nagle i zobaczyłem w jej oczach błysk zrozumienia. — Więc kto. . . ?

— Później dojdziemy do tego, ale to nie tak jak myślisz. Daj mi chwilę, dobrze?

Kiwnęła głową.

„Kragar?”

„No?”

„Nasz przyjaciel knajpiarz z tawerny. . . chciałbym, żeby nie żył.”

„Ale szefie. . .”

„Zorganizuj to. Natychmiast!”

„Jak sobie życzysz, Vlad.”

„Właściwe podejście!” Zastanowiłem się chwilę. „Zleć to Shoenowi, jest solidny!”

„Dobrze.”

Do tego są potrzebni pośrednicy — jeśli się ich nie ma, trzeba używać zastępców, a to znacznie zwiększa ryzyko.

## Rozdział czternasty

*„Lordzie Morrolan, jestem zmuszona nalegać”*

Rozsiadłem się wygodniej w fotelu.

— Następne pytanie brzmi: dlaczego... Cawti? Co się stało?

Przyglądała mi się zmrużonymi oczyma.

— On nas wystawił — oznajmiła. — Jak nie on, to ten, kto nas wynajął.

— Fakt — przyznałem. — Tak mnie pochłonęły własne problemy, że nie wziąłem pod uwagę, co to oznacza dla ciebie. Rzeczywiście zostałyście wystawione.

— Powiedziałeś wcześniej, że się mylę, gdy przyszło mi na myśl, że to nie Laris nas wynajął. Dlaczego tak uważasz?

— Dostaliśmy informację o planowanym zamachu od jednego z pracowników Larisa. A to znaczy, że sam Laris był w to zamieszany.

— Masz rację. Więc to on... .

— Dalej nie rozumiem jednego — przyznałem. — Dlaczego chciał mnie przekonać, że chce mnie zabić, a nie zabić?

— Ja nie rozumiem czegoś jeszcze: dlaczego użył nas?

— Cóż... dla dodania autentyzmu. Wam akurat aż za dobrze poszło z jego punktu widzenia.

— Może i masz rację, że chodziło o autentyzm. Jak powiem o tym Norathar...  
— nagle umilkła, a jej twarz przybrała dziwny wyraz.

— O co chodzi?

— Nie mogę jej o tym powiedzieć! Teraz jest albo wkrótce będzie oficjalnym następcą tronu Domu Smoka. Jeżeli wplątałaby się w wojnę w Domu Jherega, straciłaby tę pozycję. Nie mogę jej tego zrobić. Żałuję nawet, że powiedziałam jej o wcześniejszej próbie zamachu.

— Hmm... .

— Zostaliśmy ty i ja. Odszukamy tego zasranego elfa i... .

— Jak? — przerwałem jej średnio uprzejmie. — Zniknął. I na dodatek postarał się o blokadę przeciwko czarom i magii śledzącej. Wiem, bo próbowałem.

— Znajdziemy jakiś sposób.

— Byłoby łatwiej, gdybyśmy wiedzieli, o co mu naprawdę chodzi. . .

Wzruszyła ramionami. A potem wyjęła nóż i zaczęła go podrzucać.

Zatkało mnie — miałem coraz silniejsze wrażenie, jakbym spotkał żeńską odmianę samego siebie. . .

— Dobrze — zmusiłem się, by wrócić do myślenia o interesach. — Podsumujmy anomalie, może to coś nam da. Pierwsze: po co wynajmować tak drogi i dobry zespół jak wasz. Bo wersja o dodaniu autentyczności jakoś mnie samego nie przekonuje. Po drugie: dlaczego zostało to tak zorganizowane, że obie przeżyłyście i dowiedziałyście się, że was wystawiono. Musiał zdawać sobie sprawę, że to się wam nie spodoba i że. . .

— Błąd — przerwała mi Cawti. — Żyję tylko dlatego, że Norathar oznajmiła Alierze, że słowa nie powie, jeśli ta mnie nie ożywi. A jedynym powodem, dla którego Norathar została przywrócona do życia, było podejrzenie Aliery, że jest lady z Domu Smoka. Chciała poznać jej historię. A Norathar i tak nie miała zamiaru z nią gadać. . .

— Rozumiem. . . — powiedziałem cicho. — Tego nie wiedziałem. Cóż, mógł w takim razie spokojnie założyć, że obie zginiecie i będzie miał was z gło. . . To jest to!

— Co jest co?

— Momentek. To też nie ma sensu. . . dlaczego chciałby. . .

— Vladimir, mów natychmiast, co ci przyszło do głowy! — zażądała niespodziewanie ostro.

— Że celem mogło być zabicie ciebie i Norathar. Ale to też nie ma sensu.

Zastanawiała się dobrą minutę, nim przyznała mi rację:

— To faktycznie nie ma sensu, tym bardziej że są inne sposoby, by nas zabić. Poza tym gdyby tu o to chodziło, po co dwa następne pozorowane zamachy na ciebie?

— Właśnie, ale. . . czy Laris mógł wiedzieć o pochodzeniu Norathar?

— Nie wiem jakim cudem. Teoretycznie to oczywiście możliwe, ale co go to mogło obchodzić?

— Nie wiem. Ale z tego, co nam dotąd wyszło, wynika, że jedyny element z planem to to, że żyjecie. A więc jest to równocześnie jedyna rzecz, która powinna zostać osiągnięta w wyniku tak zorganizowanego zamachu na mnie. Logiczne jest założenie, że tak naprawdę chodziło o zabicie Norathar, a to musi mieć związek z jej przeszłością. Załóżmy, że taki właśnie był prawdziwy cel całego planu, i zobaczmy, dokąd to nas zaprowadzi.

— To nadal nie tłumaczy, dlaczego wszczął z tobą wojnę. Dlaczego po prostu nie wynajął kogoś, żeby ją zabił? A jeśli chciał być bardziej przewrotny, dlaczego nie wynajął innej ekipy, która zabiłaby nas zaraz po tym, jak zabiłyśmy ciebie? I to w tym samym miejscu.

Pokiwałem głową.

— W tym kryje się więcej, niż jestem w stanie dostrzec — przyznałem. — I jest jedna osoba, z którą chciałbym o tym porozmawiać.

— Kto?

— Komu w Domu Smoka najbardziej zależy na znalezieniu nowego następcy tronu? I kto mógł zaplanować coś tak przewrotnego i dopilnować, by Norathar wpięrow zginęła, potem została ożywiona i oczyszczona z zarzutów, w wyniku czego zostanie następczynią tronu Domu Smoka? A próby zamachów na mnie miały jedynie uwiarygodnić całą operację i skomplikować dojście do prawdy?

— Alieria — powiedziała Cawti bez chwili wahania.

— Zajmę się zorganizowaniem teleportacji.

\* \* \*

Razem z Cawti zdołaliśmy utrzymać pion po znalezieniu się na dziedzińcu Czarnego Zamku, który właśnie unosił się nad jakąś wioską ze sto siedemdziesiąt pięć mil od Adrilankhi. Na wschodzie widać było szczyt Góry Dzur i był to zdecydowanie miłszy widok niż ten rozciągający się pod nogami.

— Chyba będę rzygał — poinformowałem uprzejmie.

Cawti przytaknęła.

„Okazuje się, że wspólne rzyganie zbliża ludzi.”

„Zamknij się, Loiosh, bo cię palnę.”

„A kto ci rękę rozbuja?”

Cawti zachichotała.

Spojrzałem na nią zaskoczony i spytałem podejrzliwie:

„Loiosh, z nią też się podzieliłeś swoimi przemyśleniami?”

„A co, nie powinienem?”

„Nie powinieneś mieć tak zboczonych skojarzeń.”

„Mam jeszcze inne, na przykład: porządne od. . .”

„Zamknij się!”

Dzięki tej wymianie poglądów nasze żołądki uspokoiły się na tyle, że obyło się bez wymiotów. Byliśmy nawet zdolni w miarę normalnie podejść do wrót, które otwarły się, ukazując przestronny korytarz i oczekującą lady Teldrę. Powitała nas jak zwykle trafnymi komplementami i poinformowała (w odpowiedzi na moje uprzejme pytanie), że Alieria i Morrolan są w bibliotece.

Udaliśmy się tam szerokimi schodami, przy czym jak zwykle ignorowałem wiszące na ścianach obrazy. Kiedy znaleźliśmy się pod drzwiami, zaklaskałem.

— Proszę wejść — usłyszałem głos Morrolana.

Weszliśmy, przyjrzałem się obojgu i stwierdziłem, że wydarzyło się coś niebywałego — nie sprzeczekali się o nic.

— Czy któreś z was jest może chore? — spytałem ostrożnie.

— Nie, a dlaczego pytasz? — zdziwił się Morrolan.

— Nieważne. Alier, muszę z tobą porozmawiać, a dobrze byłoby, Morrolan, żebyś został, bo to prawdopodobnie także ciebie będzie dotyczyć.

— W takim razie siadajcie — zaprosił. — Wina?

— Z przyjemnością. — Spojrzałem na Cawti i widząc ruch jej głowy, dodałem: — Dwa razy. Gdzie Norathar?

— Właśnie przechodzi badanie — wyjaśniła Alier.

— A, to dobrze się składa.

Alier uniosła pytająco brew.

— Nie powinna tego słyszeć? — zainteresowała się.

— Jeszcze nie.

Usiedliśmy wygodnie i pojawił się służący z butelką wina. Morrolan preferuje wina musujące, które uważam za ohydztwo niegodne miana wina. Ponieważ wiedział o tym, tym razem było to białe, półwytrawne i na dodatek przyjemnie schłodzone. Uniosłem kielich w milczącym toaście, upiłem mały łyk, pozwalając, by ciecz rozlała się po języku, i nie po raz pierwszy zastanawiałem się, jak poprowadzić rozmowę, by dowiedzieć się od Aliery tego, czego chciałem. A potem nie mogłem się już zastanawiać, gdyż Alier spytała:

— O co chodzi, Vlad?

Westchnąłem i przedstawiłem im swoje rozumowanie zakończone wnioskiem, że były to pozorowane zamachy, naturalnie nie wdając się w więcej szczegółów, niż było to konieczne. No i naturalnie nie mówiąc, że Cawti przyznała się do próby zabicia mnie. Wszyscy obecni wiedzieli, że jej się to udało, ale stare nawyki trudno jest przełamać.

W miarę jak mówiłem, oboje zaczęli zwracać coraz baczniejszą uwagę na moje słowa, wymieniając od czasu do czasu spojrzenia. Zakończyłem stwierdzeniem, że choć nie znalazłem powodu, dla którego Laris chciałby śmierci Norathar, tylko taki motyw tłumaczy jego postępowanie i wyjaśnia wszystko, co dotąd się wydarzyło. Po czym zapytałem, czy mają jakieś pomysły odnośnie do powodu tej zabójczej chęci.

— Nie — odparła Alier. — Ale to bez znaczenia: gdy go tylko odnajdę, ubije i będzie po kłopotcie.

Morrolan chrząknął lekko, acz znacząco.

— Sugerowałbym, moja droga, żebyś poczekała przynajmniej do oficjalnego ogłoszenia, iż to lady Norathar jest następczynią tronu Domu Smoka. Do tego momentu oficjalnie ty nią jesteś, a Radzie z pewnością nie spodoba się, że zadajesz się z Domem Jherega, nawet jeśli celem jest zabicie któregoś z jego członków — zauważył.

— I co z tego? Co mi mogą zrobić?! Dojść do wniosku, że nie nadaję się na Cesarzową? I bardzo dobrze! Poza tym Norathar i tak zostanie ogłoszona następczynią tronu.

— Nie wiadomo — sprzeciwił się Morrolan. — Biorąc pod uwagę jej długoletnią działalność w Domu Jherega. . .

— Całkowicie usprawiedliwioną okolicznościami. Została do niej zmuszona błędną decyzją Rady!

— Tym niemniej. . .

— Tym niemniej nic mnie to nie obchodzi. Zamierzam znaleźć i zabić tego Jherega. Możesz mi pomóc, jeśli chcesz, przeszkadzać nie radzę — oznajmiła, wstając i spoglądając wyzywająco na Morrolana. — To jak będzie?

Spojrzałem na Cawti i powiedziałem uspokajająco:

— Nie przejmuj się: oni tak zawsze rozmawiają.

Cawti zachichotała.

Aliera i Morrolan nie raczyli mnie usłyszeć.

Morrolan westchnął.

— Usiądź — zaproponował. — Jedyne, o co proszę, to żebyś poczekała dzień lub dwa, aż poznamy decyzję Rady. Jeśli lady Norathar nie zostanie zaakceptowana jako następczyni, wrócimy do tematu. Jeśli zostanie, będziesz miała wolną rękę. Pośpiech w tym wypadku nic nie da, a i tak nie masz sposobu, by go szybko znaleźć.

Spoglądała na niego wyzywająco jeszcze przez chwilę, a potem usiadła.

— W takim razie dwa dni — zgodziła się. — Potem go zabiję.

— A ja pomogę — zaoferowała się Cawti.

Aliera już miała zaprotestować, gdy Cawti dodała:

— Nie ma problemu: zapomniałaś, że współpracowałam już z Dragaerianami. Naprawdę mi to nie przeszkadza.

\* \* \*

Oboje przyjęliśmy zaproszenie Morrolana na obiad. Potem przeprosiłem pozostałych i wróciłem do opustoszałej chwilowo biblioteki, żeby w spokoju pomyśleć.

Mogłem być zadowolony z własnej przenikliwości w kwestii Norathar, ale ani o krok nie przybliżyło mnie to do rozwiązania problemów wywołanych przez Larisa czy też do znalezienia go. Cawti i Aliera mogły sobie opowiadać, że go zabijają, ale nie da się zabić kogoś, kogo nie można znaleźć. A w tej kwestii mogły tyle co ja. No, a ja nie mogłem za długo czekać, bo jeśli wojna się przeciągnie, to

za parę tygodni wypadnę z interesu. Przy dużym szczęściu za parę tygodni.

Pewnie mógłbym mu przekazać wiadomość, że chciałbym się z nim spotkać, by negocjować rozejm, ale nie było co liczyć, by w to uwierzył. A nawet gdyby był skłonny do negocjacji, to ja na pewno zbyt dobrze pamiętałem ciało Nielara i lata wspólnej pracy z Temekiem i Vargiem, by mieć zamiar darować sprawcy ich śmierci.

Co oznaczało, że muszę znaleźć Larisa. A więc zidentyfikować jego patrona, jako że był to sposób rokujący największe szanse na szybki sukces. Naturalnie rodziły się przy tym różnorakie pytania: czy był nim współpracownik Baritta? Jak to się miało do sprawy Norathar? Czy owym kimś była Alieria? A jeśli nie ona, to kto? I jak się tego dowiedzieć?

Dotarłem do tego pytania — czyli w sumie do punktu wyjścia — gdy do biblioteki weszli: Alieria, Morrolan i Cawti. Zanim zdążyli usiąść, zapytałem:

— Morrolan, dowiedziałeś się czegoś o tej rzekomej adeptce z Domu Athyry?

Omali się przy okazji nie dorobiłem zeza, obserwując jednym okiem Alierę. Jej twarz pozostała bez wyrazu.

— Nie. Sethra się tym zajęła. Na jakich informacjach szczególnie ci zależy?

— Jak powiedzieliście, ta kandydatura jest oparta o czyjąś rekomendację. Można dowiedzieć się, kto ją zarekomendował?

— Można spróbować, ale naprawdę wątpię, czy ta informacja została gdziekolwiek zapisana. Pozostaje jedynie nadzieja, że ktoś to pamięta, a to jest dość wątpliwe, gdyż niewiele osób przywiązywało wówczas do tego wagę.

— Poza tymi, którzy to wszystko uknuli, naturalnie... hm... A dałoby się sporządzić listę wszystkich, którzy mogliby wystąpić z taką rekomendacją?

Znowu go zaskoczyłem.

— Oczywiście, że powinno to być możliwe. Zaraz się tym zajmę — obiecał.

— Dziękuję.

— Drobiazg — powiedział odruchowo.

I wyszedł.

— W jaki sposób może nam pomóc taka lista, Vlad? — spytała Alieria.

— Tak do końca to nie jestem pewien — odparłem ostrożnie. — W takiej sytuacji jak ta dość trudno jest określić, kto był współnikiem, kto tylko dał się ogłupić i kto za tym wszystkim stoi. Ponieważ w Domu Athyry nie było nikogo o podanym przez adeptkę nazwisku, jeśli dojdziemy, kto ją zarekomendował, będziemy wiedzieli, że ten ktoś był co najmniej świadomym współnikiem.

— A co z wydelegowaną przez Dom Lyorna?

— Nie rozmawiałem z nią jeszcze, ale sami powiedzieliście, że należała do komisji tylko po to, by dopilnować przestrzegania właściwych form i procedur. Sądzę, że wszystko odbyło się tak jak powinno i została oszukana tak jak Sethra Młodsza przy pierwszym badaniu. Przy czym Sethry Młodszej nie jestem do końca pewien, jej tak.



— Rozumiem.

— Z tego co wiemy, w całej sprawie brały udział następujące osoby: Sethra Młodsza, która mogła zostać oszukana lub mogła być wplątana w spisek, przedstawicielka Domu Lyorna, która mogła być wplątana, ale bardziej prawdopodobne jest, że została oszukana, Baritt, który był wplątany i został zabity, oraz adeptka, która nie należy do Domu Athyry lub należy, ale podała fałszywe nazwisko i na pewno była w to wplątana, tyle że nie sposób jak dotąd ją zidentyfikować.

— Czyli, mówiąc krótko, nie mamy nic.

— Zgadza się. Musimy zidentyfikować Athyrę, ponieważ jest jedynym pewnym tropem do tego, kto to wymyślił. Albo też sama wszystko wymyśliła.

— Przecież znamy przedstawicielkę Domu Lyorna. Dlaczego jej nie spytać? Może pamięta coś istotnego albo to zapisała. Lyorny wszystko zapisują.

— To jest jakiś pomysł. Tylko że należący do Domu Lyorna nie lubią rozmawiać z Jheregami. . . Chyba żebyś ty sprawdziła?

— Jak się nazywa i gdzie mieszka? — spytała rzeczowo Alera.

Powiedziałem jej.

— Dowiem się, czego tylko się da — obiecała.

— Dzięki.

Alera pożegnała nas skinieniem głowy i teleportowała się z biblioteki.

— Dlaczego to zrobiłeś? — spytała Cawti.

— Żeby się dowiedzieć, co Alera robi. Jeśli owa przedstawicielka Domu Lyorna umrze nagle a niespodziewanie, będziemy mieli pewność, jeśli nie, zobaczymy, czego Alera się od niej dowie i co nam przekaze.

Westchnąłem i przesiadłem się na krzesło; fotel nagle przestał być wygodny.

Cawti podeszła od tyłu i zaczęła masować mi ramiona. Ująłem jej dłonie i pochyliła się tak, że nasze usta się zetknęły. Loioosh musiał się ewakuować, chcąc uniknąć zgniecenia.

„Oboje jesteście zboczeńcy!” — oświadczył urażony.

„Bądź cicho, jestem zajęty.”

Ktoś klasnął przed drzwiami biblioteki.

Westchnąłem w duchu, a Cawti wyprostowała się.

— Proszę wejść! — zawołałem.

Weszła Norathar. Na jej twarzy malowała się żądza mordu. Odruchowo wstałem i spojrzałem na Cawti spoglądającą prosto w jej oczy.

Milczenie przedłużało się, więc powiedziałem:

— Badanie wykazało, że nie jesteś Smokiem.

— Jestem.

— Więc co się stało?

— Zostało potwierdzone moje pochodzenie i przywrócono mi status lady z Domu Smoka. Ale nie zostałam uznana za następczynię tronu.

— Oh — bąknąłem. — Przykro mi. Jeżeli wolicie zostać same. . .

— To nie chodzi o to, o czym myślisz — warknęła Norathar. — Mają życzenie „poobserwować” mnie przez jakiś czas, zanim uznają za następczynię. Mam odsłużyć krótki okres w Gwardii i „udowodnić, że jestem godna”. Jakby mi, do cholery, choć odrobinę zależało na tym, żeby być Cesarzową! Mogą sobie swoją próbę i Gwardię wsadzić w...

— Czy żaden Smok nie chce zostać Cesarzem, czy ja mam szczęście do takich znajomych? — przerwałem jej.

— Żaden normalny Smok nie chce zostać Cesarzem — oznajmiła Norathar.

— Aha. Czyli chodzi o to, że nie ufają ci wystarczająco, by uznać cię natychmiast, a nie o to, że nie możesz się doczekać oficjalnego potwierdzenia.

— Właśnie. Ale dowiedziałam się czegoś jeszcze i niestety obawiam się, że nie mogę o tym rozmawiać w pana obecności, lordzie Taltos. Natomiast muszę o tym porozmawiać z siostrą... — urwała tak nagle, iż oczywiste było, że rozmawia z Cawti telepatycznie.

Po paru sekundach potwierdziła to, mówiąc:

— A więc pan wie?

— O tym, dlaczego wasz atak na mnie skończył się, jak się skończył, i co to oznacza? — upewniłem się.

— Tak.

— Wiem.

— Więc rozumie pan, dlaczego obie zmuszone jesteśmy jak najszybciej pana opuścić. Mamy pewną sprawę do...

— Jak się tego dowiedziałaś, pani? — przerwałem jej.

— Powiedziano mi.

— To wiem. Chodzi mi o to, kto.

— Przyrzekłam nie mówić.

— Cholera!

— Proszę nam wyba...

— Moment, jeśli łaska. Muszę pomyśleć... Coś muszę wam obu powiedzieć, nim wyjdziecie, tylko zapomniałem...

— Proszę się więc pospieszyć.

Zignorowałem pytające spojrzenie Cawti, skupiłem się... i złapałem telepatycznie, kogo chciałem.

„Morrolan! Wracaj do biblioteki! Szybko!”

„Dlaczego?”

„Nie mam czasu tłumaczyć. Zjaw się natychmiast!”

I zaraz zerwałem połączenie, by nawiązać drugie.

„Aliera, kłopoty w bibliotece. Morrolan jest w drodze, ale ty powinnaś przybyć jak najszybciej!”

Obojętne czy była niewinna, czy nie — powinna chcieć powstrzymać Norathar. A przynajmniej taką miałem nadzieję.

Trzeba przyznać, że oboje potraktowali moje wezwanie poważnie.

W mniej niż dziesięć sekund od złapania Morrolan wpadł przez gwałtownie otwarte drzwi, a Alierą zjawiała się tuż za nim. W przeciwieństwie do swego kuzyna miała w dłoni osiem stóp czarno oksydowanej stali.

Oboje spojrzeli na mnie pytająco.

— Co się stało, Vlad? — spytał Morrolan.

— Lady Norathar ma zamiar udać się właśnie zapolować na Jheregi.

— I co w tym... — zaczął Morrolan.

— A to, że Rada Domu Smoka... — przerwałem mu.

— To nie pański interes, lordzie Taltos — oznajmiła zimno Norathar z dłonią na rękojeści rapiera.

— ... przywróciła jej należną pozycję jako Smokowi, ale...

Norathar dobyteła broni. Loiosh syknął i sprężył się do lotu, a na twarzy Cawti widać było rozterkę... W następnej sekundzie w dłoni Morrolana był już Blac-kwand. Wykonał nim krótki ruch ku Norathar i jej rapier wbił się głęboko w drewnianą kolumnę zdobiącą ścianę. Sądząc po minie Norathar, nie miała z tym nic wspólnego.

— Pani, w Czarnym Zamku nie zezwalam na zabijanie swoich gości inaczej niż w dokładnie kontrolowanych warunkach, tak by można ich było natychmiast ożywić — oświadczył formalnie. — Co więcej, jako lady z Domu Smoka winnaś pamiętać zasady gościnności.

Norathar skłoniła się po sekundowym wahaniu.

— Doskonale — oświadczyła.

Po czym wyszarpnęła rapier z kolumny i schowała go do pochwy oszczędnymi ruchami Jherega, bez widowiskowej elegancji Smoka.

— W takim razie państwo wybaczą moje nagłe odejście. Chodź, siostró.

„Powstrzymaj ją, Alierą!” — wrzasnąłem rozpaczliwie.

Ledwie skończyłem, Morrolan spojrział pytająco na Alierę.

— Co zrobiłaś? — zaciekał się.

— Założyłam blok na teleportację z Czarnego Zamku — poinformowała go.

— Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Norathar wpierw wytrzeszczyła oczy, a potem zmrużyła je w szparki.

— Lordzie Morrolan — odezwała się formalnie. — Jestem zmuszona nalegać...

— Och, do cholery, może przestałabyś się miotać choć na trzydzieści sekund, żebym mógł dokończyć zdanie... pani — warknąłem, dodając ostatnie słowo prawie jak obelgę.

— Dlaczego?

— A dlaczego nie?

Spojrzała na mnie groźnie.

Nie zrobiło to na mnie wrażenia — lordowie z Domu Smoka gapią się tak na mnie, odkąd skończyłem dziewiętnaście lat.

Nie czekając, aż coś wymyśli, dokończyłem:

— Rada zdecydowała obserwować ją przez okres próbny, nim oficjalnie ogłosi ją następczynią tronu. Jeżeli teraz zacznie polowanie na Larisa, jak ma zamiar, to na pewno nie zostanie następczynią. Uważałem, że oboje powinniście dowiedzieć się o tym przed, a nie po fakcie. Przynajmniej macie okazję przemówić jej do rozsądku, zanim zrobi coś, czego już nie da się cofnąć. To wszystko. Teraz kłóćcie się, ile wola, a ja poszukam spokojniejszego miejsca.

I wyszedłem.

W pobliżu wejścia do zamku znalazłem niewielką pustą komnatę z butelką taniego wina uprzejmie stojącą na stole. Nalałem sobie i wypilem duszkiem, snując ponure prognozy.

\* \* \*

Butelka była w połowie opróżniona, gdy ktoś zaklaskał z drugiej strony drzwi. Zignorowałem to.

Zaklaskał powtórnie.

Też to zignorowałem.

Drzwi otworzyły się, ale nim zdążyłem bluznąć, rozpoznałem Cawti.

Usiadła obok.

— Jak mnie znalazłaś?

— Loiosh mi pomógł.

— Aha. . . I na czym staęło?

— Norathar zgodziła się poczekać dwa dni, nim zrobi cokolwiek. Alierą także.

— Ślicznie.

— Vladimir?

— Tak?

— Dlaczego to zrobięś?

— Co zrobiłem? Powstrzymałem ją?

— Tak. Przecież gdyby zabiła Larisa, miałbyś spokój.

— Nie zabiłaby go, boby go nie znalazła. To samo dotyczy ciebie i Aliery. On się naprawdę dobrze zaszył.

— Mimo to im więcej szukających. . . — nie dokończyła.

A ja nie podjąłem tematu.

Po jakiejś minucie przypomniałem sobie o dobrych manierach i też jej nalałem cienkusza. Upiła drobniutki łyczek, trzymając kielich kciukiem i palcem wskazu-

jącym za nóżkę i odchylając mały palec w bok, jak to należało do dworskiej mody. I cały czas wpatrywała się we mnie.

— Dlaczego? — powtórzyła.

— Nie wiem. . . ale po co ma sobie rujnować szansę, niczego nie zyskując?

— Kim ona jest dla ciebie?

— Twoją partnerką.

— Oh.

Odstawiła kielich i wstała. Podeszła do mojego krzesła i przez moment przyglądała mi się z góry. Potem przyklęknęła na jedno kolano, wzięła moją prawą dłoń w obie swoje, pocałowała ją i potarła o policzek. Już miałem ją zapytać, czy mam ją pogłaskać po głowie albo co, ale Loiosh niespodziewanie palnął mnie łbem w grdykę i straciłem zdolność wymowy.

A Cawti uniosła głowę i powiedziała:

— Vladimir, byłabym najszcześniejszą z kobiet, gdybyś zgodził się zostać moim mężem.

Jakieś trzysta lat później (subiektywnie) zdołałem wychrypieć:

— Co?!

— Chcę wyjść za ciebie.

Wgapiłem się w nią i w końcu zapytałem:

— Dlaczego?

Odpowiedziała mi równie intensywnym spojrzeniem.

— Bo cię kocham — odparła.

Potrząsałem głową.

— Ja też cię kocham i wiesz o tym. Ale nie możesz za mnie wyjść.

— Dlaczego?

— Bo za parę dni będę trupem, żeby to nagła krew zalała!

— Przecież Laris nie próbuje cię zabić!

— Zabije, jak dobiore mu się do skóry. A poza tym w cokolwiek by się dotąd bawił, w końcu będzie musiał to zrobić, bo inaczej nie zdoła skończyć tej wojny. A wszyscy, nie tylko Cesarzowa, mają jej dość, więc raczej prędzej niż później będzie zmuszony zmienić taktykę.

— Nie dostanie cię — powiedziała to z takim przekonaniem, że prawie jej uwierzyłem.

Ciągle się jej przypatrywałem, aż w końcu powiedziałem:

— Umówmy się tak: kiedy żywy skończę z Larisem, a ty nadal będziesz chciała za mnie wyjść, to oczywiście, że się z tobą ożenię. . . cholera, ale bzdury plotę. . . No, naturalnie, że tak i że tego chcę.

— Dziękuję, mój panie.

— Szlag by to! Wstawaj z tej podłogi, bo zaczynam się czuć jak. . . jak sam nie wiem kto. . .

Posłusznie wstała i stanęła przede mną. A potem roześmiała się, podskoczyła i siadła mi na kolanach. Krzesło bujnęło się w tył i oboje wylądowaliśmy z hukiem na podłodze.

Loiosh ledwie zdążył uciec.

\* \* \*

Dwie godziny i trzy butelki cienkusa później dotarliśmy do biblioteki. Siedział w niej samotny Morrolan i to z taką miną, że z żalem, ale pozbyłem się miłego szmeru w głowie przy użyciu zaklęcia trzeźwiącego.

Popatrzył na mnie, uniósł brwi i zaproponował:

— Wejdźcie.

Spojrzałem na Cawti i stwierdziłem, że też użyła czaru trzeźwiącego...

Wstyd — wino było cienkie, ale szmerek miły.

— Zostaniecie na wieczór? — spytał Morrolan.

Ponownie spojrzałem na Cawti i powiedziałem:

— Muszę sprawdzić tych spadkobierców Baritta. Co mi przypomina o liście osób, które mogły zarekomendować tę fałszywą Athyrę. Masz ją?

— Jeden z moich sekretarzy kończy ją przygotowując. Na wieczór powinna być kompletna.

— To dobrze. Prosiłem Alierę, by odwiedziła tę delegatkę Domu Lyorna. Nie wiesz, czy to zrobiła?

— W tej chwili rozmawia z Norathar. Sądzę, że próbuje ustalić, jak zlokalizować tego całego Larisa.

— Aha... to pewnie im do jutra zejdzie.

— Nie przesadzaj. Kazałem podać obiad w małej jadalni. Sądzę, że Alierę, Sethra i lady Norathar będą mi towarzyszyć. Przyłączycie się?

Spojrzałem pytająco na Cawti.

— Z przyjemnością — odparła.

— Doskonale. A potem możecie zejść na przyjęcie i kontynuować śledztwo.

— Dobry pomysł — przyznałem. — Może mi się nawet uda uniknąć wymiany złości z twoją przyjaciółką z Domu Athyry. Choć prawdę mówiąc, mocno w to wątpię.

— Jaką przyjaciółką z Domu Athyry? — zdumiał się Morrolan. — Nie sądzą, by w tej chwili w zamku przebywał ktokolwiek z tego domu, nie wspominając już o tym, że nie mam tam ani przyjaciół, ani przyjaciółek.

— A Adeptka w Zieleni?

Morrolan uśmiechnął się.

- A, ona. Przyznaję, że wygląda, jakby była Athyrą. Coś mi nagle zaświtało.
- A nie jest? — spytałem. — To do jakiego domu należy?
- Do Domu Yendi — wyjaśnił Morrolan.

## Rozdział piętnasty

*„Sądzę, że został sownie opłacony”*

— Vlad, co ci jest? Dlaczego mi się tak przyglądasz?

— Bo własnym uszom nie wierzę. Yendi?! Jesteś pewien?

— Oczywiście że jestem. O co ci chodzi?

— Morrolan: ilu członków Domu Yendi potrzeba do naostrzenia miecza?

Spojrzał na mnie, mrużąc oczy.

— Ty mi powiedz — zaproponował.

— Trzech. Jeden ostrzy, dwóch spiskuje, by ukryć liczbę ostrzących.

— Rozumiem — zachichotał. — Nieźle. A co to ma wspólnego z naszą sytuacją?

— Dokładnie jeszcze nie wiem, ale jedno jest pewne: gdziekolwiek byś znalazł kogoś z Domu Yendi, znajdziesz też jakąś intrygę albo inny spisek. Zawsze pomysły i pokrętny. Ta zielona menda kręci się cały czas koło nas. Ciągłe jest w pobliżu, jak nie ciebie, to mnie czy Aliery, a pośrednio również Sethry, Cawti i Norathar. To nie jest przypadek, bo takie przypadki po prostu się nie zdarzają. Na dodatek wygląda i zachowuje się jak adeptka z Domu Athyry, a my łamiemy sobie głowy, by znaleźć Athyrę, która nie istnieje. A teraz mówisz mi, że mamy Yendi wyglądającą jak poszukiwana i ewidentnie nami zainteresowaną. Nie sądzisz, że to wysoce podejrzany zbieg okoliczności?

— Rozumiem, co masz na myśli. Sądzę, że powinienem z nią porozmawiać i...

— Nie!

— Proszę?

— Nie rozmawiaj z nią. I nie daj jej w żaden sposób poznać, że coś podejrzewamy. Jedyłą naszą przewagą jest utrzymywanie jej w nieświadomości. I nie możemy ryzykować utraty tej przewagi, dopóki nie dowiemy się, o co jej naprawdę chodzi.

— Hmm... Nikt poza Yendi nie potrafi rozwikłać intrygi innej Yendi: to aksjomat.



— Może. Ale parafrazując słowa lorda Lairona e’N’vaara — może używam innych aksjomatów.

Morrolan pomyślał chwilę i rzekł:

— No dobrze, Vlad. Jaki masz plan?

— Jeszcze nie mam. Najpierw muszę się zastanowić nad tym, co wiemy, i spróbować znaleźć w tym wszystkim jakiś sens.

— Zgoda.

— Cawti, może poszukasz Norathar i Aliery? — zasugerowałem.

Zgodziła się bez słowa sprzeciwu.

Morrolan, widząc to, wstał i wyjaśnił:

— Możesz potrzebować pomocy.

I oboje wyszli.

\* \* \*

Siedziałem i myślałem ponad pół godziny, nim wrócili w towarzystwie Norathar, Sethry i Aliery.

— I co? — zapytała Alierza. — Wymyśliłeś coś?

— Nie. Z drugiej strony również się nie poddałem.

— Wspaniale — oceniła zgryźliwie Norathar.

— Usiądźcie — zaproponowałem.

Ustawili fotele tak, że znalazłem się w środku, i usiedli. Poczułem się jak u siebie w biurze, w otoczeniu podwładnych czekających na rozkazy.

„Vladimir?”

„Słucham, Cawti?”

„Morrolan powiedział Alierze o Adeptce w Zieleni.”

„Szlag! No to albo została już uprzedzona, albo Alierza jest niewinna. Prawdę mówiąc, coraz bardziej wątpię, żeby Alierza wszystko zorganizowała. Cóż, zobaczymy.”

Odchrząknąłem i zabrałem głos:

— Po pierwsze, lady Norathar. . .

— Daruj sobie „lady”, Vlad — przerwała mi uprzejmie.

Opanowałem zaskoczenie.

— Dziękuję — bąknąłem i zobaczyłem, jak Cawti się do mnie uśmiecha, i zrozumiałem. — Dobra. Norathar, jesteś pewna, że nie możesz nam powiedzieć, jak dowiedziałaś się, że Laris was wystawił?

— Nie mogę.

— No dobrze. Ale zastanów się. Jeżeli powiedziała ci o tym Adeptka w Zieleni...

— Nie powiedziała.

— Obojętne. Ten, kto ci powiedział, może z nią współpracować albo być przez nią wykorzystywany jako narzędzie. Wolałbym wiedzieć kto to.

— Przykro mi, ale nie mogę. I wątpię, by to w czymś pomogło.

— Naprawdę sądzisz, że to sprawka Adeptki w Zieleni? — spytała Cawti.

— Powiedzmy, że to logiczne przypuszczenie. Dopóki nie dowiemy się, o co tak naprawdę chodzi, nie będziemy mieli pewności, kto za tym wszystkim stoi.

Cawti przyznała mi rację ruchem głowy.

— Uporządkujmy wydarzenia — zaproponowałem. — Najpierw, tuż przed Bezkrólewem, ktoś dochodzi do wniosku, że nie życzy sobie, by lord K'laiyer został Cesarzem. Może tym kimś jest Adeptka w Zieleni, a może tylko pracuje dla tego kogoś, ale zakładamy, że jest w to zamieszana. Tak?

Odpowiedziały mi zgodne przytaknięcia.

— Dobrze. Pierwszym krokiem jest doprowadzenie do sytuacji, w której Norathar zostaje uznana za bękartą. Oczywiście K'laiyer na wieść o tym się wścieka i wszczyna wojnę. Równie oczywiste jest, że skoro wypowiedział ją Sethrze, przegrywa. W czasie finałowej walki spiskowcy zabijają jego i żonę w sposób uniemożliwiający ożywienie. Nieistotne jak. W ten sposób następcą tronu zostaje Adron. Albo to właśnie było ich celem, albo nie mieli czasu także i z nim się rozprawić, gdyż Adron wywołał Katastrofę, nazwaną potem jego imieniem, i nastąpiło ponad dwieście lat Bezkrólewia. Przez cały ten czas nasi spiskowcy nic nie przedsięwzięli. Potem Cesarzową została Zerika, a następcą tronu Morrolan. I nadal nikt niczego nie próbował — zrobiłem przerwę i rozejrzałem się: wszyscy przyglądali mi się z uwagą.

— Przez dwieście czterdzieści lat po Bezkrólewiu nadal nikt nie próbował — podjąłem. — Wniosek jest więc prosty: spiskowcy nie mieli nic przeciwko temu, by Morrolan został Cesarzem. Dochodzimy do pojawienia się Aliery, co nastąpiło jakieś trzy lata temu. W mniej niż rok później Baritt, na pewno biorący udział w spisku, zostaje zabity. Dwa lata później Norathar zostaje wystawiona, tak by zginęła, po czym zostaje wskrzeszona i nagle okazuje się, że ma zostać następczynią tronu. I tak wyglądają fakty na dzień dzisiejszy.

Albo do Aliery nie dotarły pewne wnioski nasuwające się po wysłuchaniu tego, co powiedziałem, albo też była doskonałą aktorką. Wyglądała na głęboko pogrążoną w myślach, ale poza tym niewzruszenie spokojną.

Niespodziewanie pierwsze pytanie zadała Norathar:

— Wład, czy Adeptka w Zieleni może na tyle dobrze znać Alierę, by wiedzieć, że zostaniemy przez nią przywrócone do życia?

— Chodzi ci o to, czy to także zostało zaplanowane? — uściśliłem. — Prawdę mówiąc, nie wiem. Alierą?

Zapytana przygryzła dolną wargę i przez chwilę myślała, po czym wzruszyła ramionami.

— Jeżeli to sprawka Yendi, to wszystko jest możliwe — oceniła.

— Nie to — sprzeciwił się Morrolan. — Zapominasz, że Kragar mnie wezwał na pomoc. To mogła przewidzieć.

Ale nie mogła przewidzieć, że w chwili, w której to wezwanie otrzymam, będę z Alierą, a już w żaden sposób nie mogła przewidzieć, jak będziemy względem siebie stali. A to okazało się bardzo istotne dla późniejszych wydarzeń, bo gdybym znalazł się po teleportacji bliżej Norathar niż Alierą, zaatakowałbym ją natychmiast i to używając Blackwanda.

Słyszac to Norathar, pobladła.

I całkowicie ją rozumiałem — gdyby została zabita tą bronią, nikt i nic nie byłoby w stanie przywrócić jej do życia. Nie odrodziłaby się też — zgodnie z tym, w co wierzą Dragaerianie. Zaczęło mnie zastanawiać, czy Alierą mogła to właśnie w ten sposób zorganizować... albo czy przypadkiem Morrolan nie był w to także zamieszany...

„Szefie, to początki paranoi!”

„Ryzyko zawodowe, Loiosh.”

Odchrząknąłem i oznajmiłem:

— Sądzę, że możemy bezpiecznie założyć, że spiskowcy oczekiwali, iż Norathar zginie i to bez możliwości wskrzeszenia.

Pozostali zgodzili się ze mną.

— Teraz przejdźmy do Larisa — zaproponowałem. — Jest dobrze ukryty i chroniony, ale przez wojnę, którą wywołał, traci pieniądze, a przez to, że dołączył do zamachy na mnie były pozorowane, wiele ryzykuje. Dlaczego to robi?

— Sądzę, że został sownie opłacony — oceniła Cawti.

— Za podjęcie takiego ryzyka musiałby zostać bardzo sownie opłacony.

Cawti wzruszyła ramionami.

— Może jest jej winien uprzejmość albo coś w tym stylu.

— Albo też jest uzależniony od jej pomocy... Poza tym podejrzewam, że to on zabił Baritta...

Przez długą chwilę nikt nie przerywał milczenia, a w końcu Morrolan spytał:

— Co mówiłeś, Vlad?

— Co wiesz o historii Larisa? — spytałem Cawti, zamiast odpowiedzieć.

— Trochę wiem, bo zbierając informacje o tobie, natykałam się na wzmianki o nim z czasów, gdy obaj pracowaliście dla Weloka. No i słyszałam rozmaite rzeczy i wcześniej, i wówczas.

— A słyszałaś, że to on prowadził wojnę z Hakiem w imieniu Weloka?

Obie z Norathar przytaknęły.

— Brałam w niej udział — dodała Norathar.

— Dlaczego Welok mu na to pozwolił? I w jaki sposób Laris ją wygrał? Nie miał w tym żadnego doświadczenia.

Cawti i Norathar spojrzwały po sobie.

— Adeptka w Zieleni? — spytała ta ostatnia.

— Wygląda na to, że miał coś na Weloka — odparłem. — Albo wiedział, jak go obejść. Mogła mu pomóc, mogła wręcz wygrać za niego tę wojnę.

— Myślisz, że to ona kieruje także wojną z tobą? — spytała Cawti.

— To możliwe. Spotkałem Larisa i wywarł na mnie spore wrażenie. Nie sądzę, by był figurantem, ale mogę się mylić. Z drugiej strony to ona może mieć na niego haka i dlatego Laris jest jej posłuszny. Zwłaszcza jeśli może to tak zorganizować, że on i tak ostatecznie wygra. Albo powiedziała mu, że może, a on jej uwierzył.

— Jeżeli ma na niego haka, to dlaczego jej po prostu nie zabił? — zdziwiła się Norathar.

Jak na Jherega, nadal miała w sobie zbyt dużo ze Smoka.

— Powody mogą być różne — wyjaśniłem. — Może nie znać jej tożsamości, mogła go nastraszyć, że hak nie zniknie wraz z jej śmiercią. Może nie jest w stanie jej zabić. Nie wiem.

— A masz jakieś podejrzenia, co to może być za hak? — spytała Cawti.

Zastanowiłem się.

— Praktycznie to może być wszystko — przyznałem nieco bezradnie. — Moje pierwsze przypuszczenie jest takie, że to on załatwił Baritta, a ona ma dowód. Łatwo mogła to zorganizować, jeśli zrobił to w ramach przysługi w zamian za wygranie wojny z Hakiem. Ale może to być zupełnie coś innego, w żaden sposób nie związanego z tą sprawą.

— Rozumiem — mruknęła Cawti.

Norathar jedynie skinęła głową.

— Te spekulacje są nader miłą rozrywką, ale nie bardzo wiem, jak mogą nam pomóc — zauważył Morrolan.

— Próbujemy zrozumieć, jakie motywy nimi kierują — wyjaśniłem łopatologicznie. — Każdy szczegół może nam w tym pomóc.

— Może — jakoś nie był przekonany. — Ale ważniejsze chyba jest to, dlaczego Adeptka w Zieleni robi to wszystko, niż dlaczego Laris jej słucha.

— Robi co? — sprecyzowałem.

— Nie jestem dokładnie pewien, co ona robi. . .

— Właśnie!

Pokiwał powoli głową.

— W porządku — przyznał. — Rozumiem.

Spojrzałem na Sethrę, która jak dotąd nie odezwała się słowem, i zapytałem:

— Masz jakieś podejrzenia, pomysły czy przypuszczenia?

— Nie do końca sprecyzowane — przyznała powoli. — Ale zaczynam podejrzewać, że to, co się teraz dzieje, ma swoje początki przed Bezkrólewem i tam

też należałoby poszukać odpowiedzi. Wtedy zaczęła się intryga, a teraz po prostu jesteśmy świadkami jej kolejnego etapu. Podstawowe pytanie brzmi: o co im chodziło wtedy? Bo o to samo chodzi im teraz.

— Zgadza się — przyznałem po namyśle. — Powinniśmy spróbować to ustalić.

— Motyw wydaje się prosty — odezwała się Cawti. — Próbowali zdobyć tron.

Potrząsnąłem głową ze smutkiem.

— Z tego, czego się ostatnio dowiedziałem, wynika, że żaden Smok nie chce zostać Cesarzem, więc to nie takie proste — wyjaśniłem.

— A Adron? — spytała, patrząc na Alierę.

Ta uśmiechnęła się bez przymusu.

— Fakt — przyznała. — Tyle że nie do końca prawda. Mój ojciec nie chciał zostać Cesarzem; zmusiło go do tego poczucie obowiązku.

Przyglądałem jej się z napięciem i zaczynało mi coś świtać.

— Poczekaj. Twój ojciec znał Adeptkę w Zieleni?

Zaskoczyło ją to pytanie.

— Sądzę, że tak. . . — powiedziała po chwili. — Ale jeśli uważasz, że to mój ojciec wszystko zorganizował. . .

— Nie myślę. Po prostu sprawdzam taką możliwość.

Jej oczy stały się błękitne, lecz głos pozostał spokojny:

— Skoro uważasz, że musisz. . .

— Uważam, że muszę — potwierdziłem. — Jak dobrze się znali?

— Często się spotykali. . . najczęściej u Sethry, więc zapytaj ją, będzie lepiej wiedziała.

Spojrzałem na Sethrę.

— I co ty na to? — spytałem uprzejmie.

— Nie sądzę, by to Adron wymyślił całą intrygę czy też nią kierował. To nie w jego stylu. Natomiast znali się dobrze z Baritem. . .

— Co w tym wypadku jest bardziej okolicznością obciążającą niż łagodzącą — dokończyłem. — Jak dobrze znali się z Adeptką w Zieleni?

Sethra przymknęła oczy, nim odpowiedziała:

— Wszyscy dobrze się znaliśmy, ale Adron nie był z nią specjalnie zaprzyjaźniony.

— No dobrze. . . skoro Adron uznał, że jego obowiązkiem jest zostać Cesarzem, mógł też uznać, że lepiej się zabezpieczyć i w pierw zostać uznanym oficjalnym następcą tronu z Domu Smoka.

— Nie wierzę w to! — warknęła Alierą, która z minuty na minutę stawała się coraz bardziej rozeźlona.

Zacząłem się śmiać.

Poderwało ją z fotela.

— Możesz mi także opowiedzieć ten dowcip, który tak cię rozśmieszył, Vlad?  
— zaproponowała z błyskiem w oczach.

— Żaden dowcip, smutna rzeczywistość — zachichotałem. — Mówimy o faciecie, który próbując przejąć władzę, zniszczył stolicę Imperium, zabijając cholera wie ile milionów jej mieszkańców i tworząc na jej miejscu Morze Chaosu, a ty jesteś urażona moim przypuszczeniem, że być może sfałszował wcześniej wyniki badań, by uprościć sobie zadanie.

Cawti także się roześmiała.

Nikt z pozostałych natomiast jakoś nie podzielał naszej wesołości, przez co sytuacja stała się jeszcze zabawniejsza. Prawie dostałem hysterii, ale usłyszałem głos Aliery:

— Jest pewna drobna różnica pomiędzy jednym i drugim. Sfałszowanie wyników wymagałoby oszukania Sethry, która była jego przyjacielem. W Domu Smoka istniało i istnieje coś takiego jak honor.

To, co powiedziała, było równie śmieszne, ale też i smutne. I jakoś mnie otrzeźwiło.

— W porządku — zgodziłem się. — Adeptka w Zieleni mogła to zrobić bez jego wiedzy, prawda?

— Wątpię — prychnęła Alierą.

Ale usiadła.

— No dobrze. A jak układały się stosunki między Adronem a K'laiyerem? — spytałem.

Alierą wymownie wzruszyła ramionami, więc ponownie spojrzałem na Sethrę.

— Pamiętam, że nie najlepiej — przyznała niechętnie. — Nie byli wrogami, ale nie zgadzali się w wielu sprawach, a zwłaszcza w jednej...

— Naturalnie, że się nie zgadzali! — wtrąciła Alierą. — Mój ojciec uważał, że Dom Smoka powinien przejąć tron, a K'laiyer był przeciwnego zdania.

— Ja bym to ujęła inaczej — poprawiła ją Sethra. — Obaj w zasadzie w tej kwestii byli zgodni, natomiast nie mogli uzgodnić, jak pilny jest ten problem.

— Jaki problem?

— Cesarz. Cesarze z Domu Feniksa zawsze pod koniec rządów wykazują oznaki dekadencji, z wyjątkiem każdego siedemnastego cyklu, kiedy mamy Odrodzonego Feniksa, takiego jak Zerika. Ponieważ to był koniec Wielkiego Cyklu, czyli zamknięcie siedemnastu cykli, sprawy miały się gorzej niż zwykle, stąd określenie „Schyłkowy Feniks”. Imperium rozłaziło się w szwach, ludzie zajęli nasze wschodnie ziemie, rosła przestępczość i łapówkarstwo, a Cesarz miał to wszystko gdzieś. Nic nie robił i nic go nie interesowało poza przyjemnościami, ale nie miał najmniejszego zamiaru oddać władzy dobrowolnie. Adron uważał, że trzeba go było jak najszybciej usunąć.

— A K'laiyer tak nie uważał?

— Uważał, że nie ma co panikować. Imperium przetrwało już różne koleje losu, a jeśli chodzi na przykład o tereny na wschodzie, to ludzie zajęli tylko te, na których i tak stanowili większość populacji. Uważał, że to w zasadzie są ich ziemie, i nie widział powodu, dla którego mielibyśmy upierać się przy ich zatrzymaniu.

— Chyba bym go polubił — oceniłem.

— Dawał się lubić — przyznała Sethra. — I sędzę, że byłby dobrym Cesarzem.

— Coś mi wygląda na to — zacząłem — że Adron...

— Sędzę, że czas na obiad — przerwał mi stanowczo Morrolan. — Proponuję, byśmy rozmowę kontynuowali po posiłku.

Uśmiechnąłem się i umilkłem.

Po czym wstałem, podałem Cawti ramię i poszliśmy do małej jadalni. Miałem nadzieję, że posiłek okaże się bardziej strawny niż poprzedni spożywany w tym towarzystwie... Myśl ta sprowadziła naturalnie wspomnienia z mego ostatniego pobytu w Górze Dzur... większość była całkiem przyjemna... Poza jedną rozmową... która nie powinna mieć nic wspólnego z całą tą sprawą... bo pomyśleć tylko: ktoś zadał sobie tyle trudu i stracił tyle czasu, by osiągnąć tylko taki drobiazg... No, ale Dragaerianie nie tylko fizycznie różnili się od ludzi...

— Poczekajcie moment — powiedziałem.

Morrolan westchnął i odwrócił się ode mnie:

— Tak, Vlad?

— Właśnie...

— Czy to nie może poczekać?

— No... usiądźmy, a ja się jeszcze zastanowię.

Byłem tak pogrążony w myślach, że zdaje się, iż wpadłem na kilka osób, zanim znalazłem swoje krzesło i bezpiecznie je zająłem.

Zauważyłem, że siedzimy dokładnie w tym samym układzie co poprzednio. Służący nalał nam wina. Wypiłem i nie bardzo wiem, co to było.

— No dobrze, Vlad — powiedział z rezygnacją Morrolan. — O co chodzi?

— Myślę, że wpadłem na to, kto to wszystko zorganizował i po co.

To zdecydowanie przyciągnęło uwagę wszystkich.

— Słuchamy — zachęcił mnie Morrolan.

— Uprzedzam, że pomysł jest pokrecony jak rzadko, ale skoro zaplanowała to Adeptka w Zieleni, to jaki niby ma być — uprzedziłem.

— Mów, kto?

— Zaczekaj. Najpierw muszę coś sprawdzić. Jakieś dwa, może trzy lata temu Adeptka w Zieleni pokłóciła się i pogniewała z kimś, z kim do tej pory pozostawała w nader przyjaznych stosunkach. Sethra: mam rację?

Przez moment Sethra wyglądała na zaskoczoną. Nagle rozdęła nozdrza, a w jej oczach coś błysnęło. Potwierdziła ruchem głowy.

— W takim razie to jest to!

— Co jest co, Vlad? — Morrolan jeszcze pozostał spokojny.  
 „Uważaj, bo jak przegniesz, to wydusi z ciebie prawdę, szefie.”  
 „Spokojnie, Loioosh.”

— Dobrze — oznajmiłem. — Podejdźmy do tego tak: założmy, że Morrolan i Alera zabili parę dni temu Norathar i nie wskrzesili jej. Koniec problemu. Kto jest następcą tronu?

— Alera.

— Dobra. Alera wplątuje się w wojnę w Domu Jherega. Co się stanie?

— Hmm — zastanowił się Morrolan. — Rada mogłaby...

— Dodajmy, że ktoś manipuluje Radą — wtrąciłem. — W niewielkim stopniu, ale zawsze.

— No dobrze, chodzi ci o to, że Rada zmienia decyzję i Alera przestaje być następczynią.

— Zgadza się. I ty tak samo, z podobnych powodów. To kto zostanie wybrany? Spojrzeli na siebie skonsternowani.

— Nie wiem — przyznała w końcu Alera.

— Ja też — pocieszyłem ją. — Ale to akurat jest bez znaczenia. Jestem pewien, że Adeptka w Zieleni wie. Ten ktoś zresztą nie jest w to wplątany. Po prostu jego stanowisko w pewnej kwestii jest znane i to wystarczy. Mówicie, że żaden Smok nie chce być następcą tronu. A kim chce zostać każdy Smok?

— Warlordem — odparła Alera bez namysłu.

— Właśnie. Morrolan, może tak posłałbyś po tę listę? Powinna już być gotowa.

— Ale... zgoda — Morrolan skoncentrował się i oznajmił: — Zaraz ją przyniosą.

— Jaka lista? — zapytała Sethra.

— Poprosiłem Morrolana, by sporządził listę wszystkich, którzy mogli wystąpić z rekomendacją adeptki z Domu Athyry przed poprzednim badaniem genetycznym Norathar — wyjaśniłem. — Teraz tak: gdyby Morrolan lub Alera zasiedli na tronie, każde z nich mianowałoby drugie Warlordem. Dlatego żadne z was nie mogło pozostać następcą tronu. Norathar także nie ma właściwego stanowiska w owej kwestii, więc również należało ją wyeliminować. Przed Bezkrólewem, gdyby Adron został Cesarzem, mianowałby Warlordem kogo trzeba, więc...

— Kogo? — przerwała mi Cawti.

— Zaraz do tego dojdziemy. Dlatego też bez jego wiedzy zorganizowano całą sprawę tak, by nim został. Kiedy mu się nie udało, a Bezkrólewie zakończyło się, panował Odrodzony Feniks, więc problem odsunął się w czasie. Kiedy następcą został Morrolan, nadal wszystko było w porządku...

— A było? — zdziwił się Morrolan.



— Było. Do momentu pojawienia się Aliery. Wtedy bowiem osoba, którą mianowałbyś Warlordem, przestała mieć na to szansę, co gorsza stanowisko Aliery w tej najważniejszej dla spiskowców kwestii, do której zaraz wrócimy, było niewłaściwe. Musieliście odejść oboje, ale wtedy postawił się Baritt, który dotąd zgadzał się na wszystko. Należało więc w pierwszej kolejności zlikwidować jego. Potem niedoszły Warlord i Adeptka w Zieleni, która jako Yendi ma wrodzone talenty do tego typu intryg, ułożyli nowy plan. Pomogło im to, że jesteśmy przyjaciółmi, i to, że dość szybko robię karierę w Domu Jherega. Pierwszym celem było zabicie Norathar.

— Dlaczego?

— Ponieważ Alera wszędzie szuka kogoś, kto mógłby zamiast niej zostać następcą. Nie zrobi świadomie niczego, by Rada odebrała jej tę nominację, gdyż byłoby to niehonorowe postępowanie według niej, ale próbuje znaleźć kogoś z „czystymi genami” czy co tam jest istotne. Te poszukiwania musiałyby jaw końcu doprowadzić do Norathar, a gdyby sprawdziła jej geny, wykryłaby szwindel sprzed lat.

— I doprowadziłyby — potwierdziła Alera. — Szukałam Norathar, co prawda nie podejrzewałam żadnego oszustwa i chodziło mi nie tyle o nią, ile o informacje o bliskich krewnych.

— Nie szkodzi. Z ich punktu widzenia nie mogłaś jej znaleźć, bo wydałoby się istnienie intrygi — dodałam, żeby nie było nieporozumień. — A przy okazji znalazłabyś nową następczynię.

— Dobrze, mów dalej. — Morrolan najwyraźniej zdążył sobie wszystko poukładać.

— Celem tego etapu było zabicie Norathar i zdyskredytowanie was obojga za pomaganie mi w wewnętrznej wojnie Domu Jherega. Podejrzewam, że ktoś gdzieś nawalił i ostrzeżenie o zamachu przyszło zbyt późno. Znacznie lepiej byłoby, gdybyśmy zastawili pułapkę, niżby wydarzyło się to, co się wydarzyło. Z punktu widzenia sprawców naturalnie. Ale zamach przebiegał tak, jak chcieli, dopóki Alera wszystkiego nie zepsuła, wskrzeszając Norathar. Wtedy zostali zmuszeni do improwizacji. Zaczęli od sprawdzenia, czy Norathar mimo wszystko nie dałoby się wykorzystać jako Cesarzowej.

— Jak? — spytała zwięźle Norathar.

— Pamiętasz, jak Adeptka w Zieleni pytała cię, co sądzisz o planach inwazji na Wschodzie? Wtedy nie zwróciłem na to uwagi, ale...

— Masz rację!

— Gdybyś powiedziała, że jesteś zwolenniczką wojny z ludźmi, zaprzestaliby jakichkolwiek dalszych działań, zabili mnie i skoncentrowali się na znalezieniu sposobu, by przekonać cię, abyś mianowała Warlordem kogo należy. Ponieważ okazało się, że nie masz właściwych przekonań politycznych, powiedzieli ci, że Laris was wystawił, wiedząc, że zrobisz wszystko, by go natychmiast zabić. Zało-

że się, że ułatwiliby ci zadanie, podsuwając informacje, gdzie go znaleźć. W ten sposób pozbyliby się go trochę wcześniej, niż planowali, ale przede wszystkim zdyskredytowałyby cię w oczach Rady i nie zostałabyś uznana za godną bycia następczynią.

Cawti potrząsnęła głową i spytała:

— To po co były te kolejne pozorowane zamachy na ciebie?

Zamiast odpowiedzi spytałem Norathar:

— Gdyby nie było następnych pozorowanych zamachów, uwierzyłabyś, że zostałyście wystawione, nawet gdyby ci o tym powiedziano wprost?

Zmrużyła oczy i potrząsnęła przecząco głową.

Cawti dla odmiany pokiwała głową ze zrozumieniem.

W tym momencie zjawił się służący i podał Morrolanowi kartkę papieru.

— Odszukaj na niej nazwisko osoby, którą mianowałbyś Warlordem, gdyby nie pojawiła się Alera — powiedziałem, nim zdążył mi ją przekazać.

Spojrzał na mnie zaskoczony, ale bez słowa przeniósł wzrok na kartkę. I szczęka mu opadła. Sethra pochyliła się, wyjęła mu z dłoni kartkę, spojrzała na nazwiska i kiwnęła głową. Po czym cisnęła kartkę na środek stołu.

— Wolałabym, żeby próbowała mnie zabić — powiedziała z lodowatym błyskiem w oczach.

Na kartce było dziewięć nazwisk.

Trzecie miejsce od góry zajmowała Sethra Młodsza.

## Rozdział szesnasty

*„To będziemy się tylko przyglądać”*

Przez naprawdę długą chwilę przyglądaliśmy się sobie w milczeniu.

W końcu Morrolan odchrząknął i spytał:

— Może byśmy coś zjedli?

— Dlaczegożby nie? — poparła go Sethra.

Morrolan wydał stosowne dyspozycje.

Pojęcia nie mam, co podano, ale musiałem to zjeść, bo nie pamiętam także, bym był głodny.

— Będą tu dziś wieczorem? — spytała w pewnym momencie Norathar.

— Spodziewam się że tak — odparł Morrolan.

Nie było potrzeby precyzować, o kogo chodzi.

— W takim razie powinniśmy chyba zająć się zaplanowaniem powitania — zaproponowała Norathar. — Nie sądzisz, siostrze?

Pytanie było co prawda adresowane do Cawti, ale ja na nie odpowiedziałem:

— Nie tutaj. Morrolan jest bardzo wrażliwy na punkcie traktowania gości.

— Dziękuję, Vlad. — Morrolan uśmiechnął się uprzejmie.

— Drobiazg.

— Jednakże w tych okolicznościach... — zaczęła Alera.

— Nie — uciął.

Zanim kolejna kłótnia miała szansę się rozkręcić, powiedziałem:

— Zanim podejmiemy jakiegokolwiek kroki, powinniśmy zweryfikować podejrzenia.

Norathar spojrzała na mnie zaskoczona:

— Chcesz powiedzieć, że nie jesteś tego pewny?

— Jestem. Ale przekonanie wewnętrzne a udowodnienie to nie to samo.

— Jak chcesz to zrobić?

— Mam swoje sposoby. Trochę to potrwa, ale w końcu i tak jemy obiad, prawda?

Korzystając z chwili ciszy i spokoju, skontaktowałem się z Fentorem.

„Słucham, lordzie Taltos?”  
„Znalazłeś właściciela tych budynków?”  
„Jeszcze nie.”  
„To może ci pomoże, jeśli podam ci dwa nazwiska: Sethra Młodsza i Adeptka w Zieleni.”  
„Sprawdzę i zawiadomię pana.”  
„Doskonale. I Fentor: to pilne.”  
„Rozumiem, milordzie.”  
— Przy odrobinie szczęścia wkrótce będziemy wiedzieć — powiedziałem głośno.  
— Jak sądzisz, jak powinniśmy to rozegrać? — spytała Cawti.  
— Właśnie — dodał złośliwie Morrolan. — Zakładając, że nie chcesz zostać zabą?  
— Nie grozi mi to. Nie możemy ich zaatakować tutaj, chcąc załatwić je permanentnie. Czy ktoś wie, gdzie mieszka ta zielona Yendi?  
— Nikt nie wie, gdzie mieszka Yendi — poinformowała mnie Sethra.  
— No to trzeba się dowiedzieć. Jeżeli na przykład zdołałbym zorganizować spotkanie z Larisem i udowodnić mu, że współpracownicy go kantują, mógłby nam pomóc...  
— Już nie zamierzasz go zabić? — zdziwiła się Alieria. — Bo ja nadal mam ten zamiar.  
— I ja — dodała Norathar.  
— Oczywiście, że go zabiję — zirytowałem się lekko. — Ale nie muszę natychmiast. Poza tym on nie musi wiedzieć, że i tak go zabiję.  
Alieria zmrużyła oczy i oznajmiła:  
— Nie chcę mieć nic wspólnego z czymś takim.  
— Ja też nie — zawtórował jej Morrolan.  
— Ani ja — dodała Sethra.  
— Ja także — dołączyła się Norathar.  
Westchnąłem ze współczuciem.  
— Tak, wiem. Wszystko musi być honorowe, jasne, a przeciwnika należy uprzedzić. Nieuczciwe jest kogoś zaskoczyć tylko dlatego, że próbuje cię zabić i spiskuje na szkodę twoich przyjaciół. Zgadza się?  
— Tak — odparła poważnie Alieria.  
— Wy, Smoki, nadal mnie zdumiewacie — przyznałem. — Przez tyle lat nie możecie się niczego nauczyć i nadal wystarczy jedna cwana Yendi, by wami manipulować, bo bez trudu można przewidzieć wasze reakcje. Natomiast jeszcze dziwniejsze jest coś innego: nieuczciwe jest według was pchnąć kogoś w plecy, ale walka z kimś, o kim wszyscy wiedzą, że jest słabszy, gorszy i mniej doświadczony, jakimś cudem jest uczciwa. Można takiego wyzwać i honorowo poszatkować — i to jest uczciwe. To są bzdury, a nie uczciwość.

— Vlad — zaczął Morrolan — to kwestia. . .

— Daj spokój. Znajdę inny sposób. . . zaraz chyba będę miał potwierdzenie.

Umilkłem i przeprowadziłem krótką rozmowę telepatyczną z Fentorem, bo to on próbował się ze mną połączyć.

— Mam potwierdzenie — oznajmiłem po jej zakończeniu. — Sethra Młodsza przez pośredników była właścicielką budynków mieszkalnych, przy wykorzystaniu których urządzono zamieszki, by odciągnąć Gwardię tuż przed wystawieniem Cawti i Norathar. Krótco wcześniej zostały one sprzedane Larisowi.

— Doskonale — ucieszył się Morrolan. — Co proponujecie?

— Subtelność w przypadku Yendi to próżny trud — powiedziała Sethra. — To musi być coś prostego. Z nią trzeba postąpić tak jak ze żmiją piaskową, od której jej dom wziął swoją nazwę.

Co do tego miała rację — jeżeli się yendi nie utłukło od ręki, zawsze zdążyła ugryźć i to przeważnie tak, że ofiara nie zdawała sobie z tego sprawy, dopóki jad nie zaczął działać.

— To kolejny aksjomat? — spytałem.

Zamiast odpowiedzieć, uśmiechnęła się zimno.

— A Sethrą Młodszą zajmę się osobiście — obiecała.

\* \* \*

— To chyba wystarczająco proste — podsumowałem godzinę później — tyle tylko, że Cawti i ja nie będziemy w najlepszej formie zaraz po teleportacji

— Cawti i ty nie będziecie musieli nic robić — powiedziała niespodziewanie Alera.

Spojrzałem na Cawti.

— W porządku — stwierdziła spokojnie. — To będziemy się tylko przyglądać.

Kiwnąłem głową na znak zgody.

Miałem co prawda w planach nieco więcej aktywności, ale nie było sensu ich o tym uprzedzać. Musiałem natomiast mieć jeden drobiazg:

— Przepraszam, ale mam prośbę, Morrolan. Mógłbym pożyczyć jakiś sztylet Morgantich z twojej kolekcji? Tak na wszelki wypadek.

Zmarszczył brwi, ale zgodził się.

Po chwili zjawił się służący z drewnianym pudełkiem. Podał mi je. Wewnątrz był niewielki sztylet o srebrnej, prostej rękojeści i równie prostym ostrzu w skórzanej pochwie. Ledwie wziąłem go w rękę, poczułem, że to broń Morgantich. Wsunąłem broń do wewnętrznej kieszeni peleryny i powiedziałem po prostu:

— Dziękuję.

— Drobiazg — odparł odruchowo.

Wstaliśmy jak na komendę i spojrzeliśmy po sobie. Nikomu jakoś nic stosownego nie przyszło do głowy, nikt się bowiem nie odezwał. W milczeniu wyszliśmy więc z jadalni i skierowaliśmy się do centralnej części zamku, gdzie była sala bankietowa.

Praktycznie zaraz po wejściu zauważyliśmy Sethrę Młodszą. Loiosh zgodnie z planem zaczął krążyć pod sufitem, by nie rzucać się w oczy, a odszukać drugą przeciwniczkę. Morrolan zaś podszedł do Sethry Młodszej i coś jej cicho powiedział.

„Znalazłem ją szefie. Północna ćwiartka w pobliżu narożnika.”

„Dobra robota, Loiosh.”

Przekazałem informację Morrolanowi. Podprowadził Sethrę Młodszą we wskazanym kierunku. Reszta z nas także podążyła ku wskazanemu przez Loiosha obszarowi. Ponieważ zaraz po wejściu do sali rozdzieliliśmy się, nie zwróciło to niczyjej uwagi — ot, pojedyncze osoby przemieszczające się w tłumie. Dotarliśmy do niej prawie równocześnie, mimo że z różnych stron. Spojrzała wprawdzie na Morrolana, potem na Sethrę, a potem na resztę. Gdybym jej uważnie nie obserwował, nie zauważyłbym lekkiego wytrzeszczu oczu — jedynej widocznej reakcji.

— Sethro Młodsza i Adeptko w Zieleni — odezwał się Morrolan formalnie. — Przez najbliższe siedemnaście godzin nie jesteście mile widziane w moim domu. Potem możecie wrócić.

I ukłonił się lekko.

Spojrzały na siebie, potem na nas.

Wokół zaczynało robić się cicho — co bardziej rozgarnięci goście zauważyli, że dzieje się coś niezwykłego, i zaczęli podsłuchiwać.

Sethra Młodsza otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale po sekundzie zamknęła je bez słowa. Adeptka w Zieleni najprawdopodobniej przekazała jej telepatycznie, że tym razem nie wykręcą się elokwencją. Obie ukłoniły się równie lekko jak Morrolan.

Sethra Lavode podeszła od tyłu do swej byłej uczennicy i złapała ją za ramię tuż nad łokciem. Spojrzały na siebie z nieprzeniknionymi twarzami.

W tym momencie Adeptka w Zieleni zniknęła, a Loiosh wylądował na moim ramieniu. Spojrzałem na Alierę. Miała zamknięte oczy i wyraz koncentracji na twarzy.

Obie Sethry zniknęły

— Co Sethra jej zrobi? — spytałem Morrolana.

Wzruszył ramionami.

Nieoczekiwanie odezwała się Alierka, nie otwierając oczu:

— Wie, że ją śledzę. Jeśli zatrzyma się, by postawić blokadę, zdążymy ją złapać.

— Zrobi to w miejscu dającym jej największą przewagę — uprzedziłem.

— Tak — zgodziła się Alieria.

— Niech próbuje — dodała Norathar.

Cawti odgarnęła oburącz włosy i spięła je na plecach. Ja poprawiłem pelerynę. Uśmiechnęliśmy się do siebie, wiedząc, co oznaczają te gesty.

— Teraz! — powiedziała Alieria.

Sala bankietowa zniknęła, żołądek fiknął kozła i znalazłem się w samym sercu paleniska. Nim zdążyłem wrzasnąć, ból i gorąco zniknęły. Staliśmy w ogniu i nie czuliśmy nic.

— Szybko ci poszło — dobiegło mnie gdzieś z lewej.

Głos należał do Adeptki w Zieleni. Dodała:

— Możesz się nie wysilać z blokiem teleportacyjnym, Alieria, nigdzie się nie wybieram.

Uświadomiłem sobie, że musiała w trakcie teleportacji wszystko przemyśleć i natychmiast po niej użyć magii, by zgotować nam tak gorące powitanie, i mój respekt dla niej wzrósł nieco. Nadal jej nie lubiłem, ale musiałem przyznać, że była niezła. Tyle że Alieria była lepsza — domyśliła się, że coś podobnego nas spotka, i przygotowała stosowną magię ochronną. Dzięki jej refleksowi żadne z nas nie zostało nawet osmolone. Żadne?!

„Loioosh, jesteś cały?”

„Cały i zdrowy, szefie.”

Otoczające nas płomienie zniknęły, dzięki czemu mogliśmy się spokojnie rozejrzeć. Znajdowaliśmy się w komnacie mającej ze dwadzieścia stóp długości, o osmolonych ścianach. Tkwiliśmy po kolana w popiele, a przed nami stała Adeptka w Zieleni, przyglądając się nam zimno. W dłoni trzymała prostą drewnianą różdżkę.

— Najlepiej będzie, jak opuścisz to miejsce — oznajmiła lodowato. — Jest tu pełno moich ludzi i nie zdążycie mi nic zrobić, nim się tu zjawią.

Już dawno zauważyłem, że co bezczelniejsze i zadufane w sobie elfy całkiem niewłaściwie rozumieją znaczenie słowa „ludzie”. Z wyrazem „człowiek” jakoś nie mają kłopotów.

Spojrzałem na Alierę.

Adeptka w Zieleni wykonała krótki gest różdżką i ściana za jej plecami zniknęła, ukazując ze trzydziestu Dragaerian obojga płci uzbrojonych, jak to się mówi, „po zęby”.

— Ostatnia szansa — uśmiechnęła się.

Odchrząknąłem i spytałem:

— Każdy z Domu Yendi ma takie skłonności do tandetnego melodramatyzmu czy tylko ty?

Przestała się uśmiechać.

Kiwnęła ręką i cała banda podeszła bliżej.

Alieria wykonała szybki gest i ponownie otoczyły nas płomienie.

Po sekundzie zniknęły.

— Nieźle, moja droga — pochwaliła gospodyni. — Ale już o tym pomyślałam.

— Widzę — odparła Alera i spytała Morrolana rzeczowo: — Wolisz ją czy tę bandę?

— Twój wybór.

— W takim razie wybieram ją.

— Doskonale — Morrolan dobył Blackwanda.

Sądząc po minach najbliższej stojących, dotarło do nich, że mają do czynienia z Wielką Bronią o mocy, z jaką żadne z nich dotąd się nie zetknęło.

Morrolan też to zauważył — uśmiechnął się paskudnie i powoli ruszył ku nim.

— Pamiętaj: jesteśmy tu tylko po to, żeby się przyglądać — przypomniałem Cawti.

Uśmiechnęła się porozumiewawczo.

Kątem oka dostrzegłem ruch — Norathar najwyraźniej miała dość czekania, gdyż z rapierem w dłoni ruszyła ku Adeptce w Zieleni, biorąc szeroki zamach. Alera syknęła i skoczyła za nią. Za plecami coś mi głucho łupnęło i zaśmierdziało paskudnie — najwidoczniej Alera odbiła w locie jakiś magiczny atak, którego nie zauważyłem.

Adeptka w Zieleni cofnęła się poza linię zbrojnych i uniosła różdżkę. Trysnęły z niej smugi energii, mierząc w Norathar, ale Alera była już na ich drodze. Uniosła dłoń i wyładowania zgasły.

Morrolan, Norathar i Alera ruszyli równocześnie. Morrolan pięknym cięciem rozplątał gardło pierwszego przeciwnika, rozciął pierś drugiego i pchnął w bok trzeciego. Uskoczył w bok, nim ktokolwiek zdążył pomyśleć o tym, by go zaatakować, wyciągnął ostrze z rany i tym samym płynnym ruchem wybebeszył dwóch kolejnych przeciwników. Odbił czyjś atak, pchnął atakującego w szyję i cofnął się o krok, by wziąć lepszy zamach. W prawej dłoni trzymał Blackwanda uniesionego nad głową. W lewej długi sztylet. Komnatę dopiero w tej chwili wypełniły przeźrliwe wrzaski umierających — ci, których zabił Blackwand, nie wydali z siebie głosu. Ci, którzy znaleźli się naprzeciw Morrolana, pobledli, aż miło było patrzeć.

Spojrzałem w bok — wokół Norathar leżały trzy trupy. Pod Alerą pięć i wyglądało na to, że dobrze się bawi, wywijając ośmiostopowej długości bronią niczym zabawką.

W tym momencie zabici zaczęli wstawać — nawet ci, którzy padli od ciosów Blackwanda. Spojrzałem na Adeptkę w Zieleni — na jej twarzy widać było wysiłek i koncentrację.

— Zajmijcie się nimi! — poleciła Alera i cofnęła się o krok.

Lewą ręką pchnęła powietrze i trupy zatrzymały się. Adeptka wykonała gest różdżką i poruszyły się ponownie, kontynuując wstawanie. Alera zrobiła inny gest i znów zamarły. Po czym raz jeszcze drgnęły.



Aliera wykonała zupełnie inny gest i Adeptka w Zieleni krzyknęła, gdy tuż przed nią pojawiła się błękitna poświata. Unicestwiła ją szybkim ruchem, ale na jej twarzy pojawiły się krople potu.

W tym czasie Morrolan i Norathar, ignorując niezdecydowane trupy, walczyli pracowicie, kładąc pokotem ponad połowę zbrojnych.

— I co, podoba ci się rola widza? — spytałem półgłosem Cawti.

— Średnio, choć uczestnicy jako Smoki znajdują sporą przyjemność w tym, co robią.

— Też mi się to średnio podoba. Na szczęście będę musiał się wmieszać i wygląda na to, że raczej szybko.

— Po co?

W tym momencie Norathar zabiła ostatniego blokującego jej drogę zbrojnego i skoczyła ku Adeptce w Zieleni. Ta machnęła różdżką i Norathar zwała się jak kłoda.

Cawti ruszyła, nim zdołałem cokolwiek zrobić. Przeszła przez pojedynczą linię zbrojnych jakby od niechcienia, zostawiając za sobą dwa drgające jeszcze ciała, i przykleknęła przy Norathar.

Ci, których nie dorznęła Norathar, zwrócili się przeciwko Alierze, musiała więc zająć się obroną. Wyjąłem dwa noże i na próbę rzuciłem nimi w Adeptkę w Zieleni. Tak jak się spodziewałem, w ostatniej chwili zmieniły trajektorię, omijając ją szerokim łukiem.

Usłyszałem soczyste przekleństwo Morrolana i zobaczyłem, że jego lewa ręka zwisa bezwładnie, a na czerni peleryny rozlewa się czerwona plama.

Aliera nadal toczyła magiczny pojedynek, odcinając się trzem napastnikom równocześnie. Nagle wokół niej zakotłowało się, gdy do tej trójki dołączyli jeszcze dwaj. Ostrza i postacie zawirowały, szcęk stali zagłuszył na moment wszystkie inne odgłosy. Kiedy zamieszanie ustało, czterech zbrojnych leżało na podłodze, Aliera zaś nadal stała. Tyle że z jej lewego boku wystawała rękojeść sztyletu, a z pleców na wysokości pasa, nieco w prawo od kręgosłupa, klinga ciężkiej szpady. Nie wydawało się to robić na niej większego wrażenia, sądząc po ruchach — najwyraźniej magia była skutecznym środkiem na szok i ból. Za to kieckę miała zrujnowaną.

Norathar wydawała się żywa i cała, acz mocno otumaniona. Wyciągnąłem dwa następne noże i pobiegłem jak mogłem najszybciej przez zwał popiołu sięgający prawie kolan. Dotarłem do jego granicy i obserwowałem Alierę biorącą właśnie zamach. Kiedy zadała cios, ruszyłem i przetoczyłem się przez resztki linii zbrojnych, zostawiając noże w brzuchach dwóch z nich. Znalazłem się o cztery stopy od celu i nim wstałem, miałem już w dłoni Spellbreakera.

Wstając, machnąłem nim na oślep, i to mnie ocaliło — Adeptka w Zieleni naturalnie zauważyła, że się zjawiłem, i powitała skomplikowanym gestem dłoni trzymającej różdżkę. Poczułem mrowienie w całej ręce. I poczułem, że lecę do

tyłu.

— Vladimir!

„Zostań, gdzie jesteś!” — poleciłem.

Otworzyłem ostrożnie oczy i z zadowoleniem stwierdziłem, że gospodyni przestała się mną interesować na tyle, że prawie się odwróciła. Wstałem, wydobylem sztylet Morgantich z pochwy i nie zauważony zaszedłem ją od tyłu.

Po czym zdzieliłem ją Spellbreakerem po głowie.

A raczej po magicznej tarczy, którą się otoczyła.

Podsoczyła i zaczęła się ku mnie obracać, ale było już za późno. Tarcza nie dopuściła łańcucha do jej głowy, ale Spellbreaker był na tyle silny, że ją na moment zneutralizował. A to było wszystko, czego potrzebowałem — nim Adeptka w Zieleni zdołała dokończyć obrót i zrobić cokolwiek więcej, przystawiłem jej ostrze do gardła.

Morrolan i Alera dorzynali resztki obrońców. Widać było, że są w nie najlepszej kondycji — Morrolan chwiał się na nogach, Alera miała zaciśnięte usta i krople potu na czole. Cawti pomagała Norathar wstać. Wyglądało na to, że zdążyłem w ostatnim momencie, dlatego też nie zwlekałem ani sekundy.

— Ta walka to nie mój interes — powiedziałem cicho. — Odejdę, jeśli powiesz mi, co chcę wiedzieć. Jeśli jednak mi nie powiesz, gdzie jest Laris, podejrzną ci gardło, a wiesz, co to za broń. Jeśli go ostrzeżesz, będę cię ścigał do końca moich dni i zabiję tak, że nikt cię nie zdoła ożywić.

Nie wahała się ani sekundy:

— Jest na ostatnim piętrze magazynu przy Pier Street. Trzeci budynek na wschód od zbiegu Pier i One Claw po południowej stronie ulicy.

Tak wyglądała lojalność w wydaniu Domu Yendi!

— Dziękuję serdecznie — powiedziałem i cofnąłem się powoli tak ze sztyletem, jak i Spellbreakerem gotowymi do użytku.

Odwróciła się plecami, najwyraźniej uznając, że stanowią mniejsze zagrożenie, i naturalnie przy tej okazji wzmacniając swoją magiczną tarczę. W tym jednakże momencie Alera ścięła głowę ostatniemu zbrojnemu i wszyscy troje skupili się na Adeptce w Zieleni.

Z głowni Blackwanda wystrzeliła wiązka czerni i trafiła ją w pierś. A raczej nie tyle ją, ile tarczę, i zneutralizowała ją. Zanim Adeptka zdążyła zrobić cokolwiek, Norathar cięła na odlew i prawa ręka wraz z magiczną różdżką poleciała odcięta w kąt.

Adeptka w Zieleni zawyla i padła na kolana. Norathar zmieniła chwyt i pchnęła z góry, przebijając ją przez pierś lub też nabijając tak, że ostrze weszło w ciało, na wysokości piersi, a wyszło między nogami.

W komnacie zapadła cisza.

Adeptka w Zieleni spoglądała na Norathar z niedowierzaniem w oczach. A potem krew rzuciła jej się ustami i gdy Norathar wyciągnęła rapier z jej ciała, zwałała

się jak szmaciana lalka u stóp Miecza Jherega.

Cawti podeszła do mnie.

Schowałem sztylet Morgantich do pochwy i wskazałem brodą na całą trójkę stojącą nad zwłokami.

— Oto przykład dobrze wykonanej pracy zespołowej — i dodałem znacznie ciszej: — Oraz uczciwej walki w rozumieniu Domu Smoka.

Aliera bez dźwięku osunęła się na posadzkę.

Cawti zacisnęła dłoń na moim ramieniu.

\* \* \*

Wróciliśmy do Czarnego Zamku, zostawiając ciało Adeptki w Zieleni tam, gdzie padła. Nalałem sobie solidną porcję brandy — co prawda wolę wino, ale potrzebowałem czegoś na uspokojenie, a nikt nie był w nastroju do świętowania.

— Całkiem dobrze posługiwała się magią — przyznała słabo Aliera leżąca na łóżku i będąca obiektem zabiegów Nekromantki.

Wszyscy obecni zgodzili się milcząco.

— Vlad, co ty jej zrobiłeś, zanim ją zabiliśmy? — spytał Morrolan paradujący z lewą ręką na temblaku.

— Miała pewną informację, której potrzebowałem. Przekonałem ją, żeby się nią ze mną podzieliła.

— A potem ją puściłeś?

Wzruszyłem ramionami.

— Powiedzieliście, że nie będziecie potrzebowali naszej pomocy.

— Rozumiem. . .

Zauważyłem, że Cawti tłumii wesołość, i mrugnąłem do niej porozumiewawczo.

Morrolan przetrawił to, co usłyszał, i spytał:

— Można wiedzieć, co to za informacja?

— Jakbyś przypadkiem zapomniał, to jestem w samym środku wojny, a Larisowi pomagała właśnie ona. Teraz szansę się znacznie wyrównały, ale on nadal może wygrać. Dość szybko też dowie się o jej śmierci, a wtedy weźmie się do mnie ostro. Zabójca, którego wynajmie, będzie miał mnie zabić, nie nastraszyć. I dlatego muszę skończyć tę wojnę, zanim do tego dojdzie. A najpewniejszym tego sposobem jest znalezienie Larisa. Przyszło mi do głowy, że ona musiała wiedzieć, gdzie się schował. Mam tylko nadzieję, że nie zełgała.

— Rozumiem.

Cawti uśmiechnęła się promiennie i spytała:

— To możemy to nareszcie skończyć?  
— Myślisz, że to będzie aż tak łatwe?  
— Tak.  
Zastanowiłem się.  
— Masz rację: będzie — przyznałem i zamknąłem oczy, sprawdzając, czy przypadkiem o czymś nie zapomniałem.  
A potem złapałem telepatycznie Kragara.  
„Witaj, Vlad.”  
„Jak interesy?”  
„Trochę lepiej.”  
„To dobrze. Złap Kurwi Patrol. Chcę, żeby dokładnie za dwie i pół godziny założyły blok teleportacyjny uniemożliwiający opuszczenie tym sposobem pewnego magazynu przy... — i powiedziałem mu dokładnie gdzie.”  
„Załatwię to, szefie.”  
„Bardzo dobrze. Za półtorej godziny w biurze mają czekać: Shoen, Kij, Świelik, Narvane, N’aal, Chimov i Wesolek.”  
„Uh... to już wszyscy?”  
„A co, chcesz jeszcze kogoś?”  
„Rozumiem, że mamy go, Vlad?”  
„Mamy. I nie chcę, żeby coś poszło nie tak. To powinno być szybkie, łatwe i przyjemne. Dla nas. Zbierz wszystkich i dopilnuj, żeby adeptka, którą wynajmiesz, była kompetentna.”  
„Jasne, szefie.”  
Zakończyłem rozmowę.  
Oboje z Cawti wstaliśmy.  
— Cóż, dziękujemy za doskonałą rozrywkę — ukloniłem się głęboko. — Ale obawiam się, że wzywają nas interesy.  
— Jeśli mogę jakoś pomóc... — Norathar nie dokończyła.  
Przyglądałem się jej przez chwilę i ukloniłem jeszcze głębiej:  
— Dzięki, Norathar: doceniam twoją ofertę, ale nie ma takiej potrzeby. Sądzę, że po raz pierwszy od paru miesięcy rzeczywiście kontroluję sytuację.

\* \* \*

Przy bramie Czarnego Zamku czekał na nas jeden z nadwornych adeptów Morrolana, który teleportował nas do mojego biura.  
Tym razem pamiętałem, by uprzedzić Kragara, że się zjawimy.

## Rozdział siedemnasty

„Ty, co?”

Gdyby to był romans, dla dodania dramatyzmu finałowi złapałbym Larisa po mrożącej krew w żyłach pogoni po dachach i innych takich i po ciężkiej walce, w której omal by mnie nie zabił, wykończyłbym go wreszcie. Ponieważ to było życie, finał wyglądał zupełnie inaczej.

Mogło się nie udać tylko z dwóch powodów: albo Adeptka w Zieleni zełgała, podając mi adres, albo też zdążyła go ostrzec. Wątpiłem mocno, by zrobiła jedno lub drugie — z jej punktu widzenia Laris przestał być użytecznym narzędziem, a bezużyteczne narzędzia nie mają żadnej wartości.

Wyjaśniłem wszystkim obecnym swój plan, co zajęło z pół godziny, uprzedzając wcześniej:

— Jeżeli komuś się wydaje, że zrobi sobie dobrze, uprzedzając Larisa, radziłbym mu o tym zapomnieć. Patron Larisa nie żyje, więc skończyła się jego przewaga. Jeśli nie dorwiemy go teraz, to następnym razem na pewno. A ze zdrajcą rozliczę się osobiście. Długo, boleśnie i permanentnie.

Po odprawie poszukałem w jednej z szuflad sztyletu stosownego na tę okazję — siedmiocalowe ostrze i wąska rękojeść pasująca do ręki. Przyczepiłem go do pasa z prawej strony.

\* \* \*

Odczekaliśmy jeszcze z pół godziny.

Potem Shoen i Chimov wyszli.

Odczekałem jeszcze parę minut. Potem wstałem.

— Powodzenia, szefie — powiedział cicho Kragar.

— Dzięki.

I wyszliśmy.

\* \* \*

Loiosh krążył w górze.

Cawti szła przodem.

A ja za nią w otoczeniu wszystkich pozostałych.

Dotarliśmy do Malak Circle, skręciliśmy w Pier Street i prawie doszliśmy do Silversmith Street, nim skontaktował się ze mną Shoen:

„Na zewnątrz jest czterech, szefie. Dwóch przy drzwiach i dwóch na patrolu.”

„Dobra, wyślij wsparcie.”

„Dzięki.”

— Narvane i Wesolek, przyspieszcie — poleciłem. — Shoen dowodzi zdejmowaniem wartowników. Macie pięć minut na przygotowania.

Puścili się prawie biegiem, a my zwolniliśmy kroku, wlokąc się noga za nogą.

Sześć minut później ponownie odezwał się Shoen.

„Wszystko przygotowane, szefie. Zdjęcie warty zajmie od pięciu do dziewięćdziesięciu sekund w zależności od tego, gdzie w tym momencie będą patrolujący.”

„Rozumiem. Czekać.”

Dotarliśmy prawie do zbiegu Pier Street i One Claw Street. Od celu dzieliło nas małe wybrzuszenie ulicy.

„Ile potrzebujesz czasu, Shoen?” — spytałem.

„Jeżeli da pan sygnał teraz, szefie, to trzydzieści sekund.”

„To masz sygnał: już!”

„Się robi, szefie.”

Uniosłem dłoń i cała grupa zatrzymała się. Policzyłem w myślach do dziesięciu i ruszyłem już normalnym krokiem. Minęliśmy wybrzuszenie i zobaczyliśmy magazyn. Przed wejściem stali Shoen i Chimov. Nim podeszliśmy, dołączył do nich Narvane, a prawie równocześnie z nami Wesolek. Sprawdziłem, która godzina, na imperialnym zegarze.

— Blokada teleportacyjna już powinna działać — oznajmiłem. — Sprawdź, czy tak jest, Narvane.

Zamknął oczy na chwilę i kiwnął głową.

— Działa.

— Drzwi — poleciłem.

— Może powinniśmy zaklaskać — zaproponował N'aal.

Shoen i Świetlik stanęli z obu stron drzwi. Spojrzeli na siebie i kiwnęli głowami. Świetlik ciosem maczugi rozwalił zamek, Shoen pchnął drzwi ramieniem i omal nie wpadł z nimi do środka.

— Jak byście się czuli, gdyby były otwarte? — spytał N'aal.

— Zamknij się — warknąłem.

Cawti prześliznęła się między nimi, nim ktokolwiek inny zdołał się ruszyć, i zniknęła w środku. Coś z głuchym łomotem zważyło się na ziemię, a potem łomotów było więcej, gdy do środka wpadli: Świetlik, N'aal i Shoen. Wszystko ucichło. Loiosh wylądował na moim ramieniu, gdy do wnętrza weszli Chimov i Wesołek. Poszedłem za nimi, mając za plecami Kija i Narvane'a.

Magazyn był duży i pusty. Na podłodze leżały cztery ciała — w dwóch tkwiły noże. Z prawej strony znajdowały się schody i ku nim się skierowaliśmy. Po drodze nie spotkaliśmy nikogo. N'aala i Wesołka zostawiłem na dole, by pilnowali drogi powrotu, reszta weszła za mną na drugie piętro, schody doprowadziły nas do dużego pustego pomieszczenia.

Jakieś pięć stóp przed nami znajdowały się drzwi do trzech mniejszych pomieszczeń, prawdopodobnie biur. Ledwie ostatni, czyli Narvane, wszedł na górę, drzwi po prawej otworzyły się i wyszło przez nie trzech mężczyzn w barwach Domu Jherega. Zobaczyli nas i zamarli z wytrzeszczonymi oczami. Jednemu nawet szczęka opadła.

Pierwszy skoczył na nich Kij, tuż za nim Świetlik, wyszczerzony radośnie jak pólidiota.

Załatwili ich w trzy sekundy.

Posłałem Świetlika i Shoena, żeby sprawdzili pomieszczenie na prawo. Już miałem kazać Chimowowi i Narvane'owi zrobić to samo z tym na wprost, gdy z lewego rozległo się pytanie:

— Co to za zamieszanie, panowie?

Rozpoznałem głos Larisa.

Dałem znak Narvane'owi. Ustawił się na wprost drzwi, a my stanęliśmy za nim. Uniósł obie ręce i drzwi wpadły do środka.

Pomieszczenie nie było duże. Stały w nim dwa biurka i osiem lub dziewięć foteli. Za jednym z biurek siedział Laris. Oprócz niego było tam jeszcze czterech.

Przez moment nikt się nie poruszył.

Potem Laris odwrócił się ku jednemu ze swych podwładnych.

— Teleport! — polecił.

Poczekaliśmy spokojnie.

— Blokada — oznajmił ten, któremu wydał polecenie.

Cawti weszła do biura.

Potem wszedł Kij. Następny był Świetlik. A potem reszta.

Laris i ja popatrzyliśmy na siebie, ale żaden z nas się nie odezwał.

No bo i co było mówić? Przeniosłem spojrzenie na jego ochroniarzy — każdy miał na wpół dobytą broń w ręku. Kazałem moim zrobić przejście do drzwi. Kij postukał swoimi pałami w otwartą dłoń, przyjrzał się wymownie całej czwórce i oznajmił:

— Brak perspektyw, panowie. Brak perspektyw.

Przyjrzeni się nam badawczo i po kolei wstali. Schowali broń i trzymając dłonie na widoku, powoli wyszli. Żaden nawet nie spojrzął na Larisa.

— Wszyscy poza Cawti, odprowadźcie ich poza magazyn — poleciłem.

I wyjąłem z pochwy wiszący z prawej sztylet.

Kiedy zostaliśmy sami, zamknąłem nogą drzwi.

— Jest twój, Vlad — powiedziała Cawti.

Laris nie odezwał się słowem.

Załatwiłem to szybko.

\* \* \*

Godzinę później wytrzeszczyłem oczy na Alierę i zdołałem jedynie wykrztusić:

— Ty, co?!

— Przywróciłam ją do życia — powtórzyła, przyglądając mi się ze zdziwieniem. — Dlaczego cię to tak dziwi?

Znajdowaliśmy się w bibliotece Czarnego Zamku. Oprócz nas dwojga byli jeszcze: Morrolan, Cawti, Norathar i Sethra. Aliera spoczywała na szezlongu i poza tym, że była blada, wyglądała całkiem zdrowo.

Prychnąłem, słysząc pytanie, i odpowiedziałem swoim:

— Dlaczego?

— A dlaczego nie? Pokrzyżowaliśmy jej plany i zabiliśmy ją. To wystarczające upokorzenie. Poza tym Cesarzowa jest jej przyjaciółką.

— No to pięknie! — jęknąłem. — Teraz będziemy mieli. . .

— Nic nie będziemy mieli, bo ona nic nie robi, Vlad — przerwała mi zdecydowanie Aliera. — Nic nie może zrobić, dlatego że ożywiając ją, wykonałam równocześnie pełne sondowanie telepatyczne jej umysłu i spisałam szczegóły każdej intrygi, w której w życiu brała udział, nie mówiąc o tych, w których obecnie bierze. Dałam jej kopię do przeczytania. Muszę przyznać, że niektóre są naprawdę interesujące.

I uśmiechnęła się zadowolona z siebie.

Westchnąłem.

— No cóż, nich będzie jak chcecie, ale jak się pewnego ranka obudzę martwy, będę miał ciężkie pretensje i tak łatwo się nie wyłgasz.

„Aleś jej powiedział, szefie.”

„Cicho, Loiosh.”

Ku memu zaskoczeniu Norathar powiedziała:

— Uważam, Alierą, że postąpiłaś właściwie.



— Ja także — dodała Sethra.  
Spojrzałem na nią i spytałem:  
— Doprawdy? A co ty zrobiłaś z Sethra Młodsza?  
— Dom Smoka zdecydował, że Sethra Młodsza ani żaden z jej potomków nigdy nie zostanie ani Cesarzem, ani Warlordem.  
— Aha. A co ty z nią zrobiłaś?  
Sethra uśmiechnęła się z rozmarzeniem, od którego mi się — nie wiedzieć czemu — zimno zrobiło.  
— Sądzę, że znalazłam dla niej stosowną karę. Najpierw musiała mi wszystko dokładnie wytłumaczyć, a...  
— Tak? A co ci powiedziała?  
— Nic zaskakującego. Chciała przeprowadzić inwazję na Wschód i podbić ludzi. Wyzaliła się Adeptce w Zieleni, z którą się przyjaźniła, bo doskonale wiedziała, że gdy lord K'laiyer zostanie Cesarzem, nigdy nie zgodzi się na taki atak. Adeptka w Zieleni wymyśliła intrygę mającą na celu usunięcie go i zastąpienie Adronem, ponieważ wiedziały, że Adron mianuje Warlordem Baritta, który był zwolennikiem inwazji. Baritt wziął w tym udział głównie dlatego, że był przekonany, iż Adron będzie lepszym Cesarzem niż K'laiyer. Przepraszam, Norathar. — Norathar wzruszyła ramionami a Sethra ciągnęła: — Po katastrofie Adrona nic nie byli w stanie zrobić, a gdy Zerika zasiadła na tronie, następcą został Morrolan. Sethra Młodsza zaprzyjaźniła się z nim i bez trudu dowiedziała się, że choć nie jest gorącym zwolennikiem tego pomysłu, to także nie sprzeciwiłby się zaatakowaniu ludzi. Wszystko więc było po ich myśli. Dopiero niespodziewane pojawienie się Aliery zmieniło sytuację i uznali, że muszą znów przystąpić do działania. Wymyślili, że zdyskredytują ich oboje, wykorzystując ich przyjaźń z tobą. Mieli kontakt z Larisem, bo pomagał im w fałszowaniu wyników badań genetycznych, toteż kiedy Baritt odmówił dalszej współpracy, Laris go zabił. Wykorzystały to później, by zmusić go do wszczęcia wojny przeciwko tobie. Problem polegał na tym, by przekonać go, aby cię od razu nie próbował zabić. W końcu stanęło na tym, że będzie mógł to zrobić, gdy osiągną cel. Resztę, jak sądzą, znasz.  
— Zaraz. Teraz wracając do Sethry Młodszej...  
— A tak. Nakłoniłam Nekromantkę, by przeniosła ją na inną Płasczyznę. Podobną do naszej, ale czas tam zupełnie inaczej biegnie.  
— I tam pozostanie? — Kara wydała mi się dość surowa: miłosierniej byłoby od razu ją zabić.  
Poza tym nie byłam na nią tak wściekły jak na Adeptkę w Zieleni.  
— Nie. Będzie mogła wrócić, gdy wykona zadanie. Czyli gdzieś za tydzień naszego czasu.  
— Zadanie.  
— A owszem. — Sethra ponownie uśmiechnęła się z rozmarzeniem ścinającym krew w żyłach. — Zostawiłam ją na pustyni. Ma zapas wody, namioty i pa-

tyk. I ma napisać zdanie: „Nie będę się mieszała do decyzji Rady Domu Smoka” osiemdziesiąt trzy tysiące pięćset dwadzieścia jeden razy.

\* \* \*

Stary człowiek miał prawie siedemdziesiąt lat, co dla przedstawiciela jego rasy stanowiło naprawdę piękny wiek, ale był w całkiem dobrej kondycji. Był ubogi, lecz nie biedny. Założył rodzinę w samym sercu Imperium i zrobił to dobrze. Pochował żonę, siostrę, córkę i dwóch synów. Jedynym żyjącym potomkiem pozostał wnuk, który co parę tygodni prawie dawał się zabić.

Stary człowiek był prawie kompletnie łysy — pozostał mu jedynie wianuszek siwych włosów. Był też wysoki i pleczysty, ale pozostał nadal dość zwinny, by stoczyć z wnukiem zacięty pojedynek na rapiery albo napędzić solidnego stracha Dragaerianinowi nie przyzwyczajonemu do fechtunku na ludzki sposób.

Mieszka w Dzielnicy Wschodniej — getcie dla ludzi znajdującym się w południowej części Adrilankhi. Zarabia na życie czarami, ponieważ nie chce, by wnuk go utrzymywał. Martwi się o niego, ale nie okazuje tego. Chciałby pomóc, ale każdy sam musi dokonywać wyboru, jak będzie żył — nie wymuszał w tej kwestii posłuszeństwa u dzieci, więc nie będzie i u wnuka. Kiedy jeden z jego synów uparł się zrobić z siebie imitację Dragaerianina, bardzo go to zasmuciło, ale nie skrytykował go słowem. I to mimo iż wiedział, że próba ta musi zakończyć się fiaskiem.

Poszedłem go odwiedzić w dzień po śmierci Larisa. Marsz przez tonące w odpadkach, śmieciach i brudzie ulice nicował mi żołądek, ale byłem do tego przyzwyczajony — w końcu wszyscy wiedzą, że ludzie to brudasy i niechluję i wszędzie, gdzie mieszkają, robią chlew. Nie ma znaczenia, że nie mogą używać magii do sprzątnięcia tak jak Dragaerianie — rękoma też można sprzątać, tylko trzeba chcieć.

Żeby móc używać magii, musieliby zostać obywatelami Imperium. A na to są tylko dwa sposoby: wyprowadzić się na wieś i jak Teckle uprawiać ziemię albo kupić tytuł w Domu Jherega. Nie chcą dłużyć w ziemi? Nie mają pieniędzy, żeby kupić tytuł? No to ich problem — jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma. Zresztą skąd mają wziąć pieniądze, skoro nikt ich nie zatrudni do porządnej pracy, widząc, jakie z nich brudasy i niechluję.

Dotąd mnie to nie obchodziło. I prawdę mówiąc, nadal obchodziło mnie to jedynie o tyle, że widziałem, jak ciężko przeżywa to idąca obok mnie Cawti. Z jej twarzy nie sposób było tego wyczytać, ale z postawy i ruchów jak najbardziej, jeśli tylko poznało się ją trochę. Powinienem czuć satysfakcję, widząc, jak żyją

ci, którym się nie udało. A czułem jedynie mdłości.

Nad sklepem dziadka nie ma żadnego szyldu, a w oknie żadnych towarów. Wszyscy w okolicy wiedzą, czym się zajmuje i kto on zacz, a jeśli ktoś nie wie, to znaczy, że nie potrzebuje jego usług. Dragaerianie przestali używać czarów, kiedy skończyło się Bezkrólewie i magia znów zaczęła działać. Raz dlatego, że jest prostsza, dwa dlatego, że ludzie są w czarach lepsi.

Przeszedłem przez otwór wejściowy (drzwi nie było, odkąd sięgałem pamięcią, a prawdopodobnie dłużej) i jak zwykle trąciłem głową zestaw dzwoneczków w tym właśnie celu zawieszonych. Dziadek stał plecami do wejścia i robił świece, ale odwrócił się natychmiast i uśmiechnął szeroko, udowadniając, że naprawdę prawie już nie ma zębów.

— Vladimir! — powitał mnie i uśmiechnął się do Cawti.

A potem przyjrzał mi się uważnie.

Mogliśmy porozumiewać się telepatycznie (to on nauczył mnie, jak się to robi), ale nie stosował tej formy komunikacji poza sytuacjami, gdy było to absolutnie niezbędne, ponieważ uważał, że jest zbyt cenna, by używać jej do bzdurnych pogawędek. Choć zgodnie ze swym zwyczajem nie krytykował mnie, że używam jej inaczej. Dlatego chcąc z nim porozmawiać, musiałem przyjść do niego, gdyż odmawiał teleportacji, a po drodze znajdowały się obszary, gdzie samotny człowiek w jego wieku nie mógł czuć się bezpieczny. Dlatego rzadko opuszczał dzielnicę.

— Vladimir — powtórzył. — Któż to taki?

Loiosh przeleciał na jego ramię, zupełnie jakby pytanie dotyczyło jego, i nadstawił szyję do drapania.

— Noish-pa — powiedziałem. — Chciałbym, żebyś poznał Cawti.

Dygnęła dworsko i dziadek się rozpromienił.

— Cawti — powtórzył. — Masz może nazwisko?

— Już nie — odparła.

A ja przygryzłem wargę — pewnego dnia ją o to zapytam, ale na pewno nie teraz.

Uśmiechnął się do niej ciepło i spojrzał na mnie, unosząc pytająco brwi.

— Chcielibyśmy się pobrać — wyjaśniłem. — I chcielibyśmy mieć twoją zgodę.

Uściskał i ucałował Cawti w oba policzki. A potem uściskał mnie. Kiedy mnie puścił, dostrzegłem łzy w kącikach jego oczu.

— Jestem szczęśliwy. Za was i za siebie — powiedział.

A potem zmarszczył brwi — zanim się odezwał, już wiedziałem, o co chce zapytać.

— Ona wie. Sama też się tym zajmuje.

Westchnął ciężko.

— Oj, dzieci, dzieci. Bądźcie ostrożne.

— Będziemy, noish-pa. Zresztą teraz sprawy mają się lepiej. Niedawno prawie wszystko straciłem, ale teraz jest już w porządku.

— To dobrze. Ale jak mogłeś dopuścić do takiej sytuacji, żeby prawie wszystko stracić? To nie było mądre.

— Wiem. Przez chwilę pozwoliłem, by cienie mnie zdekoncentrowały, i nie mogłem dostrzec celu.

Pokiwał głową i zmienił temat:

— Chodźcie do domu, zjemy coś.

— Dziękuję, noish-pa.

Cawti zaś dodała w najwłaściwszym możliwym momencie (sądzę, że ta sztuka udała jej się tylko ten jeden raz w życiu):

— Dziękuję. . . noish-pa.

Z jeszcze szerszym niż dotąd uśmiechem zaprowadził nas do domu.

\* \* \*

Następnego dnia przeniosłem się do starego biura Larisa i zająłem interesami. Spotkałem się też z Toronnanem i ustaliłem, że spróbuję kierować także terenem zabitego, ale to już inna historia. Nadal szukam Wyrna i Miraf'na, a ponieważ podwyższyłem nagrodę, sądzę, że wkrótce ich zobaczę. No może nie całych, ale zawsze.

\* \* \*

Wieczorem tego dnia, w którym wprowadziłem się do biura Larisa, ugotowałem wreszcie Cawti obiad. Przyznaję, że trochę przesadziłem: gęś z czerwonym wschodnim pieprzem, kluski po valaborsku i . . . nieważne.

Przygotowując obiad, natknąłem się na cebulę, która miała małą plamkę. Wyciąłem ją i zużyłem resztę, jako że była zupełnie świeża i zdrowa.

Życie czasami na tym właśnie polega.